Łódź

Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

PL ISSN 0472-5042
Nr indeksu 36762

NUMER 8 (1404) ROK XXVIII 23 LUTEGO 1985 ROKU CENA 15 ZŁ

■ No to zdrowie na budowie...
■ Intymny świat cinkciarzy
■ Mój powrót z piekła
■ Kocham muzykę Chopina
■ Szaleństwo języka

Raz w roku w „Centralu" Rycz, mała, rycz...

7

DARIUSZ DOROŻYŃSKI, ROMAN KUBIAK

Foto: Grzegorz Gałasiński

Czy Jezus był rewolucjonistą?

EDMUND LEWANDOWSKI

„Przesłanie, jakie Chrystus przyniósł na ziemię, zawiera ideę rewolucji. To jest idea rewolucji totalnej, nie tylko rewolucji skierowanej przeciwko rzymskiemu imperializmowi i społeczeństwu niewolniczemu, ale przeciw wszelkiemu przyszłemu ciemiężeniu człowieka — od feudalizmu do amerykańskiego imperializmu. Cel, o jakim mówi Ewangelia nie jest niczym innym, jak dążeniem do stworzenia doskonałego społeczeństwa komunistycznego". Słowa te wypowiedział ksiądz katolicki Ernesto Cardenal członek zakonu trapistów o bardzo surowej regule, najwybitniejszy dziś poeta Ameryki Środkowej, który od pięciu lat pełni funkcję ministra kultury w rządzie Nikaragui. Uważa on siebie jednocześnie za katolika i marksistę. *„To Ewangelia Jezusa Chrystusa* — mówił — *uczyniła ze mnie marksistę. Jestem marksistą, który wierzy w Boga".* Podczas powitania na lotnisku w Managui papież Jan Paweł II pogroził mu palcem i wyraził życzenie, aby uregulował swe stosunki z Kościołem, tzn. zrezygnował z działalności politycznej.

W prokomunistycznym rządzie Nikaragui zasiadają jeszcze dwaj inni duchowni. Szefem dyplomacji jest ksiądz Miguel d'Escoto — misjonarz, członek zgromadzenia z Maryknoll, absolwent Uniwersytetu Columbia w Stanach Zjednoczonych. Z kolei ministrem oświaty jest ksiądz Fernando Cardenal (brat Ernesta) — wykluczony niedawno z zakonu jezuitów, były przywódca młodzieży sandinowskiej. Wszyscy trzej księża—ministrowie współdziałają z marksistami w dążeniu do zbudowania społeczeństwa socjalistycznego. Podstawą ich rewolucyjnego zaangażowania jest chrystianizm, czyli nauka Jezusa Chrystusa.

Ale co wspólnego z komunizmem może mieć religia chrześcijańska? Pytanie takie zada sobie przeciętny Polak — katolik, słabo znający Pismo Święte i historię Kościoła. Jeśli jednak zna dobrze Nowy Testament i dzieje Kościoła, to nie będzie pytał i zbytnio dziwił się. Chrześcijaństwo bowiem zaczęło się od komunizmu i całkowicie nigdy się od niego nie uwolniło. Nawet wtedy, gdy popierało niewolnictwo, feudalizm i kapitalizm, tęsknota za pierwotnym komunizmem ujawniała się w działaniach najbardziej ideowych jednostek i ruchów religijnych.

Jezus i Apostołowie wyrzekli się własności prywatnej i prowadzili wspólną kasę. Skarbnikiem wspólnoty — mającym „pieczę nad trzosem" — był według czwartej Ewangelii Judasz Iskariota. Pewnego razu, zwracając się do idącego za Nim licznego tłumu, Jezus powiedział: *„Nikt z was, kto nie wyrzeka się wszystkiego, co posiada, nie może być moim uczniem".* Bo-

4

Sposób na najlepszych

Nikomu z nas nie powinno być obojętne, jak i jaki wybierzemy Sejm PRL, jak ten Sejm będzie pracował, w jaki sposób będzie reprezentował nasze polityczne i społeczne interesy. Opublikowanie „Założeń do projektu ustawy ORDYNACJA WYBORCZA DO SEJMU POLSKIEJ RZECZYPOSPOLITEJ LUDOWEJ" stanowi znakomitą okazję do podjęcia dyskusji na te właśnie tematy. Toczyć się ona będzie niewątpliwie w różnych środowiskach, grupach zawodowych, organizacjach społecznych i politycznych. Dyskusję taką zorganizowaliśmy również w redakcji. Udział w niej wzięli:

— **RYSZARD BALICKI** — pełniący obowiązki kierownika zakładu w MPK, członek Rady Społeczno-Gospodarczej przy Sejmie PRL.

— **MARIAN ŁABĘDZKI** — kierownik Wydziału pracy ideowo-wychowawczej w Wojewódzkim Komitecie ZSL w Łodzi,

— **ALFRED LUTRZYKOWSKI** — docent dr hab., kierownik Katedry Nauk Społecznych AM w Łodzi, radny Rady Narodowej Miasta Łodzi.

— **WŁODZIMIERZ MAGIN** — kierownik Biura Rady Łódzkiej PRON

— **WŁADYSŁAW RZYMSKI** — dr, pracownik naukowy Politechniki Łódzkiej, przedstawiciel Łódzkiego Komitetu SD.

— **TOMASZ SAS** — zastępca redaktora naczelnego „Odgłosów".

— **ANDRZEJ ZIELIŃSKI** — Zespół Prasy PAX.

Wybory nie są — a przynajmniej nie powinny być — jednorazowym aktem głosowania, dokonania wyboru posłów. Poprzedzać je powinien okres intensywnych przygotowań, a następnie — przez cały czas pracy Sejmu — okres kontroli jego działalności, kontroli pracy posłów. Dyskusja nad „Założeniami" jest znakomitą okazją do rozpoczęcia przygotowań do wyborów. Można i trzeba w jej trakcie powiedzieć, jak sobie wyobrażamy przyszły Sejm, kto powinien być posłem, jak posłów wybierać?

CZY OBYWATEL MOŻE BYĆ LENIWY?

A. ZIELIŃSKI: — Jeśli mamy dyskutować o „Założeniach" i o przyszłych wyborach, to powinniśmy pamiętać o zmianach w świadomości społecznej, jakie dokonały się w ostatnich latach. Zmiany te wymagają nowej ordynacji wyborczej. Nie wyobrażam sobie, aby dziś można było przeprowadzić wybory według zasad z roku 1980.

T. SAS: — W dyskusji przed wyborami powinniśmy sobie uprzytomnić i to powinno wejść na trwałe do społecznej świadomości, że Sejm nie jest niczym innym, jak tylko organem władzy. Taka ta władza będzie, jacy będą przedstawiciele władzy. Jestem obywatelem odpowiedzialnym, ale leniwym. Dlatego dołożę wszelkich starań, aby wybrać ludzi najlepszych, po to, żeby przez następne 4 lata mieć spokój i o Sejm oraz kondycję posłów się nie martwić.

W Polsce zawsze funkcjonowały obawy związane z działalnością parlamentu. Najczęściej były one podskórne. Ostatnio ujawniły się. Było sporo krytycyzmu i wobec obecnego Sejmu. Mówiono o tym, jaki ten Sejm powinien być. Teraz powstała okazja nie tylko o tym mówić, ale wybrać taki Sejm, jakiego oczekujemy.

W. MAGIN: — Nie zapominajmy, że Sejm został wybrany w 1980 roku, a fakt wyborów jakoś nie utrwalił się zbytnio w społecznej pamięci. Pamiętamy tylko, że Sejm wybrano przed „Sierpniem". Pamiętamy też, że Sejm sprawuje swoją kadencję dość długo i stąd słyszy się i takie powiedzenia, że „Sejm i posłowie już się zestarzeli".

M. ŁABĘDZKI: — W czasie upływającej kadencji odbyło się bardzo mało spotkań posłów z wyborcami. Wyborcy nie bardzo wiedzą, co robią posłowie. Oni oczywiście pracują w komisjach. Ale to mi przypomina trochę współczesnych lekarzy, którzy mają wąską specjalizację i chorego odsyłają do kolegi przy byle okazji. W praktyce działalności poselskiej to wygląda tak, że jak już poseł przyjedzie na spotkanie na wieś i chłopi pytają go, jak to jest z maszynami rolniczymi, dlaczego ich nie ma, a na dodatek są drogie, to poseł powiada, że on pracuje w innej komisji i nie wie. No, to po co na tę wieś przyjechał?

T. SAS: — Bo z jednej strony Sejm jest bardzo zapracowany, a z drugiej — posłowie są nie przygotowani do takich spotkań, na których mówiłoby się o wszystkim. Dla wyborców siła i znaczenie posła polega przede wszystkim na tym, ile on potrafi załatwić. Kogo on reprezentuje, jaką siłę polityczną, to już jakby mniej istotne. Ja to rozumiem, ale nie pochwalam. Nie jest to bowiem prawidłowe. Tak nie powinno być.

M. ŁABĘDZKI: — I przyszły Sejm musi to zmienić. Jak to będzie technicznie zrobione, to już niech się posłowie martwią. Ale powinni oni wiedzieć o wszystkim, co się w Sejmie dzieje, aby mogli mówić o tym swoim wyborcom.

R. BALICKI: — Wiedzieć powinni, ale w moim przekonaniu specjalizacja posłów jest nieodzowna. Po pierwsze — Sejm uchwala wiele ustaw, muszą one być opracowywane w komisjach. Po drugie — posłowie przedstawiają sobą różne indywidualności, zawody, upodobania, predyspozycje. Nie mogą zajmować się wszystkim jednocześnie. W 1983 roku Sejm ósmej kadencji dokonał ponownego podziału na komisje. Niektóre komisje połączono. Uznano zasadę, że poseł może być jednocześnie nie więcej niż w dwóch komisjach. A poza tym Sejm posiada jeszcze ciała doradcze.

POSEŁ — KTO TO TAKI?

A. LUTRZYKOWSKI: — Dochodzimy do sedna sprawy. Jaki ma być poseł? Czy ma to być — jak tu na wstępie proponowano — znakomity specjalista, który zdejmie z wyborcy wszystkie kłopoty? A więc jakby ucieczka w technokratyzm, menedżeryzm. Czy też ma to być obywatel żyjący polityką, czy może obywatel-polityk, który żyje z polityki?

Propozycja list regionalnych w „Założeniach" sugeruje rozwiązanie dwoiste — i obywatele aktywiści, i specjaliści. Jest tu jakby analogia do ordynacji wyborczej do rad narodowych, gdzie występuje — jak pamiętamy — lista wojewódzka, z której kandydowali właśnie specjaliści. Można zatem mniemać, że idziemy w kierunku „demokracji komfortu". Wyborca wybiera, a posłowie swoim działaniem zdejmują z jego barków wszelkie troski i kłopoty polityczne.

T. SAS: — Mnie nie chodzi o to, aby mnie reprezentowali fachowcy z różnych dziedzin naszego życia. Myślałem raczej o politykach, obywatelach pełną gębą, świadomych obywatelach.

W. RZYMSKI: — Co to znaczy obywatel pełną gębą, albo świadomy obywatel?

T. SAS: — Istnieją dwa sposoby wyłaniania kandydatów. Pierwszy — to gabinetowy, a drugi — to konkurs postaw, osobowości, ludzi.

A. LUTRZYKOWSKI: — Kiedy i jak ten konkurs przeprowadzać?

T. SAS: — Ten konkurs powinien trwać nieustannie w codziennej działalności politycznej, społecznej, kulturalnej, gospodarczej.

M. ŁABĘDZKI: — I w kontaktach posłów z wyborcami. Aktywność posła nie powinna być pobudzana przez jego politycznych inspiratorów, przez organizacje, które go zgłosiły. Jeśli sam nie czuje takiej potrzeby, jeśli tego nie potrafi, to szkoda, że go w ogóle wybrano.

A. ZIELIŃSKI: — A co mówią na ten temat „Założenia"?

A. LUTRZYKOWSKI: — Mówią, że „obywatele wybierają do Sejmu najlepszych swych przedstawicieli dających rękojmię należytego wypełnienia powierzonego im mandatu dla dobra społeczeństwa, zgodnie z zasadami ustroju socjalistycznej Polski".

M. ŁABĘDZKI: — Jest tam jeszcze — zaraz w pierwszym zdaniu — takie niepoważne słówko „kreowanie". Brzmi to tak: „Wybory do Sejmu są aktem kreowania...". Warto to słowo zamienić innym. Ale to tylko tak, na marginesie naszej dyskusji.

A. ZIELIŃSKI: — Wrócę zatem do tematu. Kto może wysuwać kandydatów? „Założenia" formułują to wyraźnie: „władze wojewódzkie" partii, stronnictw, zrzeszeń, towarzystw, organizacji i tak dalej. Zatem to one powinny decydować, kto jest najlepszy i wziąć za to odpowiedzialność. Taką odpowiedzialność rozumiem jako stałe, trwające przez całą kadencję kontrolowanie pracy posła, rozliczanie go z tej pracy. Podkreślam — stałe, a nie jednorazowe pod koniec kadencji.

3

Odgłosy

Adres redakcji: 90-113 Łódź, ul. Henryka Sienkiewicza 3/5.
Telefony: redaktor naczelny i zastępca redaktora naczelnego 36-52-44, sekretarz redakcji, fotoreporter: 36-80-99, publicyści: 36-77-70.
Redaktor naczelny: Lucjusz Włodkowski.
Zastępca redaktora naczelnego: Tomasz Sas
Sekretarz redakcji: Grażyna Olechnowicz.
Kierownik działu literackiego: Grzegorz Gazda.
Redaktor techniczny: Janusz Kozłowski.
Zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Andrzej Karolczak, Roman Kubiak, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Paweł Tomaszewski, Jolanta Wrońska.
Grafik: Janusz Szymański-Glanc.
Fotoreporter: Grzegorz Gałasiński.
Korekta: Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk.
Stale współpracują: Tadeusz Błażejewski, Edward Bryl, Krzysztof Drzewiecki, Bohdan Gadomski, Witold Kasperkiewicz, J. Stanisław Knypl, Włodzimierz Krzemiński, Edmund Lewandowski, Marek Mamos, Zenon J. Michalski, Krystyna Namysłowska, Jerzy Panasewicz, Ewa Pankiewicz, Karol J. Stryjski.

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa — Książka — Ruch" 91-103 Łódź ul. Piotrkowska 96

DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch" 90-950 Łódź, ul. Armii Czerwonej 28.

Redakcja nie zwraca nie zamówionych rękopisów i zastrzega sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty: 1. dla instytucji i zakładów pracy: — zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" zamawiają prenumeratę w tych oddziałach: — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli 2. dla indywidualnych prenumeratorów: osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli: osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora. Wpłaty dokonuje się używając „blankietu wpłaty" na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa — Książka — Ruch" 3. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul. Towarowa 28 00-958 Warszawa konto NBP XV Oddziału w Warszawie nr 1153-201045-139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę — do dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następny — do dnia 1 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.

Zam. 463. P-2.

Przegląd prasy

Zima tegoroczna przejdzie do historii naszego polskiego życia zbiorowego nie tylko jako kolejna „zima stulecia" — nb. interesująco, choć monotonnie, o wpływie zimy z jej niespotykanie ostrymi mrozami na stan „podziemia" piszą liczni autorzy w „Polityce" (nr 7 — 85.02.16); monotonia owa polega na tym po prostu, że pękają rury...

Mroźna zima 84/85 zapisze się w naszej pamięci jako

CZAS „GORĄCZKI KONSULTACYJNEJ"

Martwi mnie nie tylko ilość i rozpiętość zagadnień poddanych dyskutowaniu — od wolnych sobót w szkołach, przez ceny do ordynacji wyborczej (parę ważnych „tematów" i tak pominąłem w tym wyliczeniu) — jednocześnie, co wymaga sporego napięcia uwagi i wysiłku intelektualnego od obywateli uważających się za aktywnych; im więcej zadań do rozwiązania, tym bardziej maleje grono zainteresowanych. Ale groźniejsze, jak mniemam, jest inne zjawisko towarzyszące nadmiernemu rozbuchaniu konsultacyjnemu — mam na myśli pewne psychiczne uwarunkowania zmian powstających w świadomości politycznej sporej liczby obywateli.

Pierwsza z tych — jak sądzę, niekorzystnych — zmian, to utożsamianie konsultacji z demokracją. Druga — to rodzące się przeświadczenie, że absolutnie wszystko z dziedziny życia publicznego nadaje się do konsultacji, ergo: wszystko należy konsultować, skoro tak będzie demokratycznie.

Weźmy takie ceny na przykład. Jest to kategoria ekonomiczna, rządząca się takimiż prawami; co najwyżej może być miarkowana przez pryncypia polityki socjalnej państwa. A tu okazuje się, że ceny można z państwem przedyskutować, prawie wytargować — tu pięć złotych więcej, tam sto mniej, tu na kartki, tu już bez kartek, ówdzie z rekompensatą, gdzie indziej bez... Tu dopłaty, tam warianty — powstaje wrażenie, że jesteśmy gospodarzami podwyżki cen, że sami sobie ustalamy, co ile ma kosztować, wyręczając obiektywne prawidła ekonomiczne. Te zaś, zaniedbane, potrafią się srogo zemścić w swoim czasie...

Podobnie rzecz ma się z odbiorem społecznym innych konsultacji. Można się „potargować" o to, czy posłów ma być 460 czy 500, bierne prawa wyborcze od 18 czy od 21 lat, czy głosować dwa dni. Jest to superdemokratyczne, zapewne — ale z istotą demokratyzacji aktu wyborczego niewiele ma wspólnego. Istota owa tkwi w czym innym —

DECYDUJE MECHANIZM WYBORU LUDZI

— najpierw do kandydowania, potem w akcie głosowania.

Słusznie zauważa Stanisław Podemski w „Polityce" (nr 7 — 85.02.16 — tekst pt. „Na wiele lat"): *„Badania prowadzone w okresie wyborów do rad narodowych wykazały, że ten pierwszy krok — wysuwanie kandydatów — jest szczególnie obserwowany i poddawany natychmiastowej ocenie i kto wie czy nie on przesądza o całym stosunku do dalszych poczynań wyborczych"*. Wątpliwość, wyrażona w tym „kto wie czy nie on", jest zbędna. Przesądza na pewno...

Podemski dokonuje przeglądu rozmaitych zastrzeżeń wobec projektu ordynacji, zgłaszanych przez autorów listów do redakcji „Polityki" i na zebraniach dyskusyjnych organizowanych przez PRON. Nie ma możliwości odniesienia się do wszystkich kwestii z tego ciekawego artykułu ze względu na formułę przeglądu prasy — ale jednej pominąć nie mogę, albowiem zawiera ona w sobie niebezpieczną ewentualność dzielenia ludzi na lepszych i gorszych wedle tego, czy są gdzieś zrzeszeni, czy nie.

Podemski pisze, że postulat prof. Grzegorczyka, by protegować do wyborów ludzi nigdzie nie należących, *„ale przecież jednak wartościowych, utalentowanych, samodzielnie myślących, nienagannej postawy obywatelskiej"*, uzyskał silne wsparcie. Na dowód cytuje list jednego z czytelników „Polityki": *„Nie negując dobrej woli wielu przedstawicieli należy założyć, że będą oni reprezentować przede wszystkim interesy sygnatariuszy. Wydaje się, że już teraz można by było umożliwić zgłaszanie niezależnych kandydatów na przedwyborczych zebraniach w zakładach pracy. Musieliby oni oczywiście akceptować Konstytucję PRL"*.

A więc reprezentanci określonych partii politycznych i organizacji społecznych są już z góry, z założenia, gorsi, bo są rzecznikami interesów swych organizacji, choćby nawet mieli dobrą wolę.. Zdaniem ludzi tak myślących, samo należenie do czegokolwiek każe wątpić w uczciwość, a organizacje polityczne to partykularz, ciągnący „ku sobie" Rzeczpospolitą — przeto bezpartyjni to jedyna szansa. Rozumowanie takie jest ordynarnym fałszem politycznym. A poza tym mieliśmy już paru takich „uczciwych", „akceptujących konstytucję", „niezależnych" — nawet całkiem niedawno w naszej historii.

„Prawa wyborczego nie wydaje się na chwilę — pisze Podemski — *jest to decyzja polityczna i ustrojowa dłuższej miary i ordynacja wyborcza na całe lata określi*

SPOSÓB WYŁANIANIA REPREZENTACJI NARODOWEJ

(Niby dlaczego? Sądzę, że akurat ordynacja wyborcza jest tym prawem, które można co jakiś czas doskonalić, aż do osiągnięcia społecznie pożądanego ideału...). Nie sposób jednak nie zauważyć przy okazji, że tworzenie dobrej praktyki życia publicznego nie polega na stanowieniu mądrych i liberalnych nowych praw, lecz przestrzeganiu obowiązujących.

A kandydaci? Jestem zdania, że procedura ich wyłaniania spośród aktywnych obywateli winna trwać nieustannie we wszystkich ogniwach organizacji politycznych i społecznych — nie polowanie raz na cztery lata, a stały proces poszukiwania i weryfikacji najlepszych, sprawdzających się i sprawdzanych na podstawowych szczeblach samorządzenia i odpowiedzialności.

Zresztą z kadrą, nawet rezerwową, należy po prostu umiejętnie pracować. Tymczasem nie ulega wątpliwości, że jest to najsłabszy punkt naszych politycznych tradycji całego czterdziestolecia. Tak o tym pisze Jan Rem w rozpowszechnionym przez prasę codzienną felietonie „Praca z kadrą" (85.02.14).

„Uczmy się od Zachodu nie tylko konstruowania komputerów i robotów oraz urządzania hoteli, lecz również

DBAŁOŚCI O SWOICH LUDZI

nie chodzi tu przy tym bynajmniej o naszych pod względem politycznym ludzi, gdzieś w Ameryce czy innych częściach zachodniego świata. Mowa jest o naszych ludziach w Polsce: gubionych i zapominanych, zostawianych samym sobie, niedostrzeganych, niedocenianych, marnowanych, a czasem po prostu gnojonych. Niechaj polscy funkcjonariusze polityczni podpatrzeć zechcą politycznych funkcjonariuszy ambasady USA, gdy nieleniwie wyruszają w miasto i w teren: chętni do pogawędki, życzliwi, nie odęci, lecz przeciwnie — cali w uśmiechach, które nie kosztują ani dolara".

Jan Rem dochodzi do tego wniosku, obserwując jak Zachód stworzył sobie i teraz ochrania specyficzną kategorię Polaków — cudzoziemców we własnym kraju. Na tym tle rzeczywiście nasza polityka kadrowa jawi się jak inkwizycyjna izba tortur. Ale pewnie oni tam u siebie, na zgniłym Zachodzie, wobec swoich niewiele są lepsi — wyjąwszy może obszar biznesu, bo tam gdzie chodzi o pieniądze, i to duże pieniądze, wszelkie irracjonalne emocje idą w kąt.

A u nas, nawet gdy mowa o pieniądzach, bez emocji się nie obejdzie. A co się dzieje, gdy przy okazji kopniemy w jakiś „nabolały" kompleks...

Oto przez regionalną prasę społeczną przetacza się

DYSKUSJA O KULTURALNYCH KRZYWDACH PROWINCJONALIZMU

We Wrocławiu „Sprawy i Ludzie" zamieszczają od kilku miesięcy teksty dyskusyjne pod hasłem „wielki grajdoł", demaskujące domniemany upadek miejscowej kultury. W Łodzi „Głos Robotniczy" zastanawia się, czy nasze miasto jest „złe dla kultury". Ostatnio lubelska „Kamena", też pod tytułem „wielki grajdoł", biada nad mieliznami i pustaciami miejscowego życia kulturalnego.

Najciekawszy ewenement wydarzył się jednak w Poznaniu — tam zaatakował prezydent miasta... wygłaszając siedemnaście tez o tym, co mu się w miejscowej kulturze nie podoba. Tezy te są swoistym dokumentem naszych czasów, toteż pozwolę je sobie przytoczyć — za „Polityką" (nr 7 — 85.02.16) — której prezydent Andrzej Wituski udzielił wywiadu po swym wystąpieniu.

„I — brak samokrytycyzmu w ocenach zjawisk artystycznych, II — brak integracji i wzajemnego szacunku środowiska poznańskiego, III — zanik ambicji nowatorskich i występowanie minimalizmu, IV — snobizm odbioru zjawisk kulturalnych, V — niewykorzystanie bazy, jaką dysponuje kultura, VI — brak dynamicznych inicjatyw animatorskich, kulturalnych w zakresie pozyskiwania na występy w Poznaniu najwybitniejszych wykonawców, VII — pogoń za pieniędzmi za wszelką cenę, VIII — wyjazdy zagraniczne najczęściej w jedną tylko stronę świata, czy w jednym określonym kierunku, IX — wygoda instytucji artystycznych, X — nieżyczliwość i zazdrość, XI — jakość odchodzących z Poznania artystów niewspółmierna do jakości przychodzących tutaj, XII — nieproporcjonalność nakładów do osiąganych efektów, XIII — brak animatorów kultury w środowisku studenckim, XIV — klęska kultury zakładowej, XV — przy tak silnym w Poznaniu środowisku plastycznym — brak plastyki w mieście, XVI — regres w uzyskiwaniu przez poznańskich twórców nagród ogólnopolskich, wreszcie teza XVII — „denerwuje mnie ta wieczorna pustynia kulturalna".

Tak ostro przyładował swoim „poddanym" poznański burmistrz. Odnoszę wrażenie, że po lekkim retuszu, polegającym głównie na zamianie nazw geograficznych, tezy Wituskiego pasować będą do każdego z głównych regionalnych ośrodków kulturotwórczych, najbliższego memu sercu nie wyłączając.

No i bardzo dobrze. W istocie jednak wszystkie te spory o „grajdolizm", złą atmosferę dla kultury itp. polegają na wadliwym postawieniu problemu. Prowincja bowiem, szanowne panie i szanowni panowie, nie istnieje w sensie obiektywnym.

PROWINCJI JEST TYLKO TYLE, ILE JEJ TKWI W NAS SAMYCH

Należy przeto w sobie zwalczać prowincjonalizm. Zamiast gromadzić się w kupy, kliki, koterie i układy pod hasłami obrony „poznańskości", „łódzkości" czy innych ości w kulturze (przeciw stolicy oczywiście), należy gromadzić się po prostu pod sztandarami dobrej sztuki, twórczości wysokiej jakości — tępiąc tandetę, nawet gdy jest „nasza", a może przede wszystkim wtedy, gdy powstaje w zasięgu naszego naturalnego oddziaływania. Nie ma miast złych dla kultury, są tylko źli twórcy, chałturnicy i grafomani — obdarzeni na nieszczęście łatwością zrzeszania się w obronie własnych interesów, a także umiejętnością terroryzowania administracji i publiczności, nie mówiąc o krytykach i dziennikarzach.

Przeto sensem istnienia pism społeczno-polityczno-kulturalnych poza „warszawką" jest walka z prowincjonalizmem psychicznym. Rzeczą główną w tej walce, decydującą o powodzeniu, jest tworzenie wokół pism własnych środowisk kulturo- i opiniotwórczych, organizowanie nieformalnych kręgów przyjaciół, sympatyków i współpracowników — słowem: budowanie w miarę różnorodnej, ale jednoznacznie określonej formacji intelektualnej, światopoglądowej i ideowej.

Nie wolno dać się zepchnąć do roli biernego usługodawcy, potulnie i beznamiętnie opisującego erupcje i zastoiny miejscowego środowiska kultury — to pierwszy krok ku profesjonalnemu samobójstwu.

TOMASZ SAS

Minął tydzień

WIZYTĘ PRZYJAŹNI W INDIACH

złożył premier rządu PRL gen. armii Wojciech Jaruzelski. Premierowi towarzyszyli m.in. członek Biura Politycznego, sekretarz KC PZPR Józef Czyrek, członek Biura Politycznego KC PZPR, minister spraw zagranicznych Stefan Olszowski, wicepremier Janusz Obodowski, minister hutnictwa i przemysłu maszynowego Janusz Maciejewicz oraz minister górnictwa i energetyki Czesław Piotrowski.

W trakcie czterodniowej wizyty generał Jaruzelski odbył rozmowy z premierem Indii Rajivem Gandhim, spotkał się z prezydentem i wiceprezydentem Indii, zapoznał się z osiągnięciami gospodarki Indii zwiedzając kompleks targowy w Delhi, fabrykę wagonów w Madrasie i centrum badań jądrowych w Bombaju. Pozostali członkowie polskiej delegacji odbyli szereg rozmów i spotkań specjalistycznych o treści politycznej i gospodarczej.

Obie strony wyraziły nadzieję, którą podzielają społeczeństwa naszych krajów, że owocem tej wizyty będzie nie tylko współpraca na płaszczyźnie dyplomatycznej w dziedzinie budowania międzynarodowych środków zaufania i bezpieczeństwa służących zachowaniu pokoju oraz umacnianiu światowego ładu i współpracy, lecz przede wszystkim rozwój wzajemnych stosunków społeczno-gospodarczych, gdyż możliwości obu stron w tej dziedzinie są niemal nieograniczone, a wzajemne korzyści mogą być nadspodziewanie istotne dla obu państw i narodów.

NA MORZU PÓŁNOCNYM

8 lutego wieczorem zatonął podczas silnego sztormu o sile ok. 10 stopni w skali Beauforta statek Polskich Linii Oceanicznych m/s „Busko Zdrój". W katastrofie zginęło 24 marynarzy — przeżył tylko jeden, 41-letni radiooficer Ryszard Ziemnicki, uratowany po pięciogodzinnym dryfowaniu na tratwie przez załogę zachodnioniemieckiego śmigłowca, przy pomocy m/s „Ziemia Bydgoska". Ośmiu członków załogi „Buska" zmarło na tratwach po opuszczeniu statku, ciał pozostałych szesnastu nie znaleziono.

Jest to najtragiczniejsza katastrofa w ciągu ostatnich czterdziestu lat polskiej marynarki handlowej — niewiele ponad rok od zatonięcia statku z tej samej serii, m/s „Kudowa Zdrój" na Morzu Śródziemnym, gdzie zginęło dwudziestu marynarzy. O przyczynach katastrofy zapewne kompetentnie wypowie się Izba Morska. Nie ulega jednak wątpliwości, że „zdrojowa" seria zbudowanych w rumuńskiej stoczni... nad Dunajem drobnicowców, to statki o zbyt słabych walorach i małej dzielności morskiej, jak na warunki, w których eksploatował je gdyński armator.

PROCES TORUŃSKI

był relacjonowany nieobiektywnie — oświadczenie takiej treści złożył Episkopat Polski, stawiając zarzut braku obiektywizmu Polskiej Agencji Prasowej oraz radiu i telewizji podczas sprawozdania przebiegu procesu przeciwko sprawcom uprowadzenia i zabójstwa księdza Jerzego Popiełuszki. Trudno komentować to oświadczenie, wypada jednak stwierdzić, że jest ono co najmniej zdumiewające, jeśli z jednej strony zważyć, niespotykaną dotąd, ilość i jakość relacji z tego skupiającego powszechną uwagę wydarzenia — a z drugiej strony wyraźną tendencyjność sprawozdań prasy związanej z kościołem (m.in. brutalną ingerencję w życie prywatne rodzin oskarżonych, której dopuścił się jeden z tygodników katolickich, podając dokładne adresy ich zamieszkania), a także głoszone publicznie, prowokacyjne oświadczenia niektórych księży na temat zabójstwa księdza Popiełuszki, przebiegu procesu i wyroku w tej sprawie.

ZIMA NIE MA ZAMIARU USTĄPIĆ

— twierdzą synoptycy, zapowiadając dłuższe „panowanie" ujemnych temperatur. Ponowna fala mrozów ujemnie wpływa na funkcjonowanie transportu i systemów ciepłowniczych, gdyż zakłócone są dostawy węgla — zamarzają wagony, spada tempo rozładunków, a węglarki w terminie nie wracają do kopalń. Ostatnie obfite opady śniegu, które na szczęście ominęły nasze miasto, utrudniły komunikację na obszarze kraju. Trudne warunki drogowe wpłynęły na zwiększenie i tak sporej liczby wypadków, w tym groźnych katastrof z ofiarami śmiertelnymi. Zamarzają podziemne instalacje — szczególnie niebezpieczne są awarie gazowe — ostatnio w Piotrkowie Trybunalskim gaz przedostał się do studzienek telekomunikacyjnych i w powietrze wyleciało sześć pokryw na 300-metrowym odcinku ulicy Sienkiewicza w samym centrum miasta.

Z codziennych relacji gazetowych i telewizyjnych wynika, że matka natura uwzięła się na nas i skutecznie dezorganizuje życie zbiorowe Polaków. Tymczasem na naszej szerokości geograficznej i w naszym klimacie taka zima musi być traktowana nie jak klęska, lecz zjawisko wprawdzie nie doroczne, ale normalne, do którego powinniśmy być przygotowani...

JAN REM OSKARŻONY O MANIPULACJĘ

przez redakcję tygodnika „Rzeczywistość", ponieważ opublikował w wielu pismach felieton pt. „Kłania się Bratkowski", atakując pewne koncepcje ustrojowe i gospodarcze ogłoszone przez autora „Rzeczywistości" Andrzeja Chmurę. Warszawski tygodnik domaga się od wszystkich, którzy drukowali „szalbierstwa Rema", zamieszczenia sprostowania. Wolni od tego obowiązku, po zapoznaniu się z obydwoma tekstami i samym sprostowaniem, z zażenowaniem stwierdzamy, że Jan Rem, którego uważaliśmy za najbardziej krwiożerczego i bezwzględnego polemistę polskiego, dziwnie złagodniał ostatnimi czasy.

WE WROCŁAWIU ARESZTOWANO

klientkę PKO, nb. bardzo zamożną ogrodniczkę, pod zarzutem zagarnięcia kwoty 400 tys. złotych. Stefania Ż. nie zwróciła tej sumy, mimo iż wiedziała, że dostała ją bezpodstawnie od roztargnionej kasjerki banku przy wymianie bonów rewaloryzacyjnych. W kronikach obyczajów do tej pory częściej odnotowywano przypadki uczciwego zwracania nienależnych kwot — może dlatego, że nieuczciwych trudno było zidentyfikować.

VICESEKATOR

Sposób na najlepszych

Dokończenie ze strony 1

M. ŁABĘDZKI: — Ja tu mam wątpliwości zasadnicze. Co to znaczy władze? Czy to jest komitet w pełnym składzie, czy tylko egzekutywa lub prezydium? Są to na ogół duże gremia. Wszyscy to mają robić, czy też rozpatrzą tylko zgłoszone propozycje? A kto te propozycje i jak zbierze?

W. MAGIN: — Są już przecież doświadczenia z wyborów do rad narodowych. Władze partyjne i kierownictwa organizacji społecznych otrzymywały propozycje, nad którymi radziły i dopiero wówczas udzielały im rekomendacji.

M. ŁABĘDZKI: — Mnie odpowiadałby wariant węgierski, gdzie wystarczy określona ilość podpisów na liście, aby można było kandydować do parlamentu.

W. RZYMSKI: — Trzymajmy się jednak realiów. Jaki charakter posiada u nas mandat poselski? Ma on charakter dwojaki. Raz — jest on nośnikiem idei politycznych, wynikających z przynależności posła do określonej partii, ugrupowania społecznego, organizacji społecznej albo związku zawodowego. Z tego tytułu poseł obowiązany jest do realizowania uchwał i polityki swojej partii lub organizacji.

Z drugiej strony — poseł obowiązany jest do reprezentowania interesów swoich wyborców.

Nie zawsze jest to takie proste, łatwe do pogodzenia. Trzeba przecież pamiętać, że dotychczas mandat miał przede wszystkim charakter przedstawicielstwa politycznego.

W. MAGIN: — Wśród pytań, które napływają do PRON są i pytania o „klucz partyjny". Czy będzie obowiązywał? W „Założeniach" zrezygnowano z elementu „prawyborów", które w kampanii wyborczej do rad narodowych spełniały spotkania konsultacyjne. Szkoda. Wprawdzie Konwent wyborczy musi uwzględnić opinie, jakie do niego wpłyną o kandydacie, ale to Konwent musi uczynić, a nie sami wyborcy.

W. RZYMSKI: — W każdym systemie parlamentarnym ważny jest czynnik kontrolny. Powinien on być zapisany w sposób precyzyjny w odpowiednich aktach prawnych. Funkcje kontrolne wobec posłów powinni spełniać wyborcy.

Ryszard Balicki

Marian Łabędzki

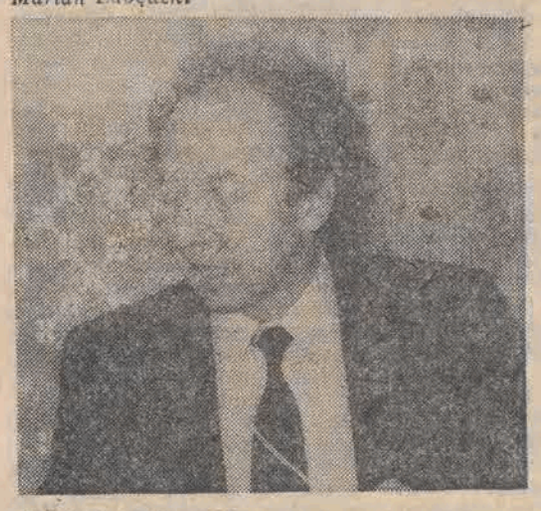

Alfred Lutrzykowski

KTO MA DBAĆ O INTERES WYBORCY?

T. SAS: — Czego mi najbardziej brakuje w „Założeniach", to właśnie jasnej i konkretnej formuły o kontroli wyborców sprawowanej wobec posłów. Ma być wprawdzie ustawa o charakterze konstytucyjnym, w której będzie jasno sformułowane, kim jest poseł.

M. ŁABĘDZKI: — I znów chcemy wszystko załatwiać przy pomocy ustaw.

T. SAS: — Ja nawet rozumiem, że ordynacja wyborcza do Sejmu musi być z natury rzeczy bardziej konserwatywna od ordynacji wyborczej do rad narodowych.

W. RZYMSKI: — A czemuż to?.

T. SAS: — Chociażby ze względu na skalę problemów, jakie ma do rozstrzygnięcia Sejm. Inne środowiska, inne uwarunkowania decydują o rozwiązywaniu tych problemów.

Z drugiej jednak strony, jeśli uznamy Sejm za sam szczyt demokracji, to szkołą demokracji są wszelkie inicjatywy lokalne. Ustawa o radach narodowych i samorządzie terytorialnym, to jakby pierwszy krok w tej szkole. Początek procesu został dokonany. Ale sam proces dopiero się zaczął.

Dziś jeszcze cała struktura Sejmu jawi się niektórym obywatelom jako coś magicznego. Nie są oni świadomi mechanizmów, jakie sprawiają, że państwo funkcjonuje tak a nie inaczej. Świadomość tych mechanizmów może dać udział w demokracji lokalnej. Najpierw trzeba nauczyć się świadomie i odpowiedzialnie wybierać swoich przedstawicieli do samorządu w fabryce, osiedlu, spółdzielni. I umieć kontrolować ich.

W. RZYMSKI: — O sposobie funkcjonowania władzy przeciętny obywatel dowiaduje się nie z Sejmu, ale z tego, jak funkcjonują instytucje, z którymi styka się na co dzień.

R. BALICKI: — Nie możemy zapominać o tym, że nasze społeczeństwo jest podzielone. *Gdybyśmy mieli na* demokrację zmierzyć *ilością przedstawicieli wybieranych do różnych struktur, to moglibyśmy być zadowoleni.* Ale, jeśli przyjrzeć się działaniu tych struktur, to okazuje się, że funkcjonują tam różne grupy interesów i nacisku. I wcale nie ma powodu do zadowolenia.

A. LUTRZYKOWSKI: — Czy z tego wynika, że Sejm też ma być dokładnym odzwierciedleniem społecznej i politycznej mapy naszego społeczeństwa, występujących podziałów? To przecież niemożliwe. Każdy parlament, a więc i nasz Sejm powinien być polityczną reprezentacją. Wszędzie, gdzie idzie o politykę, rozstrzygają interesy klas, warstw, środowisk.

Natomiast w każdym podzielonym społeczeństwie znajduje się klasa, która chce i potrafi wybić się na pozycję dominującą.

R. BALICKI: — Ja myślę, że odpowiedź na pytanie, jaki ma być Sejm jest prosta. Ma to być Sejm Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. A więc muszą być w nim reprezentowane te wszystkie siły, warstwy, klasy i środowiska, które akceptują zasady ustrojowe. Teoretycznie jest to bardzo proste. Tylko, jak to rozwiązać praktycznie?

A. LUTRZYKOWSKI: — Fundamentem naszego ustroju są interesy ludzi pracy miast i wsi. Ludzie pracy stanowią u nas większość i te siły polityczne i społeczne, które troszczą się o interesy wszystkich ludzi pracy muszą być odpowiednio w Sejmie reprezentowane.

W. RZYMSKI: — Jak w każdej demokracji, tak i w demokracji socjalistycznej realizowane są rządy większości. Ale jednym z grzechów każdej demokracji jest to, że działając z mandatu i w interesie większości można wyrządzić krzywdę mniejszości. O tym często zapominamy. I z tego powodu bywa i tak, że ci, którzy nie zawsze godzą się ze sposobami realizacji interesów większości uważani są lub utożsamiani z przeciwnikami politycznymi, a to jest duże i niebezpieczne uproszczenie.

R. BALICKI: — Często używa się u nas terminu „milczący środek". To nie jest tylko pojęcie teoretyczne, to odbicie rzeczywistości.

M. ŁABĘDZKI: — Celem partii politycznych jest nie tylko zwalczanie przeciwników, ale i pozyskiwanie niezdecydowanych. Podziały nie są i nie muszą być trwałe. Od nas zależy, jak się będą zmieniały.

A. ZIELIŃSKI: — Nie powinniśmy ani w dyskusji, którą tu toczymy, ani tym bardziej w wyborach, które nas czekają odrywać się od społecznych i politycznych realiów. W Polsce trwa proces przeobrażeń społecznych. W perspektywie mamy państwo ogólnonarodowe. Ale to cel daleki. Proces naszych przeobrażeń rozpoczął się w 1944 roku. W procesie tym popełniono wiele różnych błędów. Ich skutki mają trwały ślad w społecznej świadomości. Wszyscy boimy się, aby nie popełniono następnych błędów. Zastanawiamy się, czy są one koniecznością, czy można ich uniknąć? Zastanawiamy się też, na jakim obecnie znajdujemy się etapie procesu przeobrażeń społecznych, dochodzenia do socjalizmu? Często pojęcia socjalizm używa się propagandowo, bez faktycznego odniesienia do rzeczywistości. A brak odpowiedzi na te pytania powoduje, że ludzie nie rozumieją trudności, jakie przeżywamy. O tym nie wolno nam zapominać w toku przygotowań do kampanii wyborczej, jak i czasie samej kampanii. A i po wyborach też.

A. LUTRZYKOWSKI: — U nas w propagandzie dominuje kampanijność. Wiele się pisało i mówiło o radach narodowych i samorządzie terytorialnym, kiedy były wybory. Teraz zainteresowanie tymi sprawami spadło. A przecież powinniśmy się interesować, jak rady pracują, bo to też jest forma kontroli.

A. ZIELIŃSKI: — Jeśli więc mamy umiejscowić kampanię wyborczą w realnych uwarunkowaniach, to trzeba powiedzieć, że społeczeństwo oczekuje na cudowne rozwiązania, a te są niemożliwe w określonym etapie naszego rozwoju. Trzeba ludzi przekonywać, że możliwe są tylko takie, jakie odpowiadają określonym potrzebom politycznym i społecznym i jakie gwarantują prawidłowy rozwój procesu przeobrażeń, dochodzenia do socjalizmu.

Jeśli więc pytamy o rolę Sejmu, to trzeba dopowiedzieć, że pytamy o rolę Sejmu, który będzie funkcjonował na określonym etapie rozwoju społecznego Polski.

GŁOSOWAĆ CZY WYBIERAĆ?

A. LUTRZYKOWSKI: — System przedstawicielski i mechanizm wyłaniania przedstawicieli muszą być spójne, muszą stanowić całość funkcjonalną wobec potrzeb, celów, interesów, dążeń i aspiracji społeczeństwa.

W. RZYMSKI: — Przestańmy powoływać, czy wyłaniać posłów, a zacznijmy ich wybierać! Tu już była mowa o tym, że „Założenia" rezygnują z „prawyborów". Ja mogę tylko wyrazić żal, iż „Założenia" nie skorzystały z dobrych doświadczeń ordynacji wyborczej do rad narodowych. Ale — z drugiej strony — jest dla mnie zupełnie oczywiste, że tych wyborów nie można przeprowadzić w oparciu o dawną ordynację wyborczą.

Ciągle mam wątpliwości, komu należy zaliczać głos oddany bez skreśleń? Czy tylko temu kto został umieszczony na pierwszym miejscu, czy też obu kandydatom?

W. MAGIN: — Wtedy o wyborze decydowaliby tylko ci, którzy dokonają skreślenia.

T. SAS: — Można to rozwiązać w taki sposób, że Konwent wyborczy ustawi pary kandydatów równorzędnych, czyli pochodzących z tej samej partii, organizacji społecznej, związku zawodowego.

M. ŁABĘDZKI: — Nasze doświadczenia z wyborów do rad narodowych są takie, że gdy było jasne, iż ten na drugim miejscu nie przechodzi, to nie mieliśmy chętnych do zajmowania z góry przegranych pozycji. Każdy uważał się przecież za tak samo dobrego jak ten przed nim. Nie ma co tu ukrywać, że ten, którego stawiamy na miejscu niemandatowym znajduje się w sytuacji mocno żenującej.

R. BALICKI: — Człowiek, którego ustawia się na drugiej, niemandatowej pozycji, przy głosowaniu bez skreśleń, może się okazać „debilem politycznym", jeśli weźmie się pod uwagę ilość głosów, jakie otrzymał. A to często nie ma pokrycia w jego działalności, wiedzy, doświadczeniu. Załóżmy na dodatek, że tym kandydatem na drugiej pozycji będzie człowiek piastujący jakiś urząd. Jeśli nie zostanie ustawiony na pierwszej pozycji, to może rzeczywiście popaść w dość wątpliwą sytuację.

W. RZYMSKI: — Sądzę, że powinno to być wyraźnie określone, iż osoby piastujące funkcje w administracji centralnej nie powinny kandydować do Sejmu.

M. ŁABĘDZKI: — I to zarówno na „górze", jak i na „dole".

T. SAS: — „Założenia" prezentują przecież koncepcję list regionalnych. Koncepcja ta budzi szereg zastrzeżeń i jest bardzo kontrowersyjna. Domyślamy się, że z list tych będą kandydowali ludzie z centrum rządowego i politycznego.

M. ŁABĘDZKI: — Używa się tu argumentu, że są oni blisko wszystkich spraw i z tego tytułu powinni być w Sejmie.

A. LUTRZYKOWSKI: — Jest to sprawa dość złożona. Trudno sobie wyobrazić, aby przedstawiciele centralnych władz partyjnych, stronnictw politycznych, organizacji społecznych i związkowych w ogóle nie kandydowali do Sejmu.

T. SAS: — Powinni to być działacze, a nie urzędnicy.

A. LUTRZYKOWSKI: — Zgoda. I rozumiem, że opowiadamy się za wyborami, a nie głosowaniem, za tym, aby większość decydowała o wyborze, a nie mechanicznie głosowała przez wrzucenie kartki do urny. Sądzę, że nurt ten zostanie rozwinięty w dalszej społecznej dyskusji nad „Założeniami". Zobaczymy, jakie będą zdania w tej kwestii. Tu chciałbym zwrócić uwagę na dwie jeszcze sprawy, których rozwiązanie wariantowo proponują „Założenia". Pierwsza — to ilu posłów, druga — czy bierne prawo wyborcze ma obowiązywać od 18 lat, czy od 21, jak do tej pory było?

CZY 18 LAT TO DUŻO?

W. RZYMSKI: — Mam poważne wątpliwości, czy obniżenie wieku w wypadku wyborczego prawa biernego jest potrzebne. Może to i jest ukłon w stronę młodzieży, ale czy jest on czymś uzasadniony?

T. SAS: — Są znikome szanse na to, aby w praktyce wybrany został taki młody poseł.

W. RZYMSKI: — W praktyce może się to okazać bardziej prawdopodobne, niż się nam to wydaje. Tylko proszę mnie nie zrozumieć źle, że ja jestem przeciwnikiem młodzieży. Wcale nie o to chodzi. Po prostu nie wierzę, aby człowiek w wieku 18 czy 19 lat miał tyle doświadczenia życiowego i politycznego, aby go to predestynowało do pracy w Sejmie.

R. BALICKI: — Nie zapominajmy też, że wymagałoby to zmiany w Konstytucji.

A. ZIELIŃSKI: — W moim przekonaniu nie jest to niczym uzasadnione.

M. ŁABĘDZKI: — Proszę pamiętać, że u nas obowiązuje zasada, że młody człowiek może założyć rodzinę mając dopiero 21 lat. Jest więc tu poważna niekonsekwencja. Do założenia rodziny młody człowiek w wieku lat 18 jest jeszcze mało odpowiedzialny, ale do działalności w Sejmie już dojrzał.

Rodzi we mnie sprzeciw fakt, że musielibyśmy zmieniać Konstytucję tylko dlatego, aby dać bierne prawo wyborcze młodzieży od lat 18. Również nie jestem przeciwnikiem młodych, ale sądzę, że zbyt częste zmienianie Konstytucji z powodów nie do końca uzasadnionych obniża jej wartość i trwałość.

A. LUTRZYKOWSKI: — Rozumiem, że opowiadamy się raczej za utrzymaniem wieku 21 lat, jako dolnej granicy upoważniającej do uzyskania biernego prawa wyborczego.

ILU POWINNO BYĆ POSŁÓW?

M. BALICKI: — Również zmiany w Konstytucji wymaga przyjęcie proponowanego wariantu, aby w Sejmie było 500 posłów.

A. ZIELIŃSKI: — Też nie widzę żadnego uzasadnienia dla takiej zmiany.

T. SAS: — W 1952 roku przyjęty był zapis konstytucyjny, że jeden poseł przypada na 60 tysięcy mieszkańców. Na początku lat sześćdziesiątych przyjęto poprawkę, według której ustalono liczbę posłów na 460. Co zmieni fakt, że posłów będzie 500 a nie 460?

A. ZIELIŃSKI: — Jeśli już koniecznie miałbym coś do zaproponowania, to zaproponowałbym, aby kadencja Sejmu odpowiadała naszym planom gospodarczym. Chodzi mi o to, aby Sejm mógł podjąć te wszystkie problemy, jakie mamy do zrealizowania w danym okresie planu społeczno-gospodarczego, aby mógł przyczynić się do ich pełnej realizacji i czuł się za to odpowiedzialny. Do tego potrzeba, abyśmy wybrali ludzi odpowiedzialnych, mądrych, znających się na tych sprawach, jakie w najbliższym czasie staną przed nami wszystkimi. Jest to oczywiście propozycja do dyskusji.

A. LUTRZYKOWSKI: — Poruszyliśmy w naszej dyskusji tylko niektóre sprawy związane z przyszłymi wyborami i „Założeniami do projektu ustawy ORDYNACJA WYBORCZA DO SEJMU POLSKIEJ RZECZYPOSPOLITEJ LUDOWEJ". Trudno jest dyskutować o wszystkim. Myślę, że wiele różnych spraw podejmie dyskusja, jaka toczyć się będzie niewątpliwie w poszczególnych środowiskach. Rusza ona powoli, ale też opinia publiczna zajęta jest innymi kwestiami. Sprawy wyborów są zbyt jednak poważne, aby o nich w ogóle nie dyskutować. Od tego, jaki kształt będzie miała ordynacja zależy wszak to, jakich wybierzemy posłów.

Opracowała:
BOGDA MADEJ

Włodzimierz Magin

Władysław Rzymski

Tomasz Sas

Andrzej Zieliński

Foto: Grzegorz Gałasiński

Czy Jezus był rewolucjonistą?

Dokończenie ze strony 1

gatemu młodzieńcowi poradził, żeby sprzedał majątek i rozdał ubogim, a następnie przyłączył się do grupy apostolskiej. Jezus uważał, że doskonałość moralna i szczęście człowieka nie dadzą się pogodzić z żądzą posiadania i bogactwa. Radził uczniom, żeby nie troszczyli się zbytnio, jak poganie, o swoją doczesną przyszłość. Z dwóch sióstr Łazarza z Betanii pochwalił Marię, a nie zapobiegliwą Martę.

Po śmierci Jezusa pierwsi chrześcijanie żyli w gminie o ustroju komunistycznym. Nie było tam własności prywatnej, lecz społeczna, dobra dzielono w zależności od potrzeb, wspólnie spożywano posiłki. Na ten temat w Dziejach Apostolskich czytamy: *„Ci wszyscy, co uwierzyli, przebywali razem i wszystko mieli wspólne. Sprzedawali majątki i dobra i rozdzielali je każdemu według potrzeby"*. A w innym miejscu Autor biblijny zanotował: *„Jeden duch i jedno serce ożywiało wszystkich wierzących Żaden nie nazywał swoim tego, co posiadał, ale wszystko mieli wspólne"*. W najstarszej niekanonicznej księdze chrześcijańskiej pt. „Nauka Dwunastu Apostołów" (zwanej w skrócie „Didaché"), spisanej prawdopodobnie na przełomie I i II wieku wzywa się wiernych, żeby dzielili się wszystkim z innymi braćmi i nie nazywali niczego swą własnością. Skoro bowiem mają wspólny udział w sprawach eschatologicznych, to tym bardziej powinni mieć w znikomych rzeczach doczesnych.

Na podstawie faktu, że chrześcijanie prowadzili komunistyczny sposób życia oraz zwracali się do siebie per „bracie" i „siostro", oskarżano ich o różne zboczenia i uprawianie wolnej miłości. Nabożeństwa wyobrażano sobie jako zbiorowe orgie seksualne. Stąd też w końcu II wieku pewien apologeta wyjaśniał, że wyznawcy Chrystusa tylko duchowo się wyróżniają, a pod innymi względami są normalnymi ludźmi, przestrzegającymi właściwych obyczajów. *„Zawierają małżeństwa i mają dzieci* — podkreślał — *jak wszyscy inni, lecz nie porzucają niemowląt. Uznają wspólnotę stołu, lecz nie wspólnotę łoża"*.

Posądzano pierwszych chrześcijan o kazirodztwo i ludożerstwo, zarzucano im dokonywanie rytualnych mordów niemowląt i picie krwi, pomawiano o kult oślej głowy. W tego rodzaju oszczercze plotki wierzyli nawet poważni i wykształceni ludzie. Jeden z nich pisał: *„Gdyby nie było w tym prawdy, to by o nich bystra fama nie roznosiła tak okropnych szczegółów, których bez obrazy uszu słuchających nie można powtarzać"*. W związku z oskarżeniem chrześcijan o podpalenie Rzymu w 64 roku, Tacyt pisze, że *„udowodniono im nie tyle zbrodnię podpalenia, ile nienawiść ku rodzajowi ludzkiemu"*. Ten wybitny dziejopisarz i polityk uważał religię chrześcijańską za straszne „zło" i niebezpieczny „zabobon". Podobnie drugi wielki historyk rzymski, Swetoniusz, zanotował w rozdziale o Neronie, że ukarano wyznawców „zbrodniczego zabobonu". I tak samo pisarz Pliniusz Młodszy nazwał chrześcijaństwo „szaleństwem i zarazą zabobonności".

Jak można było wierzyć w takie brednie? Otóż szkalowanie nowych radykalnych ruchów jest prawidłowością socjologiczną. Analogiczne zarzuty wysuwano również pod adresem marksistów. Na przykład z postulatem nacjonalizacji środków produkcji wiązano rzekome dążenia do wprowadzenia wspólnoty żon W niemieckiej ulotce antykomunistycznej z 1919 roku czytamy: *„Bolszewizm chce uspołecznienia kobiet! Degeneruje całą płeć niewieścią! Rosyjski dekret ukazuje, ku jak potwornemu sprostytuowanemu iosowi chcą was powieść te całkowicie odczłowieczone bestie. Zniesione zostaje prawo własności na kobiety w wieku od 17 do 32 lat. Zgodnie z tym dekretem wszystkie kobiety są własnością ludu. (...) Czy nie sądzicie, że i u nas obłędne umysły doprowadzą do ustanowienia takich zwierzęcych zarządzeń, jeśli tylko Spartakus zakróluje?"* Podobne przykłady łatwo można mnożyć, także z naszej historii najnowszej.

Początkowo do Kościoła chrześcijańskiego należeli głównie ludzie prości i biedni, rzadko zaś trafiali się intelektualiści i przedstawiciele klas wyższych. Nic więc dziwnego, że idealizowano i wywyższano warstwy plebejskie, a z niechęcią odnoszono się do uczonych i bogatych. Już Jezus ostro krytykował tzw. uczonych w Piśmie oraz groził bogaczom, natomiast pochwalał ubogich w duchu i wyzutych ze wszystkiego (anawim). Św. Hieronim zaznaczał, że Kościół pochodzi z „najmarniejszego plebsu", a nie z Akademii czy Liceum. Na początku V wieku Teodoret z Cyru pisał, że ludzie wolą nauki rybaków, celników i rymarza (czyli apostołów i św. Pawła), aniżeli „ględzenie filozofów". O słynnych niegdyś szkołach filozoficznych zupełnie zapomniano. W 529 roku całkowicie zamknięto Akademię i szkoły greckie. Filozofowie ateńscy zostali wygnani. Schronienie znaleźli na dworze sassanidzkim w Persji.

W pierwszych stuleciach, chrześcijaństwo bardzo przypomina późniejszy o wiele wieków ruch socjalistyczny Zwrócił na to uwagę Fryderyk Engels. Pisał on: *„Dzieje wczesnego chrześcijaństwa mają zdumiewające wprost punkty styczne ze współczesnym ruchem robotniczym. Chrześcijaństwo, podobnie jak ruch robotniczy, było w swych zaczątkach ruchem uciśnionych: występowało z początku jako religia niewolników i wyzwoleńców, ludzi biednych i wyzutych z praw, ludów ujarzmionych lub rozgromionych przez Rzym. Zarówno chrześcijaństwo, jak i socjalizm robotniczy głoszą nadchodzące wybawienie z uciemiężenia i nędzy; chrześcijaństwo odkłada to wybawienie do pośmiertnego życia w zaświatach, w niebie, socjalizm dąży do niego na tym świecie, łączy je z przekształceniem społeczeństwa. Zarówno chrześcijaństwo, jak i socjalizm robotniczy są przedmiotem prześladowań i nagonki, ich zwolennikom grozi proskrypcja, stosuje się do nich ustawy wyjątkowe: do jednych jako do wrogów rodzaju ludzkiego, do drugich jako do wrogów państwa, religii, rodziny, ustroju społecznego. I wbrew wszelkim prześladowaniom, a nawet wręcz dzięki nim chrześcijaństwo i socjalizm robotniczy niezodparcie przedzierają się naprzód w zwycięskim pochodzie"*. Podobieństwa między chrześcijaństwem a socjalizmem dopatrywał się Engels również w rozbiciu obu ruchów na rozmaite sekty, walczące jednocześnie z sobą i ze wspólnym wrogiem zewnętrznym. Ponadto — jego zdaniem — oba nurty tak samo grzeszyły na początku wyjątkowym idealizmem i łatwowiernością.

Do uwag Engelsa można dziś dodać, że zarówno chrześcijaństwo jak i socjalizm miały swoje błędy i wypaczenia, które analogicznie też związane były z dominującą pozycją w państwie, sprawowaniem władzy i nawracaniem innych. Ostatnio dużo się mówi o błędach komunistów, ale przecież skrajne wypaczenia w Kościele trwały przez kilka wieków. Nie należy zapominać o monstrualnych zbrodniach krzyżowców czy inkwizycji. W imię Ewangelii wymordowano i spalono miliony niewinnych ludzi. Sam fanatyczny Torquemada posłał na śmierć ok. 9 tysięcy osób! Owoce działalności „świętej" inkwizycji są przerażające. W dodatku hasłem tej instytucji terroru, tortur i zbrodni było: „Misericordia et justitia" (Miłosierdzie i sprawiedliwość). Kościół rozszerzał swój stan posiadania nie tylko kazaniami. W Ameryce Południowej i Środkowej, gdzie obecnie mieszka prawie połowa katolików, konkwista ze znakiem krzyża odbywała się tak brutalnie, że liczba ludności w tym rejonie spadła z 60 mln na początku XVI w. do 19 mln. w końcu XVIII wieku. Meksyk miał przed podbojem hiszpańskim 25 mln mieszkańców, a w latach 70-tych XVI w. już tylko 4,5 mln. Toteż Czesław Miłosz w głośnej książce antykomunistycznej „Zniewolony umysł" dość obiektywnie stwierdza: *„Cywilizacja, używająca przydomka chrześcijańskiej, zbudowana została na krwi niewinnych. Szlachetne oburzenie na tych, co dzisiaj próbują stworzyć inną cywilizację posługując się podobnymi środkami, nie jest pozbawione faryzeizmu"*. Fakty są takie, że nawet kult jednostki, dogmatyzm, cenzura i prohibity zostały „wynalezione" przez Kościół.

W szlachetnym początkowo ruchu chrześcijańskim z czasem pojawiły się objawy nieprawdopodobnej wprost demoralizacji. Szczególnie wyższe duchowieństwo było silnie zdeprawowane. Aż doszło do tego, że w 1032 roku wybrano papieżem 12-letniego chłopca, Benedykta IX, który już był „nieobyczajny" i tak skandalicznie się zachowywał, że lud rzymski go wygnał. *„Życie wieków średnich* — pisze historyk — *jest z jednej strony życiem nadzwyczajnej pobożności i ascezy, a z drugiej nieokiełznanej rozpusty"*. Zdumiewa nas dziś wyznanie papieża Hadriana VI (1522—1523), że *„od dłuższego czasu działo się w Stolicy Apostolskiej wiele rzeczy odrażających: nadużycia w sprawach religijnych, przekraczanie uprawnień; wszystko obróciło się ku złemu. Od głowy zepsucie rozprzestrzeniało się na wszystkie członki, od papieża poprzez prałatów, wszyscy zboczyli z prawej drogi; i nie znalazłoby się nikogo (sic!), kto dokonałby czegoś dobrego"*. Ale na tej podstawie nie można i nie wolno, rzecz prosta, oceniać doktryny. Całe to zło nie świadczy źle o religii, lecz jedynie o ułomności natury ludzkiej i zawiłościach historii.

W czasach upadku Kościoła pojawiły się liczne głosy o potrzebie powrotu do ideałów ewangelicznych, czyli do źródeł chrześcijaństwa. Niektóre zakony i sekty praktykowały wzory ubóstwa i komunizmu. Nurt komunistyczny nigdy zresztą nie został wyeliminowany z chrześcijaństwa. Nie jest wobec tego przypadkiem, że prekursorem nowożytnego komunizmu utopijnego jest — o czym się rzadko u nas wie lub nie pamięta — święty Tomasz Morus (ścięty w 1535 r., kanonizowany w 1935), a pierwsze państwo komunistyczne założyli w XVII stuleciu jezuici na terenie Paragwaju w Ameryce Południowej.

W 1516 roku ukazała się drukiem słynna „Utopia" — krytyka istniejącego społeczeństwa i wizja doskonałego ustroju komunistycznego. O autorze tej książki Erazm z Rotterdamu wydał następującą opinię: *„Tomasz Morus, kanclerz angielski, którego dusza czystsza była od śniegu, którego geniuszowi nikt dotąd nie dorównał w Anglii — ba! i nie dorówna, chociaż Anglia jest ojczyzną rozumu"*. W słowach tych nie ma zbyt wiele przesady. Tomasz Morus — prekursor utopijnej myśli komunistycznej — rzeczywiście był człowiekiem niezwykłym i zasłużył sobie na świętość. W jego książce miliony czytelników znajdowały rewolucyjną hipotezę: *„Zdaje mi się, że gdziekolwiek jest własność prywatna, gdzie wszystko mierzy się wartością pieniędzy, tam nie można spodziewać się ani sprawiedliwości, ani społecznego dobrobytu"*. Na zmyślonej wyspie Utopii (greckie „ou" + „topos" = miejsce, którego nie ma) wszyscy są szczęśliwi, ponieważ wszyscy pracują, nie znają własności prywatnej i pieniądza, gardzą klejnotami i złotem, jedzą w zbiorowych stołówkach, produkty otrzymują z magazynów w zależności od potrzeb. Usprawiedliwiając swój radykalizm Morus powiada, że większość nauki Chrystusa *„pozostaje w daleko większej sprzeczności z obyczajami tego świata"* niż jego poglądy.

Nie minął nawet wiek od wydania „Utopii" Morusa, kiedy w Nowym Świecie wśród Indian Guaranów jezuici założyli pierwsze w dziejach państwo komunistyczne. Chrześcijańska Komunistyczna Republika Guaranów istniała od 1610 do 1768 roku, czyli aż przez 158 lat! A skupiała ponad 100 tysięcy ludzi. W społeczeństwie tym nie było własności prywatnej: ziemia, inwentarz żywy, warsztaty rzemieślnicze i domy mieszkalne stanowiły własność społeczną. Podział dóbr odbywał się według potrzeb (liczebności rodzin). Pracować musieli wszyscy. Ksiądz katolicki Clovis Lugon pisze, że w ten sposób *„ojcowie po raz pierwszy wcielili w życie sens społeczny Ewangelii"*. Eksperyment ów był jednak solą w oku hiszpańskich kolonizatorów, gdyż podważał politykę brutalnego wyzysku i eksterminacji. Toteż tak długo oczerniano i kompromitowano działalność jezuitów, aż doprowadzono do ich aresztowania i wypędzenia. Zięć Karola Marksa, Paul Lafargue, choć niechętny jezuitom, oceniał ich przedsięwzięcie następująco: *„Chrześcijańska republika jezuitów budzi zainteresowanie socjalistów z dwóch powodów. Przede wszystkim daje ona dość dokładny obraz społeczeństwa, które Kościół katolicki usiłuje stworzyć. A następnie stanowi ona eksperyment społeczny i to doprawdy jeden z najciekawszych i najniezwyklejszych, jakich kiedykolwiek dokonano"*.

W 1822 roku po raz pierwszy pojawił się w literaturze wyraz „socjalizm", a od 1833 r. upowszechnił się za sprawą saint-simonisty Pierre Leroux (niesłusznie uważanego za twórcę tego terminu). W XIX stuleciu „socjalizmem" nazywano kierunek przeciwstawny indywidualistycznemu liberalizmowi. W tym czasie, co ciekawe, w jeszcze większym stopniu uznawano za sprzeczne określenia „liberał" i „katolik". Historyk katolicki Pierre Pierrard pisze, że w XIX wieku *„wyrażenie katolik liberalny raziło: było to najbardziej zdradliwe, najbardziej diaboliczne (sic!) połączenie słów z natury sobie wrogich"*.

W dziewiętnastowiecznej Europie szybko zapanowała moda na socjalizm i socjalistów. Przy czym modnym pojęciem posługiwali się zarówno przeciwnicy kapitalizmu, jak i jego zwolennicy dążący jedynie do reform. Socjalizm stał się — według wyrażenia Engelsa — „ruchem klasy średniej" i miał nawet „wstęp do salonów". Z tych względów Marks i Engels nie nazwali swego Manifestu z 1848 roku socjalistycznym, lecz komunistycznym. I tym drugim terminem zaczęli się posługiwać wszyscy radykałowie, zmierzający do obalenia istniejącego systemu i zastąpienia go nowym ustrojem, w którym klasą panującą stanie się proletariat. Celem ruchu komunistycznego od początku było zniesienie własności prywatnej i urzeczywistnienie społeczeństwa bezklasowego.

Z komunizmem wiązano nadzieje na uszczęśliwienie ludzkości. Niektórzy wyobrazali go sobie jako powrót do dawno utraconego raju. W pewnym sensie wyrazem tęsknoty za takim światem jest fragment księgi IV „Pana Tadeusza" Adama Mickiewicza, chociaż odnoszący się do przyrody. Czytamy w nim, że gdzieś w środku gęstwiny olbrzymich puszcz litewskich, gdzie człowiek nigdy nie dociera, znajduje się „królestwo zwierząt i roślin stolica". Życie wygląda tam następująco:

„Słychać, że tam w stolicy
między zwierzętami
Dobre są obyczaje, bo rządzą
się sami;
Jeszcze cywilizacją ludzką
nie popsuci,
Nie znają praw własności,
która świat nasz kłóci,
Nie znają pojedynków ni
wojennej sztuki.
Jak ojce żyły w raju, tak
dziś żyją wnuki,
Dzikie i swojskie razem, w
miłości i zgodzie,
Nigdy jeden drugiego nie
kąsa ni bodzie".

W odróżnieniu od dotychczasowych utopijnych wyobrażeń, marksiści zaczęli podkreślać, że socjalizm czy komunizm nie powstanie w wyniku moralnego oburzenia i perswazji, lecz narodzi się w walce klasowej jako konieczność historyczna. Nie wykluczali oni możliwości pokojowego charakteru rewolucji, lecz byli też zdecydowani na użycie przemocy. Późniejsze wydarzenia potwierdziły tezę, że klasy panujące nie ustępują dobrowolnie. Ponadto okazało się, że rewolucje napotykają zawsze na kontrrewolucje i dlatego muszą umieć się bronić.

Podobny do marksistowskiego pogląd, że upadek kapitalizmu i nadejście społeczeństwa bezklasowego jest koniecznością przyrodniczo-historyczną, wyznawał najwybitniejszy z jezuitów — ksiądz Pierre Teilhard de Chardin. Taki kierunek rozwoju świata uważał za zgodny z prawami boskimi. Wierzył on, że postęp społeczny prowadzi do świata, w którym *„oddawano by życie raczej za to, by wiedzieć i być, a nie za to, ażeby posiadać"*. Z sympatią odniósł się do Rewolucji Październikowej w Rosji, upatrując w niej początek nowej ery, chociaż ubolewał nad ateizmem bolszewików. W marksizmie, jego zdaniem, najważniejszy wcale nie jest ateizm, lecz humanizm, wiara w człowieka: dlatego katolicy powinni współpracować z marksistami.

W świetle powyższego nie należy się dziwić, że w rządzie rewolucyjnym Nikaragui zasiadają obok siebie marksiści Daniel Ortega i Tomás Borge oraz księża zakonni Ernesto Cardenal, Fernando Cardenal i Miguel d'Escoto. Ten ostatni głosi, że dopiero od rewolucji sandinowskiej Kościół katolicki w Nikaragui „chrystianizuje się" — czyli *„opowiada się po stronie uciskanych, staje po stronie wyzyskiwanych, oskarża nieludzki i przestępczy liberalny kapitalizm"*. Zdaniem księdza—ministra prawdziwy chrześcijanin jest rewolucjonistą, nie wystarczy bowiem modlić się o lepszy świat, lecz przede wszystkim trzeba walczyć.

Z okazji przyjazdu papieża w marcu 1983 r. wierni nikaraguańczycy namalowali olbrzymi mural, na którym lud niesie transparent: *„Janie Pawle witaj w wolnej Nikaragui dzięki Bogu i rewolucji"*. Jednakże ku ogólnemu rozczarowaniu papież nie poparł rewolucji sandinowskiej. Wielu uznało, że został źle poinformowany i wprowadzony w błąd przez doradców. Ale papież nie poparł również tak popularnej w tym rejonie świata „teologii wyzwolenia". Księża i biskupi reprezentujący ów kierunek uważają, że niekiedy trzeba przeciwstawiać się złu przemocą. A tymczasem Jan Paweł II, zwracając się do chłopów wszystkich krajów Ameryki Środkowej, przestrzegał: *„Nie słuchajcie tych, którzy chcą was wepchnąć na drogę walki zbrojnej i nienawiści klasowej. Przemoc nie jest drogą Jezusa Chrystusa, ani też Kościoła"*. Papież zresztą zawsze stanowczo i konsekwentnie potępia walkę klas i rewolucję społeczną — taka jest oficjalna doktryna Kościoła.

A jak kwestia ta wygląda w Ewangelii? Czy Jezus Chrystus był rewolucjonistą? Czy można Go sobie wyobrazić z „karabinem na ramieniu"? W związku z występującą w Starym Testamencie semicką zasadą „lex talionis" (Oko za oko, ząb za ząb), Jezus mówił: *„Nie stawiajcie oporu złemu. Lecz jeśli cię kto uderzy w prawy policzek, nadstaw mu jeszcze drugi. A temu, kto chce się z tobą procesować i zabrać ci szatę, zostaw i płaszcz. A kto by cię przymuszał, żebyś szedł z nim jedną milę, idź z nim i dwie"*. Tołstoj twierdził, że jest to najważniejszy element nauki Jezusa. Ale w takim razie istota chrystianizmu nie przyjęła się. Zdecydowana większość chrześcijan, poza nielicznymi wyjątkami, ignoruje to przykazanie. Nieczęsto też spotyka się przypadki miłości bliźniego, a tym bardziej miłości nieprzyjaciół. Pięknie wyraził to w swoim wierszu Włodzimierz Słobodnik:

Chrystus mówi: „Kochaj!"
Nienawidzą.
Chrystus mówi: „Nie zabijaj!"
Zabijają
Chrystus zmartwychwstał
lecz co dzień umiera
od tej nienawiści
od tego zabijania
od tego odróżniania.

Chrystusowa zasada niesprzeciwiania się złu nie ma chyba żadnych szans na realizację Jak dotąd tylko nieliczni idealiści i męczennicy stosowali ją w swym życiu. Z moich badań wynika, że ten sposób postępowania wobec zła i niesprawiedliwości uważa za najwłaściwszy zaledwie 3 proc. studentów i 4 proc. uczniów klas maturalnych. Natomiast większość (58 oraz 61 proc.) jest zdania, że zło należy zwalczać, lecz przemocy używać wyjątkowo i tylko w ostateczności. Ale przy okazji warto podać, że mało Polaków akceptuje drastyczne formy walki. Na przełomie listopada i grudnia 1981 r. popierało następujące akcje protestacyjne: strajki — 46 proc., demonstracje uliczne 22 proc., okupowanie budynków publicznych — 19 proc., stawianie oporu milicji — 17 proc., blokowanie ruchu ulicznego — 6 proc., niszczenie przedmiotów i urządzeń publicznych — 0,5 proc. Są to rezultaty badań przeprowadzonych na reprezentatywnej próbie ogólnopolskiej, a więc dotyczące całego społeczeństwa. Za siłowymi rozwiązaniami było wówczas około jednej szóstej Polaków.

Rewolucjoniści chcący pozostać w zgodzie z Ewangelią mogą jednak wybrać inną wypowiedź Jezusa. Mówił on do Apostołów: *„Nie sądźcie, że przyszedłem pokój przynieść na ziemię. Nie przyszedłem przynieść pokoju, ale miecz"*. Kiedy wszak św. Piotr chciał użyć miecza w Jego obronie, to został skarcony: *„Schowaj swój miecz do pochwy; bo wszyscy, którzy za miecz chwytają, od miecza giną"*. Wydaje się zatem, że Jezus był niezdecydowany. Wybitny psycholog Władysław Witwicki tak Go charakteryzuje: *„W stosunku do Żydów biednych, małych i wierzących był zawsze łaskawym dobroczyńcą; w stosunku do opornych, krytycznych, potężnych przeciwników niemiłosierny i skrajny"*.

Moim zdaniem Jezus był przede wszystkim reformatorem religijnym i pacyfistą. Został wprawdzie oskarżony o działalność polityczną i skazano Go jako „podżegacza ludu", ale w rzeczywistości nie zmierzał do buntu czy rewolucji społecznej. Jezus był lojalny wobec państwa rzymskiego, o czym łatwo przekonał się doświadczony polityk Poncjusz Piłat (podlegający namiestnikowi Syrii prokurator Judei). Tak samo całkowicie lojalni wobec Rzymu byli św. Piotr i św. Paweł. Obaj podkreślali nawet, że każda władza pochodzi od Boga oraz wzywali niewolników do absolutnego posłuszeństwa. Chrześcijańskie gminy komunistyczne miały powstawać drogą wewnętrznej odmiany moralnej i dobrowolnie, a nie poprzez zmiany ustrojowe, a tym bardziej nie przy użyciu siły.

Jednakże historia uczy, że prawdziwy postęp wymaga zarówno rewolucji społecznej, jak i odnowy moralnej. Nie ulega dziś wątpliwości, że chłopi i robotnicy na całym świecie zawdzięczają wszystkie swoje zdobycze i godność walce klasowej. Rewolucje lub realne groźby ich wybuchu legły u podstaw procesów wyzwalania narodowego i społecznego. Po zwycięstwie Rewolucji Październikowej nastąpiła reakcja łańcuchowa: rozwijały się ruchy narodowowyzwoleńcze, rozpadał się system kolonialny, wprowadzano nową politykę socjalną i ekonomiczną w krajach kapitalistycznych, powstawały państwa socjalistyczne. Nakłady dzieł Marksa i Lenina zaczęły dorównywać nakładom Pisma Świętego. W 1962 roku Leopold Senghor pisał, że fakty wskazywały *„tajemniczą moc ukrytą w ewangelii Lenina"*. Ten wybitny polityk i poeta senegalski podkreślał: *„...marksizm stał się naszym pierwszym instrumentem wolności..., podstawową jego zasługą było nie to, jak można by sądzić, że nas nauczył ekonomii politycznej, lecz przyswoił nam humanizm"*.

Znaczenie marksizmu w kwestii wyzwolenia społecznego doceniają dziś również teologowie katoliccy z Ameryki Południowej i Środkowej. Nie wahają się oni wyjaśniać sytuacji ludu i Kościoła przy pomocy marksistowskich kategorii analitycznych. Spotkało się to niedawno z potępieniem ze strony Świętej Kongregacji do Spraw Doktryny Wiary. Ale władze watykańskie muszą liczyć się z tym, że zdecydowana walka z radykalizmem duchownych amerykańskich może doprowadzić do reformacji i schizmy. Współpracy katolików z marksistami nie da się tutaj łatwo powstrzymać, ponieważ zbyt widoczne są efekty pozytywne. Słynny teolog brazylijski, franciszkanin Leonardo Boff powiada: *„Nie znam żadnego teologa w Ameryce Łacińskiej, który by nie używał marksizmu jako punktu odniesienia razem z ewangelią dla analizowania procesu pauperyzacji"*. Jego zdaniem już większość biskupów latynoamerykańskich popiera „teologię wyzwolenia", a w Brazylii funkcjonuje 150 tys. „gmin bazy", co bardzo niepokoi Stolicę Apostolską.

Walcząc z komunizmem na zewnątrz, Kościół znalazł go więc nieoczekiwanie we własnych szeregach. Arcybiskup diecezji San Salwadoru, Oskar Arnulfo Romero (zamordowany 24 marca 1980 roku podczas odprawiania nabożeństwa), oświadczył zdumionemu papieżowi: *„Ojcze Święty, w moim kraju jest bardzo niebezpiecznie mówić o antykomunizmie, bo antykomunizm głosi prawica, nie ze względu na miłość uczuć chrześcijańskich, ale przez egoizm, aby dbać o swoje egoistyczne interesy"*. Na to Jan Paweł II — obserwując uważnie rozmówcę — odpowiedział, że Kościół nie głosi antykomunizmu...

EDMUND LEWANDOWSKI

No to zdrowie na budowie...

DARIUSZ DOROŻYŃSKI

To było ładnych parę lat temu. Przyjaciel dostał wreszcie mieszkanie i po wielu latach egzystencji na jakimś strychu miał wprowadzić się do wymarzonego M-4. Radość w całej rodzinie była nieopisana..

Miałem zaszczyt uczestniczyć w jednej z pierwszych lustracji nowego locum, w czasie gdy uwijali się tam jeszcze fachowcy z brygad wykończeniowych. Przyjemnie było popatrzeć: jedni kładli tynki na klatce schodowej, inni je zrywali, bo trzeba było jakieś instalacje poprawiać, w korytarzu piętrzyły się zwoje wykładziny w „jodełkę", czyli lenteksu, zalanego zaprawą, ale to już kłopot lokatorów. Tempo było, pamiętam, dobre: nikt nie szalał, nie biegał, raczej spotykaliśmy grupy pracowników w trakcie zasłużonego odpoczynku i medytacji, głównie przy piwie, choć kilku dyżurnych (zwykle po jednym na piętrze) coś tam dłubało. Chodziło głównie o to, by uniknąć awantur, bowiem w budynku zaczęli się już pojawiać pierwsi rozgorączkowani mieszkańcy.

Potykając się o kable i deski dotarliśmy po dłuższej wędrówce ślepą klatką (takie teraz oszczędne się buduje, bez jednego okna...) do królestwa Adama na szóstym piętrze. Mnie również ogarnęła mieszkaniowa euforia i wówczas rzeczywiście nie zwróciliśmy uwagi na ten niewątpliwy patent budowlanych (z pewnością godny Nagrody Nobla), jaki stanowi jedenastopiętrowy budynek z jedną klatką schodową bez widoku dziennego światła od dołu do góry. Z biegiem czasu wysłuchałem wielu horrorów, czyli dramatycznych wspomnień z wędrówek po ciemnych schodach w trakcie choćby awarii energetycznych. Ponoć każdy z lokatorów tego typu wieżowców nosi przy sobie kłębek sznurka (taka współczesna nić Ariadny), latarkę lub świeczkę i śrubokręt. Ten ostatni jest niezbędny do wydostania się z windy, gdy wyłączą energię...

Wówczas był to nieistotny szczegół. Podziwialiśmy pokoje wielkości lotniskowych hangarów, małą, lecz zgrabną kuchnię, zachwycaliśmy się zgodnie widokiem z balkonu, usytuowaniem łazienki i ubikacji. Przyglądał się nam cały czas z widocznym rozbawieniem facet w służbowej kufajce, udający, że dłubie coś przy kaloryferze. Po jakimś kwadransie, radośni niczym szczygły, przepaliliśmy po Carmenie Adaś kurtuazyjnie, jakby dzięki jego protekcji dostał to mieszkanie, poczęstował też gościa pod kaloryferem. Wziął jednego, brudząc cztery sąsiednie i po raz pierwszy zachrypiał:

— Tylko okien, k.., nie otwierajta...

— A to czemu? — przyjacielowi wciąż serdeczny uśmiech gościł na twarzy.

— Bo dopiero co zatknięte, jutro się obrzuci ale teraz mogą na dół pier..

I wyciągnął w naszą stronę otwartą już, pękatą butelczynę z ciemnego szkła. Podziękowaliśmy, więc sam przechylił, zabulgotało, a po chwili puste opakowanie wyfrunęło przez balkon.

— *No, powinno grzać* — wskazał głową na kaloryfer — ale na dobrą sprawę, to się dopiero zimą okaże. Za ciepło jednak nie będzieta mieli...

— Dlaczego niby? — odezwałem się mądrze wielce.

— Przecie tu szczyt, czyli narożnik, a płyty byle jakie i tak samo uszczelnione — perorował Kufajka z tym samym uśmiechem politowania. — To co ma was grzać? A jakie robią te płyty, to chodź pan, pokaże...

Poprowadził *nas do pokoju obok, czknął z gracją i wyciągnął* wymiętoszoną paczkę. Popularnych. Adam usłużnie skoczył ze swoimi. Zaciągnęliśmy się, a on wskazał paluchem sufit. Faktycznie, wyglądało to nieszczególnie: tynk opadł w paru miejscach, w rogu zwisał wielkim płatem, straszyły piękne bąble. Widoczna miejscami goła płyta jakaś żółtawa była.

— Nie ma ch..., to musi odpaść — zaopiniował fachowo Kufajka. — Patrzta, ta płyta jest po prostu tłusta, w fabrykach domów polewają formy chyba ropą, żeby elementy łatwiej odchodziły. No i płyta naciągnie, wszystko odleci, czy kredówka, czy emulsja.

— To co ja mam zrobić? — przyjaciel jakby lekko się przeraził.

— Darmowe porady to w kole gospodyń — wyszczerzył zęby fachowiec, ale Adam w porę zaskoczył. Sięgnął do kieszeni, przybili, Kufajka dyskretnie zerknął w garść.

— Tylko tapeta pana ratuje, i to k... na porządny klej — rzucił od niechcenia. — No, lecę już...

— Chwileczkę — nagle przypomniały nam się liczne fuszerki, które jeszcze pięć minut temu uważaliśmy za błahe. — A to wybrzuszenie ściany to kto zlikwiduje? A gdzie baterie i umywalka? Dlaczego ta futryna cała wypadła? I lenteks „wstaje"! — Zarzuciliśmy go gradem pytań. Spokojny, wręcz flegmatyczny niespodziewanie się zdenerwował.

— Spokój, k..., co jest!? Tak wy do mnie, z takim tekstem? Co to ja, dyrektor jaki, alfa i ameba?! Te szczegóły to sobie z Kaziem, z majstrem obgadajta, a baterie montuje się na końcu, żeby nikt nie pod...

Wdeptał peta w wykładzinę parkietopodobną i opuścił pomieszczenie mieszkalne. A my ruszyliśmy na poszukiwania majstra, pana Kazia. Po godzinie znaleźliśmy go, a ja do dziś wspominam tę chwilę z rozrzewnieniem, bo poznałem rzeczywiście „alfę i amebę" osiedla w budowie.

Szczupły pan w średnim wieku, ogolony, uśmiechnięty życzliwie, w czystym służbowym uniformie — takim go pamiętam. Adam, który błyskawicznie uczył się obowiązujących na budowie reguł, jowialnie wziął go pod łokieć, szeptali trochę na uboczu, zapalili. W międzyczasie pan Kaziu wydał kilka dyspozycji różnym fachowcom wędrującym we wszystkich kierunkach. Po kwadransie zwierzeń przywitał się także ze mną i spokojnie, spacerem ruszyliśmy znów na górę, na szóste piętro.

— Będzie światło, będą windy chodzić, tu się posprząta, to też inaczej będzie wyglądać — tłumaczył nam po drodze majster. — No, to o co szczegółowo się rozchodzi, panie magistrze? — spytał w przedpokoju, a ja zerknąłem na przyjaciela z uznaniem.

— Ściany strasznie nierówne, ten garb w dużym pokoju okropnie wygląda, wykładzina wszędzie „wstaje" — Adam wystartował ostro.

— Taaak — pan Kazio wyciągnął notes i ruszył w obchód. — Da się zrobić, ściany trzeba porządnie przefilcować, lenteks położymy nowy, bo ten musiał wodę wciągnąć. Tę futrynkę obsadzimy jeszcze raz, nie ma problemu. A co by pan powiedział, panie magistrze, gdyby tak ściany specjalnym papierem wykleić?.

— A na cholerę papierem?! — wtrąciłem.

— Za jakieś pół roku i tak pan będziesz remont mieszkania robił — majster ignorował mnie zupełnie i tłumaczył sprawę wyłącznie Adamowi. — Trzeba, blok siada, pracuje, sufit popęka, ściany będą „strzelać", tego się nie uniknie. A jak damy papier, to te odpryski zostaną pod papierem, będzie pan miał czysto w mieszkaniu. Robimy?

— Bardzo proszę panie Kazimierzu, pan wie najlepiej — nie poznawałem przyjaciela, doskonale wczuł się w rolę. Po chwili zniknęli w ubikacji, zamykając drzwi za sobą. Słyszałem tylko szczątkowe fragmenty dłuższego monologu majstra, który coś tłumaczył o dodatkowej powierzchni, jakimś przesuwaniu ściany. Po paru minutach, jak starzy kumple, przenieśli się do kuchni.

— Panie Kaziku złoty, czy ta obudowa zlewozmywaka nie mogłaby być pomarańczowa, bo mam już takie meble do kuchni? — tokował Adam.

— Nie ma sprawy — szef fachowców porobił kilka notatek i począł powoli się żegnać. — To tak jakeśmy mówili panie magistrze, kluczyki są u mnie, pan się nie musisz spieszyć, ten tydzień pana nie zbawi, a my tu wszystko wypucujemy jak się tylko da. A w tamtej sprawie mogę liczyć na poniedziałek? — uścisnął serdecznie prawicę Adamowi, mnie ledwie kiwnął głową i zniknął.

Tak się złożyło, że odwiedziłem przyjaciela dopiero miesiąc później. O pomoc przy przeprowadzce się nie dopominał, nawet nie zatelefonował, nie wiedziałem co o tym myśleć. Postanowiłem złożyć mu wizytę w nowym locum. Był na miejscu. Otworzył mi natychmiast, lecz jakby lekko się zdziwił.

— A, to ty. No wchodź, wchodź, czekam właśnie na jednego fachurę od spawania. Nie widziałeś go na dole, taki w okularach na berecie?

— A co ty tu jeszcze przerabiasz? — bąknąłem zmieszany. — I czemu się jeszcze nie wprowadzasz?

Rozejrzałem się po mieszkaniu, które w niczym nie przypominało tych zdefektowanych kilku pokoi sprzed miesiąca. Ściany wyklejone białym papierem, garb w dużym pokoju zniknął, wykładzina wszędzie identyczna i gładko do betonu przylegająca, futryny i okna odmalowane na biało.

— Wprowadzamy się w przyszłym tygodniu, spokojnie. Kazio mówi, że nie ma się co śpieszyć, jeszcze parę rzeczy muszę przerobić. Chodź, pokażę ci jaki patent mam w ubikacji.

Wąska tradycyjnie klitka z klozetem pośrodku zmieniła się nie do poznania. Odmalowane drzwi, kafle na podłodze, a przede wszystkim ta duża wnęka po lewej stronie, w której pysznia się automatyczna pralnica.

— Kazik mi to podsunął i pomógł zrealizować — perorował dumny jak paw Adam. — Tu, rozumiesz, był taki pusty szyb od parteru po dach, pierwotnie miały się w tych wnękach znaleźć umywalki. Ale nie wiedzieć czemu (pewnie gdzieś się rozeszły) postawiono tu byle jaką ściankę z pustaków. Kazik dał dwóch chłopaków, ściankę wyburzyli, na dole i na górze zamocowali kratownicę z drutu zbrojeniowego, zalali betonem. Potem przeciągnęli gniazdko, założyli mi dodatkowy kran, no i mam miejsce na pralkę. To się Małgosia ucieszy, prawda?

Nie poznawałem Adama, starego safanduły, który nigdy gwoździa wbić nie umiał. Tu brylował, zaradny jak mało kto, przykład przedsiębiorczego faceta, który z niejednego pieca chleb jadł. Zacierając ręce z zadowoleniem sięgnął pod brudny stół i wyciągnął dwie szklanki. Przechylał butelkę „Maxima", gdy odezwał się dzwonek przy drzwiach. W progu stanął mężczyzna w poplamionym kombinezonie, na fantazyjnie przekrzywionym berecie tkwiły czarne okulary spawacza. Za nim sapał młody chłopak targając dwie butle z gazem i naręcze przewodów.

— Jestem od Kazika — zagadał krótko i od razu skierował się do łazienki.

— No, nareszcie panie Stasiu! — ucieszył się wylewnie Adam — Wie pan, chciałbym przestawić wannę na prawo, umywalkę na wprost, a kaloryfer...

— Wiem — uciął krótko „fachura" — wszyscy robią to samo, bo tak jak teraz to faktycznie jakiś kretyn musiał wymyślić. Jasiek, dawaj aparat!

Zamknęli się z pomocnikiem w łazience, a przyjaciel wrócił do pokoju, do nalanych szklanek. Palnął duszkiem i wyciągnął pokruszone... Popularne.

— Ten Kazik to prawdziwy zawodowiec — zapach palonego sznurka z domieszką łopianu wypełnił pokój, ale jemu i to nie przeszkadzało. Opowiadał ze swadą przeżycia z ostatnich tygodni.

— Z obudową zlewozmywaka to nie była prosta sprawa. Kazik wymienił ją jak chciałem, zaraz na drugi dzień. Stary, przychodzę kiedyś, a tu obudowa — zielona, a tylko Kazik miał klucz od mieszkania. Lecę do niego, zdziwił się, ale chłopaka wysłał, zmienili przy mnie znów na pomarańczową. Po kilku dniach wpadam na kontrolę, patrzę — znów jest inna, tym razem drewnopodobna. To już był mały problem, bo wszystkie okoliczne bloki miały zamontowane te nieszczęsne obudowy. Ale Kazik się sprężył i wysłał chłopaka na to osiedle obok. Idę z tym młodziakiem, a on bezczelnie bierze obudowę na głowę i smaruje środkiem jakby nigdy nic. Mówię, by choć w papier ją owinął. A on w śmiech: „Panie psychiczny, jak w papier owinę, to pomyślą, że ukradłem, a tak to wiadomo, że na usterkę idę...". Tak bracie, to są fachowcy...

Z łazienki wyjrzała umorusana twarz pana Stasia. — Eee, panie ładny, ten kaloryfer ma być na tej samej wysokości czy może go w dół lub w górę przesunąć?

— Na tej samej, panie Staszku, nie rób pan sobie kłopotu... — Adam był miły, że do rany przyłóż. Polał w szklanki, bąknął „No to zdrowie na budowie" i wrócił do swych doświadczeń.

— Stary, a jaki miałem kłopot z pumeksem. No, nie rób takiej miny, pumeks był potrzebny do wyrównania drzwi i okien przed powtórnym, dokładnym malowaniem. Przyszło dwóch od Kazika i mówią, że to jedyna metoda i potrzeba tego z dwadzieścia kostek, takich dużych, prostokątnych. Obleciałem wszystkie sklepy w mieście, nie ma. Co robić?! Walę do Kazika. Przeszedłem krótką lekcję i zgodnie z instrukcją zdobyłem pumeks. Jak? To proste. Najpierw upatrzyć trzeba budowę, gdzie ten pumeks nieszczęsny maja: leży to zwykle powiązane w pęczki zwykłym powrósłem. I w środku dnia, w porze obiadowej wjeżdżasz tam samochodem. Portier, jeśli jest, to zwykle śpi. Wokoło w blokach pracują chłopaki, wszyscy cię widzą. A ty nic, wjeżdżasz i wołasz głośno: „Cześć!". Jak tylko któryś ci odpowie — już jest dobrze: ładujesz, ile ci potrzeba, znów ryczysz „Serwus", albo coś w tym rodzaju i spokojnie, bez nerwów odjeżdżasz

— Ale to granda w biały dzień! — zaprotestowałem znienacka, wychylając szklankę jednym haustem. — Dlaczego nikt nie zainteresował się, nie zareagował?!

— Też nie mogłem tego zrozumieć. Ale Kazik, stary budowlany psycholog, wyjaśnił mi. Słuchaj, jeśli tylko któryś nieopatrznie odpowie na twoje powitanie, a zawsze tak się zdarzy, bo na przykład jesteś do kogoś podobny, to cała reszta jest przekonana, że byłeś z nim umówiony. To po cóż ma któryś zepsuć interes? Żeby ten się zrewanżował, gdy do niego przyjdzie faktycznie umówiony klient po bańkę farby choćby? Ja jestem ślepy i głuchy dziś, jutro — ty. Psychologia, bracie...

— Szybko się Adaś uczysz... — wtrąciłem z przekąsem.

— No, wiesz, lepiej późno niż... Coś ci jeszcze pokażę, to też niespodzianka dla Małgosi

W najmniejszym pokoju, zamienionym na podręczny magazyn wskazał mi kilka podłużnych pudełek z kafelkami; błękitne na ściany łazienki, a granatowe, prostokątne — na posadzkę.

— No i czemu ich nie kładziesz, twój Kazio nie może ci pomóc? — dogadywałem, choć złość już mnie brała na tę jego cholerną zaradność.

— Bądź spokojny, pomoże, już z nim rozmawiałem i niezbędne materiały jak wapno czy cegła „dziurawka" na obudowę wanny — szykuje. Ale też poradził, bym te roboty wykonał gdzieś za pół roku. Po pierwsze — blok siada, po drugie — mnożą się jeszcze usterki w instalacjach, a ci z administracji strasznie lubią niszczyć ułożone przez lokatora kafelki.

— Gotowe! — z łazienki wylazł pan Stasio z pomagierem i kłębkiem kabli. — Co? Ee, musi działać, łaski nie robi. Jakby co, to wiesz pan gdzie mnie szukać? No to lecę...

— Chwilunia... — Adam zachowywał się nad wyraz przytomnie. Doskoczył ze szklanką do fachowca, ten łyknął bez słowa zachęty, a przyjaciel wetknął mu w małą kieszeń kombinezonu jakieś banknoty. Podali sobie „piątkę" i spawacze wyparowali.

— No, dobra, na dzisiaj zakończyłem — Adam zatarł zadowolony rączki. — Słuchaj stary, ty sobie, jak chcesz, mieszkanie pooglądaj, ja muszę dokończyć wypracowanie...

Zdjął zachlapany pokrowiec z maszyny do pisania, przysunął kulawy taboret i zaczął walić w klawisze. Oniemiały nieco zerknąłem mu przez ramię. W oczy bił nagłówek: „Umiłowanie ziemi w twórczości Władysława Reymonta". Adam właśnie kończył kartkę.

— Jak ty piszesz „macierz", przecież to przez „er zet"! — wyjąkałem przerażony.

— Dobrze, dobrze, parę błędów musi być — nie przerywał pisania. — Poprzednio, jak mu opracowałem „Naszą szkapę", to było za dobrze, bo bez błędów i złapał „bombę". Nauczycielka myślała, że z jakiejś książki przepisał.

— Tyś oszalał?! Przecież twój Maciek dopiero do pierwszej klasy chodzi...

— To nie dla Maćka, stary, to praca domowa Kazika, on kończy swoje technikum dla pracujących. No, co się tak patrzysz? Grosza ode mnie nie bierze, to mu odrabiam polski i historię, a Małgośka specjalizuje się w matematyce i chemii.

Wiele miesięcy później dowiedziałem się, że pan Kazik zdał maturę śpiewająco, no, a mój przyjaciel ma z pewnością jedno ze staranniej wykonanych mieszkań w mieście. A taki był kiedyś uroczy safanduła...

PS. Wszelka zbieżność imion, zawodów, opisanych zdarzeń z szarym życiem jest naprawdę przypadkowa. Wiemy przecież wszyscy, że na mieszkania czeka się krótko, oddawane są w terminie, bez usterek, bez usterek, bez usterek, bez...

D. D.

Rys. Janusz Szymański-Glanc

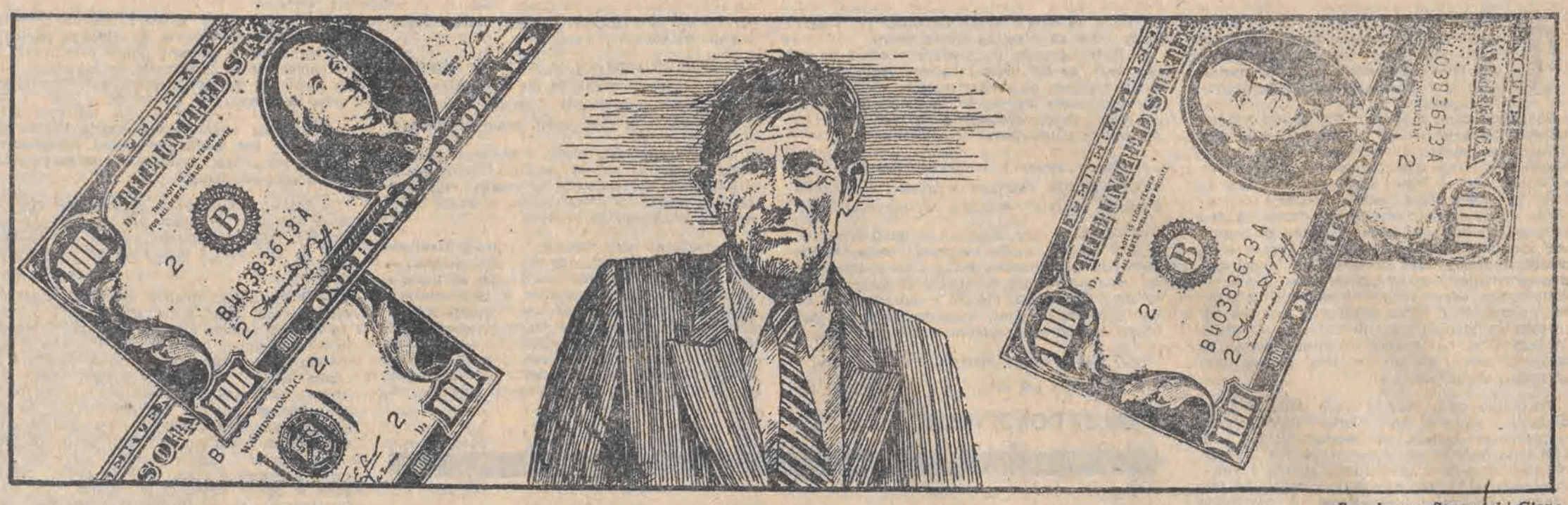

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Intymny świat cinkciarzy

EUGENIUSZ IWANICKI

W połowie ubiegłego roku pisałem w tym miejscu („Odgłosy" Nr 21 z dn. 26 maja 1984 r.) o wielkiej aferze dotyczącej przemytu na rozległą skalę sztruksu z RFN do Polski, zbywania go w kraju za dolary USA i marki zachodnioniemieckie i wywożenia tej chodliwej waluty na Zachód. Prowadzone śledztwo objęło wówczas 25 osób, z czego trzy osoby były poszukiwane listami gończymi. Dziś dalszy ciąg tej barwnej opowieści, w której będą przewijać się wielkie kwoty (wielkie dla przeciętnych obywateli, natomiast dla aktorów całego zdarzenia są one czymś tak zwyczajnym i oczywistym jak posiadanie ubrania czy chusteczki do nosa), niezwyczajne zdarzenia, a także dojdą do głosu ludzkie namiętności. Jednakże uprzedzam lojalnie, że nasza opowieść mimo iż dotyczy „afery sztruksowej" to w przeważającej swej mierze będzie relacją, którą nazwałbym „porachunkami w polskim światku mafijnym", czyli skoncentrujemy się na intymnym świecie cinkciarzy. Rządzą w nim swoiste prawa, obowiązuje jakiś nawet kodeks honorowy, są „rekiny" i zwyczajne „płotki", wreszcie cementuje go zawodowa lojalność. Wszystko to funkcjonuje do czasu, aż nie dosięgnie ich surowe ramię sprawiedliwości ludowej. Walą się wtedy mity, rwą się więzy, każdy jak może ratuje własną skórę.

A więc opowieści sztruksowej ciąg dalszy rozszerzonej o wspomnianą strefę intymną jej uczestników. I o tamtych trzech panach, których poszukiwano listami gończymi.

Wszystko zaczęło się późną jesienią 1979 r., kiedy dni są jeszcze znośne, ale noce obfitują w przymrozki, co dla naszej relacji ma dość istotne znaczenie.

Ale po kolei i od początku.

JAK W SERIALU KRYMINALNYM

Mówi Teresa Ewa R., lat 52. „Daty dokładnie nie pamiętam, było to pod koniec listopada 1979 roku, przyjechali w/w. (chodzi o trzech mężczyzn: Mieczysława K., Sławomira S. i Piotra P. — przyp. E.I.) do Ostrowca. K. przyszedł do mojego mieszkania z dolarami. Dolary te miałam przekazać dwom osobom z miejscowości Słupcza woj. Tarnobrzeg. K. do mieszkania przyszedł sam. K. powiedział, że dolary ma w samochodzie i prosił bym się z nim udała do samochodu, który stał przy wylocie ulicy Młyńskiej w Ostrowcu. W tym dniu osobnicy ze Słupczy czekali na poczcie w Ostrowcu. Z mieszkania wyszłam razem z K. do jego samochodu. Na ulicy Młyńskiej stał samochód fiat włoski, koloru jasnego. Wsiadłam do samochodu razem z K. K. zaczął rozmowę nie na temat dolarów, które w tym dniu miał przekazać do Słupczy, lecz pytał ile zarobiłam na dolarach, które wcześniej wzięłam od K. i sprzedałam. Ja oświadczyłam K., że nie przyszłam po to, aby on się wypytywał ile zarobiłam. K. oświadczył, że tyle zarobiłam, to mogę się nimi podzielić...

...Ja oświadczyłam K., żeby dał te dolary, bo czekają ludzie. K. odpowiedział, że da dolary po zakończonej rewizji w moim mieszkaniu. Wyglądało na to, że K. nasłał na moje mieszkanie milicję. Powiedziałam K., że ja się nie boję, bo w domu nic nie mam, a to co mi dał K. sprzedawałam od ręki. K. powiedział, że dowodem tego, że w moim mieszkaniu jest milicja to jest siedzący na tylnym siedzeniu porucznik milicji. P. tak się też przedstawił, że jest porucznikiem milicji...

...Na osiedlu K. spotkał trzeciego kolegę, który wsiadł do samochodu...

...Gdy wsiadł ten trzeci, ja zapytałam dlaczego nie podjeżdża pod moje mieszkanie. Jeden z tych trzech oświadczył, że jest to nieprawdą, że w moim mieszkaniu jest milicja i że ja znajduje się między złodziejami. K. w tym czasie zjechał na ubocze osiedla i zaczęli mnie straszyć, że ja już dzisiaj nie będę żyła, że mnie utopią, względnie zabiją i upozorują wypadek samochodowy...

...Wreszcie jeden z nich oświadczył że szkoda czasu i tak czy tak skończą ze mną, gdybym nawet dała im pieniądze. Bali się, że ich wydam. Z osiedla wyjechali ze mną w kierunku Warszawy. Jadąc z Ostrowca razem z nimi P. trzymał mi przy głowie pistolet i powiedział, że jak będę krzyczała to mnie zastrzeli...

...Tak dojechaliśmy do skrzyżowania dróg na Warszawę i Skarżysko, gdzie jest parking. Na parkingu tym stał drugi samochód osobowy, jak sobie przypominam to duży fiat. Z samochodu którym jechałam ja wyszedł K. i ten wysoki. P. trzymał mi przy głowie cały czas pistolet. K. i ten wysoki wsiedli do tego fiata, co już stał, coś się naradzali. Po powrocie K. i tego wysokiego do samochodu, w którym ja siedziałam i P. przerzucili mnie przez oparcie przedniego siedzenia na tylne siedzenie, gdzie siedział P. i ten wysoki. Na tym siedzeniu zabrali mi torebkę, przeszukali mi kieszenie. Na palcach miałam obrączkę i dwa pierścionki złote, które P. kazał mi zdjąć, bo inaczej połamie mi palce i zabierze...

...Z torebki ten wysoki zabrał mi 2 tys. złotych, bony dolarowe, nie pamiętam ile, oraz marki zachodnioniemieckie — około trzydziestu. Po zabraniu tych przedmiotów zatkali mi usta chusteczką i zaczęli mnie bić. Bili mnie po głowie, wybili mi zęby i wykręcali mi ręce. Bili mnie po żołądku. Trzymał mnie P. a bił ten wysoki. K. siedział na przednim siedzeniu. W czasie tego bicia traciłam przytomność, chyba dwa lub trzy razy. W trakcie tego bicia powiedziałam im że mam pieniądze zakopane w miejscowości Waśniów....

...W międzyczasie K. przypomniał sobie o złotniku J., który mieszka w Ostrowcu. K. oświadczył, że podwiozą mnie do Ostrowca do J. i żebym ja wzięła od J. pieniądze na dolary, a te które mam zakopane w Waśniowie, zabiorą innym razem....

...Do mieszkania J. wszedł ze mną K. po wcześniejszym uprzedzeniu mnie abym nic nie kombinowała, bo mają pistolet i będą strzelać i przetną telefon J...".

Relacja Teresy Ewy R. jest długa, obfituje w barwne szczegóły, choć w sumie sama bohaterka jest przedstawiona jako niewinna ofiara bandyckiego napadu nie mająca możliwości obrony. Wróćmy jednak do wątku opowieści. Otóż „interes" ze złotnikiem J. nie powiódł się, bo J. nie chciał dolarów i nie chciał dać pieniędzy. Pozostawała jedynie skrytka w owym Waśniowie. Noc się zbliżała, ciemność waliła jesienna i mrozik zaczynał poszczypywać. Trudno. Teresa Ewa R. zostawiła całą trójkę przed domem, który był własnością jej rodziców, a sama rzekomo poszła po forsę. Nie było jej długo, w końcu wychyliła się z okna i powiedziała, że nie może zacząć kopać z dwóch powodów: ludzie nie śpią w okolicy, no i ziemia zamarzła na amen. Zrozumieli, że chyba coś kręci. Władowali ją więc powtórnie do samochodu i wrócili na owe skrzyżowanie dróg Warszawa — Skarżysko. Tam przesadzili Teresę Ewę R. do oczekującego fiata, w którym już siedziało dwóch mężczyzn, z których jeden dał jej długopis i kartkę i zmusił do napisania anonimu o całym zajściu. Mieli ten anonim wyrzucić w czasie jazdy. Potem pojechali do Warszawy. Na rogatkach zawiązali Teresie Ewie R. oczy i zawieźli do jakiegoś garażu, w którym spędziła kilka dni kontaktując się jedynie z jakimiś przysłanymi przez porywaczy kobietami, natomiast nie wiedząc nic co się dzieje na świecie, a nawet tracąc rachubę kalendarza.

Miała „zmięknąć", ale Teresa Ewa R. to twarda sztuka. Nie z nią te numery. I tak mijały dni. Aż kiedyś odwiedzające ją kobiety kazały jej doprowadzić się do porządku i zawiozły ją na Dworzec Centralny, wykupiły bilet, wsadziły do pociągu i poczekały aż odjedzie. Teresa Ewa R. była potwornie zmęczona, więc zasnęła i dojechała aż do Krakowa. Dopiero stamtąd dotarła do Kielc, gdzie zgłosiła się do Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych, opowiadając swoją niewiarygodną historię.

Wkrótce cała trójka została zatrzymana.

ZNAJOMOŚĆ SPRZED „PEWEXU"

K., kiedy go zaczęli indagować milicjanci, opowiedział o swojej znajomości z Teresą Ewą R., a także o tym nieromantycznym jej porwaniu. Zaczęło się tak.

Poznali się przed warszawskim „Pewexem", choć on był mieszkańcem Łodzi, a ona Ostrowca. Z miejsca zaofiarowała się, że pomoże mu w nabyciu bonów. Po stówie za sztukę. Wręczył jej więc 120.000 zł i czekał, gdy ona tymczasem poszła za róg. Dla pewności okazała mu przedtem swój dowód osobisty. Nie wracała długo i K. pojął, że nie wróci. Nazajutrz pojechał do Ostrowca, ale R. nie zastał. Potem pojechał powtórnie i też bez pozytywnego rezultatu. Tak jeździł z Łodzi do Ostrowca kilka razy, aż w końcu R. przydybał. Zaczęła kręcić, odwlekać. Ledwo odzyskał 10 tys. Teraz jego wizyty stały się częstsze, ale R. nie była chętna oddać pieniądze. Ot, czasem dawała parę tysięcy, ciągle obiecując, że lada dzień zwróci wszystko. Wówczas pojął, że trafił na zawodową oszustkę, która żyje z tego, że nabiera takich jak on. A przecież K. w środowisku uchodził za sporego cwaniaka i łebskiego faceta.

W sumie odzyskał zaledwie 25 tys. złotych. A gdzie reszta? Właśnie wtedy zrodził się u niego pomysł z napadem. Przed milicjantami tak mówił: „Po drodze któryś z nas kupił sznurek, żeby związać, gdyby chciała uciekać. Miałem z sobą także pistolet gazowy, który kształtem podobny był do pistoletu „Colt"... Pokazaliśmy jej sznurek, mówiliśmy przy tym, że będzie wisieć... Zatrzymaliśmy się na tym parkingu, o którym mówiłem wcześniej i tam powiedziałem do niej, że jak się tu nie przyzna, to jak pojedziemy dalej, to już nie wrócimy... Dokonaliśmy również rewizji tzn. przeszukaliśmy jej torbę oraz odzież, w którą była ubrana. Ja wiedząc, że R. jest „cwaną" oszustką, szukałem dokładnie u niej pieniędzy, sprawdziłem czy nie ma ich w biustoszu i w majtkach... Wziąłem jej natomiast obrączkę, którą miała na palcu i powiedziałem, że zwrócę jak ona odda mi pieniądze...".

Z dalszej relacji wynika, że R. kluczyła, przeciągała, zawiozła ich do jubilera J., potem do owej wsi, gdzie miały być zakopane pieniądze. Tu R. zasłaniając się nocą i mrozem powiedziała, żeby przenocowali gdzieś w pobliżu, a rano zacznie się kopać. Usłuchali i odjechali do hotelu robotniczego w Starachowicach, a ona została w owym domku. Rano nikogo nie zastali, R. się ulotniła. Wściekli się. Ruszyli do Ostrowca, gdzie zostali zatrzymani przez milicję.

K. uważa, że niesłusznie. Wkrótce zostaje zwolniony i mówi o R. rzeczy jak najgorsze. Sama R. przyznaje się, że owszem, jeździła do Warszawy już w 1979 roku. Chciała wówczas kupić na Bazarze Różyckiego pierścionek zaręczynowy, bo właśnie syn zamierzał się ożenić. Jakaś kobieta, która sprzedawała takie zaproponowała jej dolary po 120 zł sztuka. Wtedy R. przypomniała sobie, że dolary chce nabyć matka pewnego grabarza z Opatowa. Transakcja doszła do skutku. (Tu małe wyjaśnienie: kurs dolara był i jest nadal różny w różnych częściach Polski. Kiedy R. płaciła za 1 dolara USA 120 zł., K. w tym czasie w Łodzi sprzedawał 1 dolara za 130 zł. A więc wystarczyło pojechać do Ostrowca, nabyć od R. powiedzmy 1.000 dolarów i sprzedać je w Łodzi. Takich kursów K. robił trzy tygodniowo).

Tak więc w 1979 r. R. zwęszyła dobry interes. Zaczęła zbierać od różnych ludzi pieniądze, a poznana w Warszawie kobieta dostarczała „zielone". Przez ręce R. zaczęła płynąć fortuna. W aktach sprawy coraz to czytamy: 2 tys. dolarów, 15 tys. dolarów, 800 marek RFN, 3 tys. marek, 7 tys., a do tego bony PKO, polskie złotówki.

K. w ciągu czterech miesięcy sprzedał jej około 10 tys. dolarów i 16.300 marek RFN. Tu pewna ciekawostka: Teresa Ewa R. dopiero w śledztwie dowiedziała się, że K. ma na imię Mieczysław, gdyż znała go jako Andrzeja, choć występował także jako „Turysta" i „Gumożuj".

POZOSTAŁE PORTRETY

Wraz z K. udział w napadzie brali Sławomir S. i Piotr P. Ten ostatni jest dobrze znany łódzkiej milicji jako bywalec Grand Hotelu i Hotelu Centrum, gdzie spotykał się z podobnymi jak on cinkciarzami i spekulantami. Natomiast Sławomir S. pseudonim „Murzyn" stara się do końca grać gentelmana i wszystkiemu zaprzecza. W wyniku splotu okoliczności wówczas w Ostrowcu nie został zatrzymany. Odnaleziono go w Łodzi. W śledztwie stale powtarza: nie widział, nie brał, nie słyszał by straszono R. śmiercią przez powieszenie, nikt też nie zabierał jej biżuterii. „Rozmawialiśmy z nią bardzo kulturalnie" — mówił unosząc brwi w niekłamanym zdziwieniu. Nawet w czasie konfrontacji z pewną mieszkanką Łodzi, której sprzedał sfałszowane przez siebie dolary (nominały jednodolarowe sprzedał jej jako setki, za co otrzymał w sumie 28.000 zł. Było to trzy lata temu i kobieta rozpoznała oszusta dopiero na zdjęciu zamieszczonym przez prokuraturę w „Głosie Robotniczym"). Tenże S. utrzymywał bliskie kontakty z jednym z wcześniej zatrzymanych kombinatorów z „afery sztruksowej", któremu sprzedał 5.000 dolarów USA i 3.000 marek RFN.

Jak już wspomniałem na początku, w połowie ubiegłego roku opublikowałem artykuł na powyższy temat. A ponieważ sprawa o porwaniu Teresy Ewy R. jest ściśle z tym tematem związana, warto przypomnieć jakie to sumy przechodziły przez lepkie ręce ludzi lubiących lekki chleb. Oto Wojciech Ł., nabywca obcej waluty od Sławomira S. Ma 30 lat, a ileż razy wyjeżdżał na Zachód! RFN, Dania, Austria, Grecja. Jeździł z żoną i z reguły każde zabierało sporo dolarów. Przywoził sztruks i teksas. Tu albo szył spodnie albo sprzedawał surowy towar. Zarabiał. W ciągu dwóch lat potrafił zakupić 22.700 dolarów USA i 15 tys. marek RFN. Zapłacił za nie 13.441.000 zł plus 3.550.000 zł. Skąd brał? Twierdzi, że ma rodzinę w RFN, która go wspiera, a do tego ma na Zachodzie własne konto bankowe. A związek z Mieczysławem K.? Ten ostatni kupował od niego spodnie lub sztruks (spodnie po 3.000 zł do 3.800 zł sztuka w zależności od roku i rodzaju materiału). K. sprzedawał także dolary i marki Wojciechowi Ł., albo pierścionki z brylantem. Pierwszy pierścionek był niedrogi, ot zaledwie 550.000 zł, za to drugi, od Cygana już za 1.250.000 zł. Ł. zarówno dewizy jak i pierścionki przemycał za granicę.

Inny cinkciarz, zatrzymany kiedyś razem z Mieczysławem K. pod rzeszowskim „Pewexem", niejaki Andrzej Ś. opowiada, że w 1983 r. K. za 1.000 dolarów, płacąc po wysokim dość kursie wydał 542.000 zł. A potem jeszcze dokupił 2.050 dolarów USA. Potem przywoził je do Łodzi, i jak mówią cinkciarze, miał czasem dziesięć punktów zysku a nieraz i pięćdziesiąt! Proszę policzyć: na każdym tysiącu zarabiał 50.000 złotych na czysto w jednym kursie, a przecież jeździł do Rzeszowa z reguły trzy razy w tygodniu.

Dla zobrazowania fortun przytoczę kursy interesujących nas walut na przestrzeni ostatnich lat. Dolar: 1979 — cena na czarnym rynku wynosiła 120 zł (w Łodzi 130 zł), w 1981 — już skoczył do 440 zł, w rok później kosztował już 580 (chociaż w niektórych rejonach kraju osiągał aż 680 zł), w 1983 roku — 620 zł. Podobnie było z zachodnioniemiecką marką. W 1981 r. Mieczysław K. płacił za nią 250 zł i dobrze na tym wychodził, ale już w następnym roku marka spadła o całe 10 zł, by w 1983 r. osiągnąć „tylko" 230 zł.

W śledztwie, Mieczysław K. do jednych czynów się przyznaje do innych nie. Co mówi w sprawie porwania Teresy Ewy R. wiemy z przytoczonego tu wyjaśnienia. Broni się natomiast przed pomówieniem go o udział w „aferze sztruksowej". Zaprzecza, by kiedykolwiek kupował od Wojciecha Ł. obcą walutę lub mu ją sprzedawał. To czysta złośliwość i pomówienie — twierdzi. — Wojciech Ł. w ten sposób stara się mnie pognębić, gdyż wie, że jego żona jest moją kochanką, co może zaświadczyć żona Sławomira S.

Nie jest rzeczą dziennikarza ferować wyroki, natomiast trudno mu jest oprzeć się refleksji, iż jesteśmy otoczeni przez potężny podziemny ocean, bezwzględny, zły i niszczycielski.

ZAKOŃCZENIE NIESENTYMENTALNE

Ocean, jaki nas otacza, wymaga ujarzmienia. Czynią to organa ścigania i wymiar sprawiedliwości. Ileż razy czytałem akty oskarżenia kierowane do sądu. W każdym z nich odnajdywałem ową troskę o całość społecznego bytu. Nie inaczej jest i w tym, przeciwko czwórce podejrzanych: Mieczysławowi K., Sławomirowi S., Piotrowi P. i Andrzejowi Ś. Prokurator przytacza w nim artykuły i paragrafy kodeksu karnego, podaje uzasadnienia, załącza wykaz osób podlegających wezwaniu na rozprawę oraz przedstawia listę innych dowodów, jakie muszą być odczytane, a także wnosi o przedstawienie dowodów rzeczowych.

Mam wszakże jedną wątpliwość: czy wyroki tych ludzi czegoś nauczą, czy spowodują że odtąd dewizą ich życia stanie się uczciwość? A owa napadnięta Teresa Ewa R.? Czyż nie powinna także znaleźć się na wspólnej liście?

Proces, jaki niebawem się rozpocznie, być może przyniesie odpowiedź na wszystkie niepewności, a już na pewno rozdzieli kary według zasług.

Ale ocean pozostanie.

Rycz, mała, rycz...

DARIUSZ DOROŻYŃSKI

Salka na trzecim piętrze „Centralu" jest niewielka, raptem kilkadziesiąt miejsc. Większość już zajęta, głównie przez mężczyzn. Oni też blokują mały hall nerwowo paląc papierosy, zerkając na zegarki. Już powinni zaczynać! Już po dziesiątej! Kamery gotowe, sprzęt do nagrywania też, czujne jupitery za chwilę walną po oczach. I ten tron na podium, wygodny, złocony; w nim dziś zasiądzie Miss Ziemi Łódzkiej AD 1985!!!

Przemyka rozgorączkowany przedstawiciel „Expressu Ilustrowanego"; przed sekundą rozmawiał z facetami z BBC, jest telewizja zachodnioniemiecka, „jakiś Fiwek", ekipa Filipa Bajona, wszyscy sponsorzy, przedstawiciele „Centralu", stąd tylu reprezentantów brzydszej połowy ludzkości — tłumaczy.

Dziennikarze, a jest nas niezła paczka, zajmują czujnie drugi rząd, tuż za jury. To ostatnie, w składzie doborowym: przewodniczy Danuta Hammer — dyrektor „Telimeny", obok blond-projektantka Anna Batory, bas — Kazimierz Kowalski i reprezentacyjne „lewe skrzydło", czyli Włodzimierz Smolarek. Tancerka — Ewa Wycichowska — na razie nie dotarła. Operowo-piłkarski duet rozdaje jeszcze autografy, ale już pani Danuta podnosi rękę... „Faites vos jeux, monsieurs", zaczynamy grę!

Ruszają kamery, fotoreporterzy rzucają się do swych przepastnych toreb, buchają „halogeny" jupiterów, z potężnych głośników rżnie przymilnie muzyczka. Mościmy się wygodniej, z lewej strony wpycha się na siłę Foto: CAF — A. Zbraniecki, jurorzy odpalają „Marlboro". Atmosfera jak na Wielkiej Pardubickiej, tylko Marek Truszkowski ze „Sztandaru Młodych" niezadowolony: — Dzień bez Marciniaka (TV w Łodzi) — dniem straconym...".

Już! Z zaplecza wynurza się pierwsza piątka panienek z numerkami w garści, w kostiumach kąpielowych model „Łeba-84". Przechadzają się wolno po podium, ale sala jeszcze nie rozgrzana, milczy. Zresztą dziewczyny przeciętne, „telewizory" filmują więc... jury. — To byli przedskoczkowie... leci z tyłu komentarz, a na podium wkracza druga piątka pretendentek do tytułu. Nieco lepsza jakby, ale tak naprawdę to nie ma na czym oka oprzeć. Publiczność jest zresztą tego samego zdania (patrz, ta z lewej ma normalnie żylaki... i wszystkie takie sine nogi..., tej grubasce to chyba lustro w domu ukradli...). Zawodowiec Zbraniecki nawet swojego „Canona" nie wyciągnął, siedzi skrzywiony i papierocha ćmi, jego imiennik — Wach (Polska) też interesujących twarzy po sali szuka...

Przechadza się trzecia piątka panienek. — Makabra... — dobiega gdzieś z lewej strony — po co one tu przyszły, chyba, że mają zajętą na dole kolejkę po dywan... I kolejna tura wabi uśmiechem, kolebie w biodrach, mizdrzy do jurorów Kazimierz Kowalski zaczerwieniony z zażenowania (właśnie dwie artystyki szpanują w wytwornych kostiumach gimnastycznych). Ale sala nabita po brzegi, w drzwiach kłębi się tłum żądnych sensacji i widoku bladego — toż to luty — ciała. No, jest Edek Marciniak, przepycha się do nas, po czym zgodnie stwierdzamy, że najbardziej elegancki na sali to Janusz Kubik z „Expressu".

Panienki na podium dają sobie zmiany w locie, telewizja niemiecka nakręciła już parę kilogramów taśmy, zręcznie uchwyciwszy moment, gdy dziewczę numer 45 zwala na ziemię przy aplauzie widowni szyld imprezy. Jest naprawdę wesoło, ale my wiemy, że jeszcze sporo atrakcji przed nami: będą wszak rozmowy indywidualne.

No, koniec pierwszej odsłony. Ostatnie sine nogi znikają za kotarą zaplecza, a dyżurny plastyk — pan Mossakowski bierze się za naprawę uszkodzonej dekoracji. Zjawia się spóźniony Józef Wojcieszczyk z radia i niewiele myśląc zasiada — cwaniak — przed stolikiem jury.

O, teraz znacznie lepiej: dziewczyny wychodzą w kreacjach wieczorowych, skutecznie maskujących niektóre felery ciała, demaskujących także indywidualne gusta zawodniczek. Lamy, złote nitki, tiule nie robią wrażenia na publiczności i rzucone półgłosem „Czy jest na sali ktoś z koła łowieckiego?..." zyskuje autorowi spory poklask.

Przewijają się kolejne numerki, czujny Marek Truszkowski sięga do notatek i stwierdza autorytatywnie, że „20" startowała w ubiegłym roku, tak jest — ma na imię Iwona. Z ławki dziennikarzy leci zalotne: — Iwoooona... Dziewczę obejrzało się natychmiast, łapie u nas pierwsze plusy, tym bardziej, że wielu utkwił w pamięci odważny, mocno wycięty kostium kąpielowy. Znów kilka nijakich twarzy i takich samych kreacji, ktoś delikatnie obstawia blondynkę, inny smutną rudowłosą. Ale ogólnie — bryndza. Jędrek Zbraniecki, w końcu eks-juror jest wyraźnie rozczarowany: — Chyba się dziś puszczę z własną żoną.

Chwila przerwy, jury nerwowo dyskutuje, zostaje dziewiętnaście dziewczyn do kolejnego etapu. Włodzimierz Smolarek nie żałuje opuszczonego treningu, nie chce się zdradzić ze swoimi typami, ale kręci głową z dezaprobatą. Gorąco. Kazimierz Kowalski rozluźnia węzeł krawata: — Cholera, gdzie są te piękne dziewczyny, które zapełniają ulice wiosną? Koneser z CAF ma na to gotową odpowiedź: — Kochany, one są, ale tam, sala ryczy ze śmiechu, panienki się płoszą, robi się niesympatyczna otoczka A wszystko dlatego, że nie ma pierwszej selekcji, bodaj jeszcze w szatni, wiele z nich uniknęłoby kompromitacji...

No, jedziemy dalej. Z nowymi numerami, po kolei na fotel i parę stereotypowych pytań: wzrost, waga, czym się zajmuje, kto namówił do udziału, jakie hobby. Jedynka ma 21 lat, lubi disco, pracuje przy garmażu.

— Co pani ostatnio czytała?

— Ostatnio? „Express Ilustrowany"...

Dwójka jest z Aleksandrowa, bąka coś nieśmiało, a my z chłopakami pokazujemy sobie starszego faceta w głębi sali: zgrzany, podekscytowany, jeszcze chwila i zacznie się ślinić...

Chuda Dorota jest szwaczka i lubi Roda Stewarta, a Ewa, jak wszystkie chyba, przepada za disco, choć ostatnio była na „Żydówce". Anita pracuje w KMPiK w Pabianicach i setnie się tam nudzi, a Renata kończy liceum i marzy o geografii, lubi chodzić do teatru.

— A do jakiego?

— No, do Wielkiego...

Edek Marciniak trąca mnie w bok: — Stary, przyszła panna Kasia, pamiętasz tę sympatyczną czarnulę z ubiegłego roku? Dzisiaj wygrałaby w cuglach...

A w fotelu zasiada Iwonka, nasz typ na dziś: 23 lata, lubi muzykę sport, taniec.

— To może nam pani coś zatańczy? — strzela z woleja juror Smolarek.

— Ale z panem w parze — odparowuje dziewczyna.

— Ja jestem po kontuzji... — broni się pan Włodek. Pan Kazimierz nie ma pytań: — To jest Miss! — rzuca jakby trochę przed czasem.

Ela pracuje w przychodni przyzakładowej, zainteresowania — jak wyżej. Małgosia, cała w różach, skończyła 18 lat i uwielbia kolor... niebieski. Publika wybucha śmiechem, gdy jury prosi kolejną dziewczynę o „przejście po wybiegu". Wysoka Elżbieta z rudą czupryną nieco dłużej przykuwa uwagę sędziów. Jest... jubilerką i przyszła we własnej „produkcji". Na pytanie o zainteresowania, odpowiada krótko: — Działka... I natychmiast z dziennikarskiej loży szyderców leci — Przeciwpancerne?...

Ania, cała w błękitach, pracuje w „Centralu" i zupełnie nieźle radzi sobie w krótkiej rozmowie z jurorami.

— Pani hobby?

— Obsługa klientów na stoisku futrzarskim.

— Z czym ma pani największe kłopoty?

— Ze sprzedażą futra z norek, za 720 tysięcy

I spokojnie przekonuje panią przewodniczącą, że jej by nie namawiała do zakupów, bo... nie wygląda na bogatą.

Jeszcze Kasia, która prowadzi zakład rzemieślniczy i interesuje się historią sztuki, a zwiedzić pragnie Włochy, Magda, która nie dostała się na filologię angielską i zna Grzegorza Filipowskiego, Agnieszka, która interesuje się teatrem amatorskim, ale niestety, nie zna redaktora Wojcieszczyka (padały i takie zaskakujące pytania...). Licealistka Dorota chce zostać charakteryzatorem, a Bogusia uwielbia, jak twierdzi, sprzątać. Sala nie daruje takiej okazji: — Zapraszam!... — dobiega gromki okrzyk spod okna. Pani Hammerowa tłumaczy dziewczynie, żeby się nie przejmowała tymi przycinkami, bo przecież „impreza jest niepoważna" (brawa sali...), ale gdy tylko panienka w rumieńcach przekonuje wszystkich, że chciałaby jeszcze raz na Węgry pojechać, wesoły głos natychmiast ripostuje: — A co idzie?...

No i na zakończenie Beata, która skończyła liceum i pomaga mamie w gospodarstwie ogrodniczym. Największe marzenie? — Żeby kwiaty podskoczyły! — to z sali, a dziewczę nie zrażone przytakuje, budząc ogólną radość.

— A jakie pani lubi kwiaty?

— Frezje, ale bardziej goździki...

— A dlaczego?

— Bo więcej pieniędzy przynoszą...

Nareszcie zbliżamy się do finału, to już przedostatnia narada jury. Napięcie sięga szczytu, duchota w sali również, ekipy ładują ostatnie kasety filmowe, paparazzo kłócą się o najlepsze miejsca.

No i klops. Wybrano osiem dziewczyn i nijak nie wiadomo, co dalej z tym fantem zrobić, bo jakoś nie bardzo wyróżnia się ta czołowa trójka, nie mówiąc o królowej. Maszerują trójkami, czwórkami, sędziowe dyskutują zażarcie, sala próbuje pomóc oklaskami, ale nic z tego nie wychodzi. I jeszcze jeden przemarsz. A z głośników tekst: „W dniu dzisiejszym SDH „Central" prowadzi sprzedaż tylko do godziny czternastej...".

Jeszcze jedna tajna narada, jeszcze akredytowani dziennikarze robią zrzutkę i nabywają w barze za kotarą własną nagrodę. I wreszcie...

Pani Danuta Hammer ogłasza, że po wielu sporach i dyskusjach, jury wybrało, choć niejednogłośnie, Miss Ziemi Łódzkiej Anno Domini 1985 pannę Kasię, która lubi historię sztuki, pierwszą wicemiss zostaje Iwona (nasz typ!), a drugą — Agnieszka (choć nie zna redaktora Wojcieszczyka...). Ogólna euforia, szampany strzelają, orkiestra rżnie (z głośników), dziewczyny na podium, Kasia na fotel, buzi i korona od ubiegłorocznej mistrzyni. Jeszcze szarfy, gratulacje, prezenty, kwiaty.

Karnawał w Rio! Pierwsze wywiady, część dziewczyn dopiero się ubiera, panowie pomagają, na zapleczu Iwona zaprasza dziennikarzy na szampana, fotoreporterzy pracują z szybkością karabinu maszynowego. Wysoki chłopak z branży dyskretnie opuszcza salę pod rękę z jedną z finalistek, ktoś w kącie ociera łzy zawodu. — Rycz, mała, rycz, płacz, maleńka, płacz... — nuci facet w skórzanej kurtce, targając z barku kilka butelek szampana.

Raz w roku w „Centralu"

ROMAN KUBIAK

Wspaniałe! Co za dziewczyny, co za uroda, wdzięk i elegancja — wszystkich kandydatek do korony! Powtarzam: wszystkich! Nawet odważnej panny z numerem dwadzieścia pięć, która przecież podrośnie trochę, zdejmie gimnastyczny dres i za rok wygra wybory. Nawet nieśmiałej blondynki z numerem czterdzieści pięć, która jeśli poćwiczy w tekakaefie, na pewno nie spadnie ze sceny.

Piękne, cudowne! Sam kwiat Łodzi i okolic. O rany, gdzieście były ślicznotki, czemu kryłyście się przed naszym wzrokiem? Wszak przy was nawet Bardotka wygląda jak domowa kura.

Nie wierzcie tym, którzy rozgłaszają, że dziewczyny na wybornach Miss Ziemi Łódzkiej były brzydsze niż przewidują polskie normy. Tak mówią tylko stare grzmoty i notoryczni pantoflarze. Dziewczyny były wspaniałe, cudowne i w ogóle bomba!

Więcej takich imprez, więcej spotkań z autentycznym pięknem i nieodpartym wdziękiem! Wybierzmy Miss Przedwiośnia!

Było tak, że kiedy pierwsza piątka urodziwych pań weszła na scenę, oniemiało rozgadane towarzystwo. Oto anioły płci żeńskiej zstąpiły do Centralu, a grzeszni zgromadzeni nagle zapomnieli o obowiązku dokonania wyboru jednego z trzech wariantów podwyżek cen. Wytrzeszczywszy oczy, wstrętni lubieżnicy jęli rozbierać wzrokiem prześliczne łodzianki, perfidnie sugerując, iż dokonują wyboru najpiękniejszej z pięknych. Atoli światłość nieziemska poraziła ich grzeszne perceptory, bowiem kolejne anielskie zastępy wkraczały na scenę. Przeto śpieszę donieść, że niebiańskie istoty wzrostu są różnego, takowej tuszy, zaś włos ich miewa barwę bieli, czerni, złota, miedzi, tudzież bliżej nieokreśloną, znaną pod kryptonimem „mokra Włoszka". Istoty owe odziane są przedziwnie, głównie skąpo, co sugeruje, że nie tylko my borykamy się z kryzysem.

Nie jest prawdą jakoby kilkanaście pań trafiło na wybory skutkiem pomyłki, a raczej z rozpędu, bo piętro niżej właśnie rzucili dywany. Dementuję to ohydne kłamstwo, stwierdzając z całą odpowiedzialnością, że dywanów wcale nie rzucili, tylko kołdry.

Nie jest prawdą jakoby kilkanaście pań zatrudnionych na zapleczu domu handlowego zostało siłą wciągniętych na salę, żeby powiększyć frekwencję. Kłamstwo! Natomiast prawdą jest, iż zdarzyły się pożałowania godne przypadki, kiedy bramkarze przed kawiarnią, pobieżnie rzuciwszy okiem na zgłaszające się kandydatki, nie chcieli dać wiary ich kwalifikacjom i odsyłali dziewczyny do domu. Proszę jednakże uwzględnić fakt, że na bramkach stali emeryci ze spółdzielni „Światowid", toteż wybaczyć trzeba nieporozumienia wynikłe z ludzkiej ułomności.

Nie jest prawdą jakoby do konkursu dopuszczono kobiety wielodzietne oraz jedyne żywicielki rodzin. Jest to pomówienie! Wszystkie pretendentki są pannami — niekoniecznie z tzw. odzysku. Wszystkie pretendentki bez wątpienia kiedyś ukończyły lat siedemnaście, a zadrapania w dowodach osobistych, tam gdzie wpisano datę urodzenia, są dziełem przypadku.

Nie jest również prawdą jakoby dyskryminowano przedstawicielki niektórych warstw społecznych. Przeciwnie, Miss Ziemi Łódzkiej, Katarzyna Żarnik reprezentuje prywatną inicjatywę, a konkretnie rzemiosło. Ludzie, co to za dziewczyna! Marzenie, istny cud!

Kandydatek do korony było czterdzieści sześć, w tym jedna spóźniona z przyczyn obiektywnych (komunikacja miejska). Żadne słowa nie są w stanie oddać blasku ich urody, gracji i elegancji. Tylko poeci mogliby pokusić się o uchwycenie tego piękna, tej subtelności, tej delikatności, tej inteligencji nabytej. Jakże zalotnie pląsały nasze kwiatuszki prześliczne po niewygodnej i wąskiej scenie. Jakże umiejętnie prezentowały swe niewątpliwe walory. Jakże bystro i rezolutnie odpowiadały na podchwytliwe pytania jury. Któż by sądził, że te delikatne istoty, z rozbrajającą szczerością ujawnią nam swoje marzenia skryte, swoje pasje: sprzątanie, gotowanie, szydełkowanie, uczenie dzieci... Któż by przypuszczał, że te uzdolnione istoty, potrafią własnoręcznie stworzyć szałowe kostiumy, z kawałka starej firanki i tatowych nauszników. A tak właśnie było.

Skromne i z lekka wystraszone dziewczyny, zauroczyły wszystkich bez wyjątku. Nachalni fotoreporterzy i kamerzyści przemocą wdzierali się na scenę. Klienci „Centralu", po ogołoceniu sklepowych półek, przypuścili szturm na ostatnią kondygnację, gdzie raz w roku skondensowano calutkie piękno naszej łódzkiej ziemi. Samych tylko playboyów było na sali chyba z pół tuzina!

Zwabieni autentycznym pięknem, na wyborach zjawili się wytworni koneserzy: Danuta Hammer z Telimeny, Włodzimierz Smolarek z Widzewa, Anna Batory z Juventusu oraz sam Edward Marciniak z TV.

Zachodnioniemiecka telewizja szalała w kuluarach i na scenie. Dopadła blond Venus, zamierzającą studiować germanistykę. Niestety, ich faworytka na razie nie umie mówić po niemiecku. Nic to, przecież wybierano miss, a nie książkowego moła.

Znakomitym chwytem reklamowym błysnęło kierownictwo „Centralu", desygnując na tron uroczą ekspedientkę ze stoiska futrzarskiego. Dobrze poinformowana dziewczyna zachwalała futra z norek — za jedyne 720 tys. zł, sztuka. Lecz nikt na sali nie wyglądał na potencjalnego nabywcę. Przy okazji wyszło na jaw, że Kazimierz Kowalski zakupił w domu handlowym damską bluzkę (rozmiar 4). Ale co tam futro z norek, dziewczyna zakasowała je na amen!

Okropnie trudne zadanie spoczęło na wątłych plecach jurorów i kontuzjowanej nodze Włodzimierza Smolarka. Bo jak tu wybrać miss, skoro wszystkie dziewczyny godne tego tytułu? Jak nie skrzywdzić, jak nie zasmucić pięknych łodzianek? Tu czterdzieści, a tam siedemdziesiąt kilogramów wdzięku. Tu róża, a tam stokrotka... Że też korona tylko jedna!

Z emocji zarumieniony juror Kazimierz Kowalski bezradnie rozkładał ręce. Dyrektorka Telimeny chciała mieć wszystkie kandydatki na etatach modelek. Skrzydłowy Widzewa (typował nr 19) dużo podróżował, ale takich cudów jeszcze nie oglądał. Zarządzono repasaże, bo głosy serc kłóciły się z rozsądkiem. Aż zostało tylko sześć najnajnajpiękniejszych. Sześć dziewczyn, dla których trzeba stracić głowę, serce — że o portfelu nie wspomnę.

Publika wlepiła wzrok w tych sześć postaci, niczym w arcydzieła sztuki nowoczesnej. Tu i ówdzie nerwowo obgryzano paznokcie. Wiadomo było, że każdy werdykt jurorów spotka się ze sprzeciwem publiczności. Skandalicznie zachowujący się dziennikarze zbierali środki finansowe na nagrodę dla ich faworytki. Od początku imprezy dopingowali bowiem weterankę konkursów, urodziwą Iwonkę, którą ogłosili moralną zwyciężczynią. I słusznie, ponieważ obok wdzięku, liczy się także wytrwałość w dążeniu do celu.

A teraz podaję sześć szczęśliwie wylosowanych liczb, za którymi ukrywają się najpiękniejsze dziewczyny. Wtajemniczeni twierdzą, że szanowna komisja musiała zdać się na los szczęścia, by zadośćuczynić regulaminowi wyborów. Uwaga totolotkowicze, podaję prawidłowe skreślenia: 7, 13, 14, 16, 17, 19. Dodatkowo wylosowano trójkę, lecz męska część jurorów orzekła, że kandydatka z tym numerem jest stanowczo za szczupła. A swoją drogą, posądzałem jurorów o lepszy smak.

Na tronie zasiadła czternastka. Dziewczyna klejnot! (Aha, o tym już pisałem).

Ze źle poinformowanych kół wyszła pogłoska, jakoby „Hortex" i „Grand-Hotel" w tym celu ufundowały solidne torty, aby dożywić wątłe dziewczyny. Nieprawda, dziewczynom nic nie brakuje! Również nie z tego prozaicznego powodu zakładyby mięsne ufundowały deputaty.

A na zakończenie epizod smutny, który do cna popsuł sobotnią imprezę. Otóż pewien, skądinąd żonaty, reporter łódzkiego tygodnika (nazwisko pomijam, bowiem dobro rodziny jest naszą najwyższą wartością) z niezwykłym zapałem całował rączęta pięknych łodzianek, zapraszając ślicznotki na kawę, szampana, wspólne słuchanie płyt, a nawet na oglądanie kolekcji pocztowych znaczków. I nic! Zdesperowany reporter zsunął z palca obrączkę i próbował dalej. I nic! Przykro było oglądać kpiące uśmieszki na ślicznych buziach dziewcząt i skwaszoną minę odrzuconego. Żal chłopaka — tyle sobie obiecywał... Dziewczyny, miejcie litość, bo tak cała impreza jest do kitu!

Foto: Grzegorz Gałasiński

Proza młoda i najmłodsza (2)

Szaleństwo języka

TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI

Nadzieją młodej literatury stał się język. Jak powiada Marianna Bocian w „Odejściu Kaina" (1979), powieści przypominającej słynny monolog Molly Bloom, język literatury powinien być „śmigłym pstrągiem, płynącym nie tylko pod prąd, ale o wiele trudniej, w poprzek nurtu, pikującym w głąb".

Bliska tego ideału jest twórczość Ryszarda Schuberta, autora dwóch głośnych i kontrowersyjnych powieści: „Trenta tre" (1975) oraz „Panny Lilianki" (1979). Można powiedzieć, iż Ryszard Schubert wyczynia z polszczyzną, co tylko chce. A właściwie nie tyle sam wyczynia, co — obdarzony znakomitym słuchem językowym — notuje wyczyny innych. Jego pierwsza powieść jest tyleż żywiołową, co wymyślną mieszaniną wszelkich odmian współczesnej polszczyzny mówionej i pisanej. Jest swoistym „bełkotem", za co winę ponosi nie autor, a wyłącznie użytkownicy języka. Czegóż bowiem w „Trenta tre" nie ma! Znajdujemy tu drętwą mowę urzędową, wynaturzenia języka gazetowego, stylistykę instrukcji technicznych, frazeologię komunikatów dyplomatycznych, rachunki wystawiane przez kelnerów, odmiany żargonów środowiskowych i zawodowych, makaronizmy, nade wszystko zaś niechlujstwo językowe cechujące współczesnych Polaków. W pierwszym odruchu pomyśleć można, iż „Trenta tre" to kpina i satyra, tak karykaturalnie brzmią jej fragmenty. Ależ nie, tak brzmi dzisiejsza nasza mowa.

Język „Panny Lilianki" jest „giętki" swoją zwyczajnością, jednocześnie zaś jakby „usztywniony", sprymitywizowany, jakby kaleki. Przypomina fonetyczny zapis nagrania magnetofonowego. Powieść tę można chyba nazwać prozą żywą, bo oddaje życie w sposób bezpośredni, nie zdeformowany zabiegami stylistycznymi, wręcz naturalistyczny. Chaotyczna, zagmatwana kompozycja również temu służy. „Panna Lilianka" — to historia bardzo pięknej i bardzo ubogiej dziewczyny, Ewy Zatońskiej. Prostej, naiwnej i marzycielskiej. Uczciwej i niemądrej. Amantowi przypominała ona gwiazdę filmową Lilian Harvey. Została więc Ewa Lilianką. Od tej pory ponętny snobizm towarzyszyć będzie w jej życiu twardym realiom. Na tym właśnie między innymi polega swoisty urok tej powieści: na przemieszaniu ckliwej atmosfery romansu z bezlitosnym weryzmem. Z warstwy językowej czytelnik dowie się więcej niźli z przebiegu układających się w fabułę wydarzeń. Granica fikcji literackiej staje się tu płynna, bowiem autentyzm języka jest w stanie przekonać zdecydowaną większość odbiorców prozy Schuberta, że Ewa Zatońska żyła naprawdę i naprawdę miała mnóstwo kłopotów, mimo filmowej zaiste urody. Jest to język ubogi, bo taki jest status społeczny bohaterki. Pełno w nim naleciałości środowiskowych. Autor stawia się w sytuacji wydawcy, stąd przypisy, odsyłacze, rozmaite wtręty. Ich funkcja jest jednoznaczna: potęgują szaleństwo języka tej prozy.

Jako alternatywę tytułu powieści Donata Kirscha „Liście croatoan" (1977) zaproponowałbym rzecz następującą: „W raju nie istniejącej roślinności". Wszystko, co rozgrywa się w sferze narracji to tylko kolejne wersje zdarzeń, kolejne wprawki stylistyczne, kolejne warianty rzeczywistości przedstawionej. O stosunku autora do tej rzeczywistości decyduje już sam tytuł. „Croatoan" — są to tajemnicze i po dziś dzień nie wyjaśnione słowa, jakie znaleziono wyrzeźbione w drzewie w miejscu, gdzie w roku 1585 Walter Raleigh założył pierwszą kolonię angielską w Ameryce Północnej. Liście croatoan to inaczej mówiąc okruchy Tajemnicy Istnienia. Niełatwi do zidentyfikowania narratorzy powieści Kirscha usiłują swe wyobrażenia Tajemnicy skonkretyzować i na zasadzie haseł wywoławczych proponują kilka podstawowych określeń świat jako nieporozumienie, życie zastępcze, życie roślinne, królestwo postrzępionych roślin i wreszcie nieznany język. Wyobraźnia znajduje się pod urokiem Blake'a i Tolkiena, podstawowym zaś słowem-kluczem okazuje się borgesowskie „słowo universum". Współistnienie w świecie bluszczowatych roślin wywołuje gmatwaninę wyobraźni, niewoląc przede wszystkim język. Stąd pesymistyczne wyznanie wiary: „wszelka zmiana jest zmianą języka, wszędzie istnieje komunikat i przekaz zawiłych informacji. Zmienia się tylko język: myślę o naszych zmianach: ludzi i zwierząt, roślin i czegoś tam jeszcze. Chcecie wykorzystać właśnie język do realizacji tego, czego zrealizować nie można naprawdę".

Powieść Donata Kirscha rozgrywa się na pograniczu snu i jawy. Usytuowana została w jakiejś prapuszczy, w której napotykamy realia współczesnej codzienności. Nad wszystkim góruje poszum potężnych liści croatoan. W grze wyobraźni, z jaką mamy tu do czynienia liczy się jedno: poszukiwanie raju nie istniejącej roślinności. Metafora powyższa znaczy tyle samo co wyspy szczęśliwe, jest wyrazem utopii. Utopii wyrwania się spod przemożnego oddziaływania cywilizacji śródziemnomorskiej. Tęsknoty, aby ludzkość (raz jeszcze) mogła zacząć wszystko od nowa. „Liście croatoan" to piękny sen. Jaka szkoda, że nierealny.

Ulotna jak sen rzeczywistość budzi sprzeciw. To dlatego jedynym prawdziwym światem staje się w powieści świat roślinny. Jest on trwały. Jest zielony, a więc optymistyczny. Liście croatoan są bujne i gęste. Cechami tymi odznacza się również język powieści Kirscha. Wielość narratorów stwarza taką zawiłość relacji, iż tylko niezwykle uważny i doświadczony czytelnik rozpoznać zdoła poszczególnych opowiadaczy. Na dobrą sprawę nie jest to konieczne, gdyż — jakkolwiek w różnej tonacji — mówią to samo. Ów nietuzinkowy chór stara się przekształcić banalny refren: „Świat jest opowieścią idioty, pełną wściekłości i wrzawy" w nową melodię podaną w rytmie bodajże mocnego uderzenia.

W GĄSZCZU JĘZYKA

Do najlepiej zapowiadających się twórców młodej prozy należy Józef Łoziński, autor między innymi powieści: „Paroksyzm" (1976), „Pantokrator" (1979), „Za zimny wiatr na moją wełnę" (1981) oraz „Apogeum" (1982). Dominują w nich trzy elementy: aluzje literackie, odwołania filozoficzne i opis konkretnej rzeczywistości, której wyznacznikami stają się naturalistyczno-symboliczne realia. A nad tym wszystkim góruje bogactwo — prawdziwy gąszcz — języka, który w niesforny sposób wylewa się z powieści niczym zbyt wybujałe na drożdżach ciasto z dzieży. Owymi drożdżami są zazwyczaj zwięzłe hasła. Pisarstwo Łozińskiego obfituje w nie i trudno byłoby w tym miejscu sporządzać ich wykaz, przytoczenie jednak charakterystycznych wypowiedzi nie zaszkodzi: „życie jest piękne, to banał, ale nic nowego nie można wymyślić", „żyj, a wszystko się jakoś ułoży", „trzeba być sobą aż do jaj lub innych organelli" itd. Bohaterów tych powieści, istnych odmieńców, ludzi twardych lecz wrażliwych, prześladuje myśl Heraklita: Byt i Nic nie istnieją, bo wszystko jest stawaniem się.

Łoziński pisze o rozkładzie tradycyjnych wartości i o pustce, która wciąż oczekuje na zapełnienie. Typowy bohater tej prozy „książkę traktuje jak przeciętną kurwę". Czy wina to książki — tego autor nie wyjaśnia, chodzi mu bowiem o zjawisko szersze, o wykraczający poza literaturę upadek obyczajów. Zresztą i wobec literatury pozostaje on niechętny. Uważa ją jedynie za formę wypowiedzi poprzez znak i dla znaku, uważa ją za poznawanie słów i tylko słów. Współczesna świadomość językowa Polaków takie znajduje rozpoznanie: „Tego się nie da opowiedzieć. Mowa-trawa-pic". Bohaterowie Łozińskiego odwołują się więc do kontestacji jako do burzliwie okazywanego sporu, w którym „literacki chłam" manifestuje swoje niezadowolenie z powodu „rozlazłej rzeczywistości", do kontestacji jako zakwestionowania dotychczasowych sposobów funkcjonowania społeczeństwa i kultury.

Myślę, że w pewnym sensie odpowiednikiem Józefa Łozińskiego jest w naszym malarstwie Jerzy Duda-Gracz. Obu cechuje podobny ostry kontrast w przedstawianiu „kwadratury koła żywota". Tradycyjnym wartościom humanistycznym przeciwstawiają obaj jakąś współczesną wersję „odhumanizowanego humanizmu". Ich postacie ocierając się o pogranicze rzeczywistości i urojeń. Obaj korzystają ze zbliżonej ekspresji. Duda-Gracz jest z natury rzeczy bardziej skrótowy, ceni konkret, w obrazach swoich gromadzi niewiele przedmiotów, precyzyjnie za to je przedstawia. Łoziński jest mniej precyzyjny — niekiedy wręcz barokowy z uwagi na gwałtowne nagromadzenie realiów i problemów, jego język jest gwałtowny, jędrny, rozbuchany, niecierpliwy. U obu granica między tym, co jeszcze rzeczywiste, a tym, co rzeczywistością być przestało, okazuje się tak niewielka, że „włos jeży się na głowie" — jak twierdzi bohater „Apogeum".

JĘZYK JAKO AZYL

Wyznacznikiem roli języka w niektórych utworach stają się niejako myśli Krzysztofa Oremusa, bohatera powieści Adama Zagajewskiego „Ciepło, zimno" (1975): „Masz w sobie słowa na wszystko, masz te słowa i możesz ich używać, jak ci się podoba".

Słowa te mogłyby pełnić funkcję motta w powieściach Janusza Andermana „Zabawa w głuchy telefon" (1976) oraz „Gra na zwłokę" (1979). Anderman zajmuje się jakby studiowaniem krwiobiegu słów: „Słowa wdzierały się zewsząd. Zalegały jak zgonione psy", tak brzmi ekspozycja pierwszej powieści. Jej bohaterowie krążą po mieście, zatrzymując się na krótko w miejscach domniemanego azylu: na dworcu kolejowym, w modnej restauracji, w literackiej kawiarni, domu studenckim, klubie młodzieżowym i wreszcie w podłej, obskurnej knajpie. Usiłują poruszać się w różnych kierunkach labiryntu, jakim okazuje się współczesne miasto-moloch. Trwają w niezdecydowaniu, w jakimś płynnym, półsennym stanie. Intryguje ich tylko podpatrywanie życia. Naśladowanie języków różnych środowisk. Eksponowanie sztuczności i śmieszności wszelkich konwencji. Wyrazem tego staje się na przykład — wzorem flirtu towarzyskiego — ponumerowanie gotowych odpowiedzi na różne sytuacje. Banał, z którego nic nie wynika — oto formuła rzeczywistości, z jaką mają do czynienia bohaterowie Janusza Andermana. Język, który miał być początkowo czymś w rodzaju azylu, okazuje się jedynie „ślinotokiem słów".

Trochę podobnie jest w powieści Jarosława Markiewicza „Chaos wita w tobie łotra i świętego" (1979). Nawet gdyby wydawca nie poinformował czytelnika, iż autor uprawia malarstwo, można by się tego domyślić po lekturze dowolnego rozdziału. Zastosowana przez Markiewicza metoda polega na dwoistym ukazywaniu wszechobecnego chaosu: na odtwarzaniu imaginacyjnej pracy umysłu i na rejestracji stanów emocjonalnych. Próżno tu szukać fabuły, dopatrywać się anegdoty. Chodzi o uchwycenie rozbicia osobowości i ponownego jej scalania. Autor tak powiada o swojej metodzie: „Stan opowiadania przypomina trochę grabieżczą wojnę. Zdobywa nowe tereny, nowa przestrzeń, wpada w ciemności, w brak przestrzeni, ale kiedy wojna zaczęła się już na dobre — te ciemne, nowe tereny, gdzie za chwilę będzie przestrzeń — pachną z daleka ciepłymi zapachami życia". A więc po prostu stany jasne i ciemne. Klarowna, świadoma strona życia i instynkty, jakiś popęd który działa poza sferą świadomości. Ten dychotomiczny podział funkcjonuje od bardzo dawna i ciągle niepokoi myślicieli i artystów. Zwłaszcza stany ciemne. Książka Markiewicza jest właśnie zapisem podświadomości człowieka cierpiącego na rozszczepienie jaźni. Zapis ów przypomina w niejednym momencie wysoce zorganizowane abstrakcje filozoficzne, których sens sprowadza się do nienowej przecież rewelacji o względności rzeczy świata tego. Jakkolwiek autor dziękczynnie wymienia w posłowiu liczne inspiracje ideowo-warsztatowe, to przecież nie wykracza poza językową zręczność. Wątpliwa to podstawa azylu.

Znawcy przedmiotu twierdzą: powieść przestała być autorytetem moralnym i poznawczym. Jej obecny sposób istnienia to przede wszystkim kwestia języka, a nie fabuła czy idea. Niektórzy autorzy usiłują więc przekroczyć dotychczasowe granice prozy — posługują się jakby językiem magicznym, odmiennym od tradycyjnej stylistyki.

Przypomina się stare powiedzenie Lutra: „rozum to kurwa diabelska". Podobnego zapewne zdania są ci pisarze, którzy przedstawiają umysł doświadczający bez literackiej postaci, bez tematycznej organizacji tekstu. Żywiołowa praca w języku zdaje się być wystarczająca legitymacją działalności literackiej, ponieważ świat uwięziony został w kociokwiku słów. Czy istnieje szansa jego wyzwolenia?

(Fragment większej całości przygotowanej dla Krajowej Agencji Wydawniczej)

Pierwsza łódzka aukcja antykwaryczna

W ostatnich dniach stycznia można było spotkać w przestronnych salach Muzeum Historii Miasta Łodzi pełne napięcia panie i niemniej podnieconych panów, trzymających w dłoniach białe książeczki z rzucającą się w oczy jedynką na okładce. Okładkę uzupełniał napis wyjaśniający okoliczność spotkania: Pierwsza Łódzka Aukcja Antykwaryczna. Aukcję poprzedziła reklama prasowa, choć koledzy dziennikarze w jednej z łódzkich gazet określili ją ni z gruszki, ni z pietruszki mianem aukcji akwarycznej.

Aukcja — jak podaje „Encyklopedia wiedzy o książce" — jest to „licytacja, publiczna sprzedaż drogą przetargu książek, czasopism, rycin, rękopisów itp. dającemu wyższą cenę (...) Kupującymi są najczęściej bibliofile oraz biblioteki naukowe (..) Nierzadko aukcje stawały się polem rozgrywki między bibliofilami, co wyrażało się podnoszeniem cen ponad rzeczywistą wartość książek". Pierwszą publiczną aukcję w nowoczesnym rozumieniu tego słowa przeprowadził lejdejski księgarz L. Elsevier w 1604 r., pierwsza zaś aukcja bibliofilska na ziemiach polskich miała miejsce w 1672 r. w Gdańsku.

Obecnie aukcje organizowane przez polskie antykwariaty naukowe zyskały sobie dobrą opinię, stanowiąc jedną (nie jedyną) z form gromadzenia i uzupełniania zbiorów przez biblioteki i miłośników książek. W samym tylko 1984 r. odbyło się sześć aukcji antykwarycznych (Bydgoszcz, Gdańsk, Poznań, Kraków i Warszawa), a wśród nich pierwsza w Polsce aukcja antykwarska czasopism, zorganizowana przez Warszawski Antykwariat Naukowy — Czasopisma, którego kierowniczka p. Zofia Tarnowska cieszy się powszechnym uznaniem jako wybitny specjalista w dziedzinie historii czasopiśmiennictwa o rzadkiej umiejętności wyłuskiwania prawdziwych unikatów, trafiających za pośrednictwem antykwariatu do najpoważniejszych bibliotek polskich z Biblioteką Narodową i Biblioteką Jagiellońską na czele.

I wreszcie przyszła kolej na Łódź. Pracownicy łódzkiego Antykwariatu Naukowego Ireneusz Domienik, Stanisław Kołodziejczyk i Mirosław Sobczak, zgromadziwszy wprzódy materiał aukcyjny, opracowali wzorowy pod względem merytorycznym katalog książek i czasopism wystawionych na przetarg. W następnej kolejności biblioteki Narodowa i Jagiellońska nabyły na prawach pierwokupu książki stanowiące własność antykwariatu, zastrzegając sobie prawo pierwszeństwa zakupu książek komisowych, podlegających normalnemu przetargowi podczas aukcji.

Nadszedł 29 stycznia, początek dwudniowej aukcji; salę koncertową Muzeum Historii Miasta Łodzi szczelnie wypełnili uczestnicy tej interesującej imprezy: bibliotekarze z całego kraju, pracownicy muzeów, antykwariusze, bibliofile i żądna sensacji publiczność. Poddane przetargowi książki zgrupowano w kilku działach, z których najobszerniejszy zawierał 1553 wydawnictwa zwarte XIX i XX w., Spośród 40 przeznaczonych na aukcję starych druków, aż 16 nabyły na prawach pierwokupu Biblioteka Jagiellońska w Krakowie i Biblioteka Narodowa w Warszawie. Przeważały książki XVIII-wieczne, ale znalazły się też tak smakowite kąski jak uczony traktat Herkulesa Saxoniusa „De plica quam Poloni gwoździec, Roxolani kołtunum vocant" (O kołtunie, który Polacy gwoździcem, a Rusini kołtunem zowią"), wydany w 1600 r. przez Wawrzyńca Pasquatusa. Poszła też ta księga wysoko w cenie z 24 tysięcy ceny wywoławczej dochodząc do 61 tysięcy.

101 tysięcy zł osiągnęły b. rzadkie w kompiecie „Wolne Żarty. Świstki humorystyczno-artystyczne, zebrane przez Bocianów Polskich" (Jana Kantego Gregorowicza i Fryderyka Henryka Lewestama), dwutygodnik ilustrowany drzeworytami I. Minheymera według rysunków Franciszka Kostrzewskiego i braci Pillatich, wydany w Warszawie w latach 1858—1859 (cena wywoławcza 48.000 zł).

Mimo nominalnie wysokich cen starych druków i czasopism nie było tu tak rażących dysproporcji między ceną wywoławczą a osiągniętą, jak w przypadku druków nowych. Dla przykładu wydana przez Józefa Pogonowskiego broszurka „Ostatni Mohikanie pomorscy" (Łódź 1919) wyceniona na zł 100, sprzedana została za 8.000 zł, zaś „Mord rytualny. Prawdziwe zdarzenie w miasteczku pomorskim", drobiazg napisany przez Stanisława Rzyskiego (Toruń 1937) ze 150 zł skoczył do 6.800 zł.

Prawdziwą rewelację stanowiły czasopisma, a między nimi prasa konspiracyjna z lat okupacji, pisma socjalistyczne z czasów rewolucji 1905 r., prasa z końca XVIII w. Pojedyncze numery „Korespondenta Krajowego i Zagranicznego" z 1793 r. sprzedawano powyżej 2.000 zł za numer, drukowany nielegalnie „Łodzianin" (1905, nr 12) osiągnął cenę 8.200 zł (cena wywoławcza 350 zł) a „Proletariusza" (1905, nr 4) sprzedano za 5.000 zł (cena wywoławcza 200 zł). Ten ostatni przykład wejdzie na stałe do annałów aukcji antykwarycznych, bo jeden z licytantów spłoszywszy łakomych na „Proletariusza" współzawodników, gdy doszedł do 2.800 zł pozostał na placu boju zwycięski, lecz dla potwierdzenia swego sukcesu krzyknął: „Dam pięć tysięcy", choć licytował już sam ze sobą. Niech mu tam bibliotekarska przyszłość lekką będzie, ale co na to dictum powiedział następnego dnia zwierzchnik hazardzisty, wolę nie wiedzieć.

Przedmiotem aukcji było też kilka pierwszych numerów „Dziennika Łódzkiego" z lutego 1945 r., kiedy to jeszcze jego redaktorem był Anatol Mikułko, najlepszy ponoć lekarz wśród dziennikarzy i również najlepszy (poza Boyem-Żeleńskim) dziennikarz wśród lekarzy. Tu jednak prasa okazała swój drapieżny pazur, bo nawet Miejska Biblioteka Publiczna im. L. Waryńskiego nie zdołała przelicytować przedstawiciela redakcji „Dziennika Łódzkiego", która już następnego dnia obwieściła swym czytelnikom o odniesionym w bibliofilskim starciu tryumfie.

Ze zmiennym szczęściem toczyły między sobą boje największe łódzkie biblioteki, pragnące uzupełnić posiadane zbiory. I tutaj nasuwa się gorzka refleksja, że i na tym polu zdarzają się przypadki nadmiernej rywalizacji, walki za wszelką cenę. A przecież czy nie wystarczy, gdy jedna z bibliotek uzna się za pokonaną dla dobra drugiej, gdy rzecz sprowadza się do tego, by konkretna książka, konkretne czasopismo znalazło się w jednej z nich. Jeśli już jakieś czasopismo znajduje się w Bibliotece Uniwersyteckiej czy w Miejskiej Bibliotece Publicznej im. L. Waryńskiego, czy doprawdy trzeba podbijać cenę ponad miarę i rzeczywistą wartość, by znalazło się ono jeszcze w jednym z trzech muzeów. Może właśnie „Taternik Łódzki", spoczywający sobie spokojnie w magazynach Biblioteki Uniwersyteckiej, powinien trafić gdzieś w górskie okolice niż wzbogacać zbiory Muzeum Historii Miasta Łodzi. A może „Dziennik Zarządu m. Łodzi", zgromadzony w dubletach Miejskiej Biblioteki Publicznej winien trafić do Muzeum Historii Ruchu Rewolucyjnego, przepłacającego wspomniany periodyk podczas aukcji w Sali Koncertowej.

Zdarzyło się i na tej aukcji znaleźć książki bardzo popularne jak np. „Krótka monografia wszystkich miast, miasteczek i osad w Królestwie Polskim", opracowana w 1902 r. przez Leonarda de Jacques Verdmona. Cieszy się ona na każdej aukcji nie słabnącym zainteresowaniem i aż dziw, że zwykle cena wywoławcza jest nad podziw niska (od 800 do 1800 zł), gdy osiąga przeciętnie cenę 11 tysięcy zł, zaś na aukcji łódzkiej doszła do 17 tysięcy.

Bardzo wysokie ceny osiągają dawne powieści, szczególnie te z I połowy XIX w. oraz książki dziecięce. Po prostu z biegiem czasu przechodząc z rąk do rąk uległy zaczytaniu, a nie będąc przedmiotem gromadzenia wielkich bibliotek stanowią dziś rzadkość bibliograficzną. Jeden z uczestników aukcji cieszył się jak dziecko, gdy wylicytował za 20.000 zł wydaną w 1847 r. powieść historyczną Romana Laskowskiego „Ostatnie chwile Michała Korybuta i elekcja Jana III".

Zorganizowana przez szczupłą obsadę Łódzkiego Antykwariatu Naukowego pierwsza aukcja antykwaryczna przyniosła Przedsiębiorstwu Państwowemu „Dom Książki" spory zysk, młodym antykwariuszom — powszechne uznanie; stała się też miejscem spotkania ludzi książki — profesjonalistów i bibliofilów, trybuną wymiany poglądów o roli książki w komunikacji społecznej. A kiedy minął kolejny dzień aukcji czekało na mnie w domu zaproszenie na następną, 57 już aukcję antykwaryczną, przygotowaną przez Antykwariat Naukowy w Krakowie przy ul. Sławkowskiej 10, która odbędzie się na początku marca bieżącego roku. Oby szacowni bibliotekarze i bibliofile z całego kraju spotkali się niebawem w Łodzi, dzierżąc w dłoniach katalogi z widoczną z oddali dwójką na okładce!

ANDRZEJ KEMPA

Odszedł przyjaciel i poeta

Poznaliśmy się z Ryszardem w roku 1947, na początku studiów. Połączyły nas ze sobą te studia polonistyczne i pierwsze próby literackie, poetyckie i satyryczne, ale przecież nie tylko to: kolegów było wielu, a tu zadzierzgnęła się przyjaźń. Zapewne, w grę wchodziło i pokrewieństwo biografii, podobne przeżycia w czasie wojny i zaraz po wojnie w okresie naszego dojrzewania, i to, że byliśmy rówieśnikami, obaj mieliśmy po dwadzieścia lat i wchodziliśmy dopiero w życie. Jednakże czynnikiem decydującym stał się chyba nasz zbieżny stosunek do świata i ludzi, a nade wszystko pokrewne usposobienie, trochę nieufne i zamknięte równocześnie zaś czekające na sposobność, żeby się otworzyć. Otwarliśmy się więc do siebie, nie przeczuwając nawet, że będzie to otwarcie długoletnie i trwałe. Chociaż dzisiaj, po jego śmierci, uświadamiam sobie z niejaką goryczą, jak w gruncie rzeczy mało wiedziałem o nim i o jego życiu. Bo on do końca pozostał sobą.

Ryszard Doroba urodził się 3 marca 1928 roku w Łowiczu i tam też ukończył szkołę powszechną, w czasie okupacji uczył się w tajnym gimnazjum. Wcześnie odumarła go matka, co miało duży wpływ na jego późniejsze losy, i przez jakiś czas przebywał w Kampinosie, u siostry matki gdzie znalazł opiekę i schronienie przed Niemcami. Po wyzwoleniu zdał maturę w liceum humanistycznym, no a później wspomniane już wyżej studia. Czasy były ciężkie, powojenne, nie mógł za bardzo liczyć na pomoc z domu, więc musiał równocześnie zarobkować. Zatrudnił go u siebie w Urzędzie Likwidacyjnym nasz wspólny przyjaciel, późniejszy dyrektor Biblioteki Wojewódzkiej, również poeta i satyryk, Edward Siekowski. Po kilku latach Ryszard zaczął pracować właśnie w Wojewódzkiej Bibliotece, później w Wydziale Kultury PWRN następnie, w latach 1960—1968, jako starszy redaktor w Studio Małych Form Filmowych „Se-Ma-For", dla którego pisywał scenariusze filmów animowanych, a w latach 1968—1970 jako kierownik literacki w Estradzie Łódzkiej pisując dla niej teksty estradowe i teksty piosenek. W roku 1970 wrócił do „Se-Ma-For-a", gdzie zaczął pełnić funkcję konsultanta literackiego.

Nie wybiegajmy jednak zbyt pośpiesznie w przyszłość. Jest rok 1950, przy Łódzkim Oddziale ZLP organizuje się ponownie Koło Młodych, do którego wstępujemy wspólnie z Ryszardem. W rok później Ryszard debiutuje jako poeta w tygodniku „Wieś", a w „Dzienniku Łódzkim" jako satyryk. Zbliża się zjazd przedstawicieli Kół Młodych w Oborach (rok 1954) i z tej okazji „Iskry" przygotowują wydanie specjalnego almanachu. Ryszard wysyła tam wiersze łódzkie, czuje się już łodzianinem, choć proces asymilacji przebiega nie bez oporów. W jego opowiadaniu „Wieczorek zapoznawczy" jest taki dialog:

— A jak się czujesz w nowym otoczeniu? I w nowym mieście...

— Znośnie. Jakoś przywykłem.

— Ale niełatwo ci to przyszło?

— Niełatwo — przyznał.

W almanachu młodych znalazł się wiersz Ryszarda Doroby „Przed fabryczną bramą". Wiersz pisany, jak inne pomieszczone tam wiersze i opowiadania, w okresie tzw. schematyzmu, broniący się jednak prostotą i niekłamanym liryzmem. Myślę, że warto ten wiersz przypomnieć:

Przed bramą fabryczną rano,
w gęstym obłoku cienia,
ich ręce splatają się ciepło
na do widzenia.

Ich oczy, wpatrzone w siebie,
mówią więcej niż mogą słowa —
i snuje się długą przędzą
oczu rozmowa.

Uśmiech włókniarki młodej
jest jasny jak twarz jej świeża
zakwita jej uroda
we wzroku męża.

A mnie jest jakoś weselej,
ilekroć tam ich zobaczę,
gdy mijam fabryczną bramę
idąc do pracy.

Przed bramą fabryczną rano,
w gęstym obłoku cienia,
me oczy ślą im uśmiech
na do widzenia.

W roku 1955 jedziemy z Ryszardem jako delegaci Koła Młodych na Światowy Festiwal Młodzieży i Studentów, który odbywa się w Warszawie. Uczestniczymy w wielu imprezach Festiwalu, tych dziennych i tych nocnych, mieszkamy w jednym namiocie, sypiamy obok siebie na kilkuosobowej słomianej macie. Wszystko to cementuje naszą przyjaźń.

W tym czasie pracuję już w Redakcji Literackiej Polskiego Radia i nakłaniam Ryszarda do „romansu z anteną". Zaczynamy wspólnie pisywać łódzkie szopki noworoczne, wspólnie je nagrywamy „pod batutą" reżysera Tadeusza Markowskiego, o czym wspominam w książce „Barwny świat mikrofonu":

„Kiedy szopka była gotowa, a następowało to przeważnie w przeddzień Sylwestra, szliśmy z Tadeuszem Markowskim do „Zacisza" niedużej knajpki znajdującej się na trasie do Radia. Tu odbywało się oblanie „dzieła", no i tradycyjne pożegnanie starego roku".

Nie był to nasz jedyny „duet autorski". Przez jakiś czas, od roku 1961, zamieszczaliśmy na łamach „Odgłosów" fraszki opatrzone mottem następującym: „Czy się komuś podoba, czy się nie podoba — fraszkę dzisiaj drukuje Giegier lub Doroba". Warto tu dodać, że cztery lata później Ryszard Doroba zaczął drukować w „Odgłosach" swoje pierwsze opowiadania, a także recenzje filmowe i felietony.

W roku 1968 nasze drogi rozeszły się. Ja wyjechałem do Białegostoku, on pozostał w Łodzi. Lecz przyjaźń trwała. Pisywał do mnie często listy, donosił mi, jak żyje i co porabia, co słychać w moim mieście rodzinnym, a jego mieście przybranym. Był jednym z moich nielicznych łączników z tym miastem, myślę zawsze o tym z czułą pamięcią.

W jednym z listów, datowanym 9.VI.1969, pisał do mnie z nieukrywaną radością, a zarazem właściwym mu poczuciem humoru: „Mam zaszczyt ci donieść, że 6 bm. żona moja Jadwiga powiła dziecię płci męskiej, które stanie się chlubą nie bardzo podłego rodu Dorobów, jeśli nie stanie się jego zakałą. W każdym razie ród ów ma szanse kontynuacji".

Kiedy w roku 1975 wróciłem do Łodzi, Ryszard Doroba był autorem trzech książek: zbioru fraszek, limeryków i wierszy satyrycznych „Łechtanie Hioba" oraz dwóch powieści dla młodzieży: „Tajemnica podziemnego lochu" i „Baszta Szarej Sowy". W powieściach tych powraca niedwuznacznie do lat dzieciństwa i wczesnej młodości, można w nich odnaleźć bez trudu pewne szczegóły topograficzne okolic Łowicza.

Potem przychodzi okres zastoju i kłopotów wydawniczych, które nie pozostają bez wpływu na jego twórczość. Po sześciu latach „jałowych" wychodzi tylko jedna jego książka, zresztą o charakterze popularnonaukowym — „Bliżej tłumu". Pisze teraz jeszcze mniej niż zwykle, jest wyraźnie załamany. Próbuje jednak otrząsnąć się z twórczej niemocy, szuka dróg wyjścia. Za poczynione z żoną oszczędności kupuje niedaleko Sieradza wiejski dom, a właściwie starą chałupę z kawałkiem ziemi. Aby móc tam się zakotwiczyć, zdobywa nawet uprawnienia rolnicze. Jest po pierwszym zawale, lecz zaczyna intensywnie pisać, jakby przeczuwał, że zostało mu już niewiele czasu.

Mówi żona Ryszarda, Jadwiga Łużyńska-Dorobowa:

— Ten dom to miała być taka cicha przystań na następne lata. Nowe otoczenie, nowe środowisko, ale Ryszard szybko przywykł do niego. Lubił toczyć długie rozmowy z sąsiadami, chłopi także bardzo go polubili. Przychodzili do niego ze swymi kłopotami, radzili się, prosili o pisanie podań do różnych urzędów, a on chętnie spełniał te prośby. Mówił, że to ludzie prości, czasem nieoględni, bezpretensjonalni, ale niezakłamani, otwarci, szczerzy. Zresztą oni też dobrze wyrażali się o nim, interesowali się jego życiem i pracą, a gdy zachodziła potrzeba, gdy niedomagało mu serce — wzywali zaraz lekarza, pogotowie. Tak było latem ubiegłego roku, kiedy Ryszarda nawiedził kryzys.

Ryszard lubił też samotne spacery po polach i po lesie, wdychał zapachy ziemi, próbował — jak mówił — smaku wiatru. Otworzył się szerzej na naturę i — to jego słowa — znojny obowiązek chłopów, chciał z niego brać wzór dla swej pracy: tej pisarskiej i tej powszedniej. Bardzo się cieszył, kiedy uprawiony przez nas piaszczysty ugór przy chałupie zaczął wydawać plony, kiedy pojawiły się pierwsze warzywa i kwiaty, zaczęły owocować drzewa. A gdy przyjeżdżał do niego nasz syn, Marcin, Ryszard interesował się nie tylko jego postępami w nauce, udziałem w olimpiadach humanistycznych (syn wdał się w ojca), ale i sprawami wieku dorastania, służył mu po przyjacielsku wskazówkami i radą. Wtedy chodzili już zawsze razem, odbywali długie wędrówki.

Ożył na nowo jego sentyment do wsi, który zrodził się w czasie wojny, u ciotki w Kampinosie. Sentyment połączony z lekką dozą przyjaznej ironii, tak charakterystyczną dla niego. Obserwowałem, jak ten syn Łowickiego pokochał teraz Sieradzkie, jak chłonął opowieści starych chłopów, którym plączą się wydarzenia, rzeczywistość miesza się z fantazją, opowieści czasem niesamowite, irracjonalne, jednak podawane z chłopskim realizmem. Chyba z tego właśnie ducha powstał wiersz „Moja wieś":

To od Sieradza na rzut kamieniem,
ale już inność kładzie się cieniem.

Dniem kusy przemknie otwartym polem,
znacząc kopytem zoraną rolę.

Za to wieczorem z lasu wychynie
i wodzi chłopów po bagnach ninie.

Ci przecinają wielekroć ślady
i w dom swój trafić nie dają rady.

Chyba, że z owsów płynie muzyka,
co dręczy ucho i płoszy dzika.

Wtedy w pomroce idą na dźwięki,
by jak najdalej odbiec od Męki.

A za dnia życie jakoś tam płynie...
Chłopom na polu — czartom w sośninie.

Ostatnie lata życia Ryszarda Doroby były wypełnione gorączkową pisarską pracą. Jej plon to trzy nowe powieści dla młodzieży: wydane niedawno „Wakacje pana Fajki" oraz przygotowane do druku „Wakacje pod łunami" i „Kłopoty z Ludwikiem". Po zbiorze opowiadań „Mój przyjaciel Filon" (ukazał się w tydzień po śmierci autora) kompletuje nowy zbiór „Było, minęło, trwa". No i wraca do wierszy. Te ostatnie jego wiersze są dla mnie wielkim zaskoczeniem. To już nie tradycyjne, rymowane liryki, ale wiersze nowoczesne, skrótowe, dramatyczne, pisane przez człowieka, który wiele przemyślał, doświadczył i przeżył. Pisywał wiersze rzadko, czasem publikował je w prasie. Był nade wszystko poetą, a nie wydał ani jednego tomiku wierszy. Myślę, że Wydawnictwo Łódzkie zainteresuje się jego poetycką spuścizną.

Odszedł przyjaciel i poeta. Odszedł człowiek nadzwyczaj wrażliwy i skromny, ale obdarzony zarazem ogromną godnością własną, nie uznający moralnych kompromisów. Wielka to strata dla wszystkich, którzy go znali i cenili.

TADEUSZ GICGIER

TADEUSZ GICGIER

☆ ★ ☆

Pamięci Ryszarda Doroby

Piszemy stopami na piasku,
kijem na wodzie.
Piszemy ramionami
po przezroczystej tafli powietrza,
głową po chmurach.
Piszemy śladami
na brudnej karcie śniegu
i najmozolniej, najtrudniej —
na białej kartce papieru.
Wiem wreszcie, jak pisać —
powiedziałeś pewnego styczniowego ranka
i wtedy
wypisałeś się z księgi żywych.

22.I.1985

Bigos hultajski

Mieszanka firmowa literacko-obyczajowa

W SIDŁACH BIUROKRACJI

Gdy za czasów Wolnego miasta Krakowa mianowano dyrektorem kopalni ziemianina z Odonowa Jana Mieroszewskiego, niewiele się na górnictwie znającego, ten, złożywszy rządowi przysięgę, zapytał senatora Feliksa Grodzickiego, gdzie jest biuro jego urzędu. Grodzicki zaprowadził go do kąta jednej z izb senackich i rzekł:

— Tu oto postawię panu dyrektorowi stolik, a tu krzesełko, i na nim co miesiąc pan usiądzie, by na stoliku podpisać kwit na pensję.

Po trzecim rozbiorze Polski, gdy Kraków znajdował się pod zaborem austriackim, prezesem sądu szlacheckiego w tym mieście był Mikołaj Urbański. Istniało jeszcze wówczas prawo, że szlachcic mógł być pozwany tylko przez tzw. sąd szlachecki, znajdujący się w większych miejscowościach, od którego mógł apelować do sądu krakowskiego. Gdy raz w sporze między szlachcicem a Żydem sąd lubelski wydał wyrok na korzyść Żyda, a szlachcic wniósł apelację do Krakowa, sprawa ta zbyt długo czekała na swe zakończenie. Zniecierpliwiony Żyd udaje się z Lublina pieszo do sądu szlacheckiego w Krakowie i tu nachodzi prezesa Urbańskiego, domagając się wyroku.

— Żądasz sprawiedliwości — żartuje z niego Urbański — a twoi przodkowie największej dopuścili się niesprawiedliwości, skazując na śmierć niewinnego Jezusa Chrystusa...

— No — odpowie Żyd — Chrystus sam sobie winien, bo gdyby był apelował od tego wyroku do Krakowa, byłby żył jeszcze do dnia dzisiejszego...

„Kurier Literacko-Naukowy", 1933, nr 13

TRIOLET

Zanim kobieta się ubierze,
Trzy razy księżyc się odmieni,
Zmówisz Koronkę, Brewiarz, Wierzę,
Zanim kobieta się ubierze.
Lecz jej nie naglij, radzę szczerze,
Bo jak trucizna się zapieni.
Zanim kobieta się ubierze,
Trzy razy księżyc się odmieni.

Adam Wilusz (1925)

KRÓTKIE WIADOMOŚCI O PCHŁACH

„Kochane dziecię — rzekła pewna kobieta do synowicy swojej w łóżku chorobą złożonej i uskarżającej się, że jej pchły dokuczają. — Jak to, ty pcheł nie lubisz, a przecież to są najlepsze zwierzęta na ziemi. Jak świat światem nikt tego nie widział, ażeby kiedy pchła się wściekła".

Sławny Anglik Wilughby miał pchełkę faworytkę, którą co dzień o pewnej godzinie na dłoni sadzał i krew jej ssać pozwalał. Trzy miesiące używała tego przywileju, a nareszcie znikła.

Lud węgierski posiada znajomość ziół, którymi posypawszy łóżko, wygubiają się pchły. Królowa szwedzka Krystyna traciła je z większymi ceremoniami. Strzelała do nich z dział. Jeszcze dotychczas w arsenale sztokholmskim oglądać można tę lilipucią artylerię.

„Tygodnik Polski", 1819, nr 38.

ZAKOCHANY BIBLIOFIL

Z krakowskiego „Bociana" (1903, nr 15) wydobywam dowcipny wiersz o niestałości uczuć jakiejś panny Sylwii. Aby treść wiersza lepiej zrozumieć, należy się kilka wyjaśnień: sylwa — rękopiśmienna księga zawierająca zapiski treści historycznej lub literackiej, pagina — stronica, unikat — rzadkość, errata — poprawa błędów, elzewir — popularna nazwa miniaturowych książek wydawanych w XVI—XVII w. przez holenderskich drukarzy o nazwisku Elsevier:

O, Sylwio, Sylwio miła,
Czemuś mnie opuściła?
Jam co dzień dwie godziny
Przeglądał twe paginy,
Bo byłaś moim światem —
Najdroższym unikatem.
Ja, mimo stare lata,
Choć znałem twe errata,
Byłbym zaręczał żyrem,
Że jesteś elzewirem,
A nie tam jakimś marnym
Wydaniem popularnym.
O, Sylwio, Sylwio miła,
Zacz w trąbeś mnie puściła?

PRZEBIEGŁOŚĆ NIEWIEŚCIA

Pisze Stangel, iż miał jeden mąż żonę, która co dzień się upijała, a gdy sposobu na nią w domu nie stało, oskarżono i oddano ją magistratowi. Magistrat ciężkim karaniem (a bodaj nie pod gardłem według rzymskiego prawa) zakazał jej na potem upijać się, przecież uprosiła sobie u sędziów, aby się jej przynajmniej wtenczas godziło upić według dawnego zwyczaju ludzi, gdy co przedawać albo kupować będzie, to jest litkupu zażyć, lecz w tym zdrada była. Miała bowiem ta niewiasta kozę jednej, więc zmówiwszy się z drugą sąsiadą taką, jako i sama była, co dzień kozę onę sobie przedawały, a nazajutrz odkupowały wzajemnie i tak litkup pijąc codziennie się upijała.

Maciej Mateusz Fryczkiewicz (1767)

Opracował:
ANDRZEJ KEMPA

Słowo o Ryszardzie Dorobie

Na Mazury, do mej odległej od miasta wioski — wieści docierają z opóźnieniem. Nie zdążyłem już na pogrzeb do Łodzi — człowieka niezwykłego, ciekawego pisarza, wielkiego przyjaciela Mazur. 14 stycznia zmarł nagle jeden z pierwszych „Jerzwałdczyków" — i choć to określenie może dla wielu nic nie znaczy — dla intelektualnego bractwa które pokochało Pojezierze Iławskie z jego niezwykłą urodą jest wyróżnieniem komplementem, charakterystyka człowieka. Autor satyrycznych fraszek „Łechtanie Hioba" a potem powieści dla młodzieży „Tajemnica podziemnego lochu" oraz „Baszty Szarej Sowy" — trafił na Mazury 17 lat temu i natychmiast pokochał tę dziwną krainę, pełną mokradeł nad jeziorami, przedziwnych legend, przepastnych lasów. Pamiętam nasze pierwsze wyprawy łódką po Jezioraku, milczenie z jakim kontemplował piękno natury, był bowiem człowiekiem kontemplacji, osobowością, która rzadko otwiera się na pokaz, kryjąc głębokie warstwy wrażliwości i uczciwości.

Nasza przyjaźń trwała nieprzerwanie przez wiele lat, być może dlatego że stanowiliśmy psychiczne przeciwieństwa. Ja należę do jednostek ekspansywnych, władczych, dynamicznych; on — był spokojny, łagodny, łatwo ustępujący z drogi nie tylko ludziom sobie nieżyczliwym, ale i przeciwnościom losu. Różniły nas też krańcowo różne poglądy na sztukę, na literaturę. Dla mnie sztuka jest Personą groźną, bezwzględną, zachłanną, wymagającą składania sobie daniny każdego dnia, zazdrosną o każde zainteresowanie czy miłość, która nie jest dla niej przeznaczona. Nie da się ta Persona oszukać, okłamać, ukryć przed nią jakiegoś faktu; nie pozostawia ta Persona możliwości zachowania odrobiny intymności, trzeba jej oddać z siebie wszystko, nawet najtajniejsze myśli i uczucia. Bywa zazdrosna o żonę, o dzieci pisarza, o jego miłość do kogoś innego poza nią, Sztuką. Narzuca swój sposób życia, surowy i niemal klasztorny, choć pozwala na legendy o czymś zupełnie innym. Niekiedy odnoszę wrażenie, że nie można być dobrym pisarzem i zarazem dobrym mężem, dobrym ojcem rodziny, dobrym kochankiem. Utwierdzają mnie w tym pamiętniki żon i kochanek pisarzy, pełne tragizmu, a nawet smutku, ponieważ ludzie których kochały, swoje uczucia a nawet te kochające osoby kładli w ofierze na ołtarzu sztuki.

Otóż mój przyjaciel, Ryszard, wierzył, że bywa inaczej, sztuka nie musi być aż tak zachłannym wrogiem, lecz może się stać przyjacielem pisarza. Dlatego też napisał tak mało, ale przynajmniej miał czyste sumienie, że w imię sztuki nie czynił wokół siebie psychicznych spustoszeń. Jakże mu tego niekiedy zazdrościłem! Jego obecność łagodziła we mnie wewnętrzną szarpaninę. Pamiętam, że ilekroć był w Jerzwałdzie, prawie każdego wieczora odbywaliśmy wielokilometrowy spacer po pogrążonym w nocy lesie, rozmawiając o naturze człowieka o przyrodzie.

Jemu zawdzięczam, że wiele moich spostrzeżeń i sądów o ludziach zostało dzięki niemu złagodzone w moich książkach. Wredni osobnicy — a jakże ich wielu wokół nas, choć on starał się tego nie dostrzegać — szukali jego śladów w moich utworach, prototypów przeróżnych postaci. Co mogę im powiedzieć? Ryszard był postacią zbyt skomplikowaną psychicznie, zbyt pełną, aby jakikolwiek pisarz mógł ją odmalować. I był zbyt dobry, aby mógł służyć za bohatera jakiejkolwiek postaci w czasach, gdy przestano wierzyć w istnienie takich osobowości a dobroć ma niską cenę — również i w literaturze.

Ludzie z mojej wsi wspominają go życzliwie, a nawet z czułością, na którą, wbrew pozorom, stać ich proste natury. Brakuje im widoku jego osoby, wędrującej samotnie po polnych miedzach, po ścieżkach ogromnego lasu, stał się bowiem dla nich jak gdyby częścią pejzażu. On też tu pozostawił cząstkę swej duszy i swej osobowości. Myślę, że pamiętają go wielkie drzewa w lesie, i brzegi jeziora, powoli staje się piękną legendą, a to oznacza w jakiś sposób trwałość dłuższą niż jedno życie ludzkie.

ZBIGNIEW NIENACKI

Kocham muzykę Chopina

EUGENIUSZ MOGILEWSKI należy dziś do czołówki pianistów radzieckich. Grę jego cechuje wyjątkowa muzykalność i wrażliwość estetyczna. Artysta prowadzi obecnie ożywioną działalność koncertową tak w Związku Radzieckim jak i poza jego granicami. Warto przypomnieć, że obok zdobycia I nagrody na Międzynarodowym Konkursie Muzycznym im. Królowej Elżbiety w Brukseli w 1964 r. (w innych konkursach nigdy nie uczestniczył), pianista w 1967 r. otrzymał złoty medal Międzynarodowego Towarzystwa Muzycznego w Wielkiej Brytanii. W dniach 1 i 2 marca br. (piątek i sobota) Eugeniusz Mogilewski wystąpi na estradzie Filharmonii Łódzkiej im. Artura Rubinsteina.

— Co uważa pan za ideał interpretacji? — Na czym on polega, czy jest to wierność intencjom kompozytora, czy też jest to oryginalność odtwórcza, niepowtarzalność?

— W pytaniu tym zawarta jest głęboka myśl, ponieważ dla wykonawcy właśnie to jest najważniejsze. Wydaje mi się, że powinien on trzymać się ściśle zamysłu kompozytora i tekstu przezeń nakreślonego. Ważne jest jeszcze, aby gra pianisty była dokładnie przemyślana, aby była ona rozświetlona rozumem i aby w każdej nucie jego wykonania brzmiała taka głęboka wewnętrzna myśl, której wszystko jest podporządkowane. Oczywiste, że ważne jest również i to, aby wykonanie brzmiało tak, jakby sam kompozytor uczestniczył w tym koncercie, albo tak — jak gdyby napisał on ten utwór dopiero co przed chwilą.

Kompozytora też należy odkryć na nowo. Za każdym razem chciałbym w utworze odnaleźć coś nowego, a przede wszystkim grać tak, aby utwór brzmiał bardzo żywo i współcześnie i był bliski umysłowi i sercu słuchaczy.

Kiedy rzecz dotyczy interpretacji, to zawsze przywodzę na myśl to, co kiedyś na temat dzieła sztuki powiedział Ernest Hemingway. Używając przenośni porównał on dzieło sztuki do góry lodowej, której tylko część położona nad wodą jest widoczna, zaś jej podstawa ukryta jest pod wodą. Powiedzenie to staram się przetłumaczyć na język naszego zawodu. Wydaje mi się więc, że istota interpretacji polega przede wszystkim na znalezieniu tego, czego autor wprost nie powiedział, ale co znajduje się jak gdyby między wierszami. Właśnie odszukanie i uchwycenie tych wartości pomaga odnaleźć wewnętrzny sens utworu.

— Czy długo uczy się pan nowego utworu?

— To bywa różnie. Niekiedy przychodzi mi się uczyć nowego utworu szybko, gdy np. jest to związane z rychłymi występami. Niedawno np. udało mi się nauczyć koncertu fortepianowego Tichona Chrennikowa w ciągu czterech dni, który następnie wykonałem na estradzie z towarzyszeniem orkiestry. Ale takich utworów jak np. Sonata B-dur Beethovena (Hammerklavier) uczę się bardzo długo. Aby dobrze opanować taki utwór jak np. Wariacje C-dur na temat walca Diabellego L. van Beethovena potrzeba dużo czasu — z pewnością pół roku, a może i więcej.

Prawie cały swój wolny czas poświęcam na ćwiczenia. Po zakończonych w konserwatorium zajęciach ze studentami, staram się jak najwięcej pracować. Ćwiczę średnio po pięć do sześciu godzin dziennie, a czasem i więcej. W dniu koncertu, a także i przed samym koncertem staram się cały czas grać.

— Lubi pan koncertować solo, czy...?

— Gdy gram z orkiestrą, z pewnością jest to coś zupełnie innego niż gra solo. Przede wszystkim czuje się poparcie dużej liczby muzyków. Bardzo ważne jest, aby dyrygent był dobrym muzykiem; wtedy bowiem wywiązuje się specyficzny kontakt. Czasem chce się „pójść" za dyrygentem, kiedy indziej zaś „pociągnąć" za sobą dyrygenta, i to jest z pewnością na swój sposób bardzo interesujące. Kiedy koncertuję z orkiestrą symfoniczną, wydaje mi się, że orkiestra niby morze otacza mnie wokół, a ja unoszony jestem na szczyt jego fal.

Za szczególny zaszczyt poczytuję sobie współpracę z naczelnym dyrygentem Orkiestry Wszechzwiązkowego Radia i Telewizji w Moskwie — Władimirem Fiedosiejewem. Miałem szczęście występować z nim wiele razy. To doskonały muzyk o wielkim sercu i głębokiej duszy.

— Kto wywarł największe piętno na pana osobowości artystycznej?

— Muszę powiedzieć, że całe moje dotychczasowe życie upłynęło w atmosferze szkoły neuhausowskiej. Moja matka była jedną z ulubionych uczennic Henryka Neuhausa, ukończyła ona w 1941 r. w jego klasie konserwatorium moskiewskie. Właśnie moja matka już od dzieciństwa przekazała i wszczepiła mi wielką miłość, jakieś święte uczucie w stosunku do Henryka Neuhausa. Nie wyobrażałem więc sobie nauki u innego pedagoga; nie dopuszczałem nawet takich myśli. Chciałem uczyć się i pracować tylko pod opieką artystyczną mistrza mojej matki i mego ideału. Dlatego, po ukończeniu szkoły muzycznej im. Piotra Stołarskiego w Odessie, gdzie przez jedenaście lat uczyłem się u swojej matki — przyjechałem w 1963 r. do Moskwy i wstąpiłem do klasy Henryka Neuhausa. Los jednak zdecydował, że byłem jego ostatnim uczniem. Mistrz zmarł bowiem w dniu 10 października 1964 r. Jednakże zdążyłem jeszcze mieć szczęście otrzymać od niego tak wiele, że niczym jasne światło świętego słońca zostało to dla mnie na całe życie. Moje spotkania z nim i ćwiczenia ze mną dały mi prawie wszystko. On także przygotowywał mnie do konkursu im. Królowej Elżbiety w Brukseli i był świadkiem mojego tam zwycięstwa. Bardzo się z tego powodu cieszył.

Śmierć jego była dla mnie ogromnym wstrząsem. Długo nie mogłem dojść do siebie. Wówczas było już dla mnie wszystko jedno, u kogo będę dalej ćwiczył, ponieważ zgasł mój wielki autorytet i człowiek w którego bezgranicznie wierzyłem.

— Jednak uczyć się trzeba było dalej.

— Potem przez dwa lata uczyłem się u jego asystenta i syna Stanisława Neuhausa. Z pewnością on także był znakomitym muzykiem i pedagogiem, lecz mnie potrzebny był człowiek, w którego bym uwierzył i ponownie mu zaufał.

— I spotkał pan takiego człowieka?

— No... tak. Był nim Jakub Zak. Kiedy przeszedłem do jego klasy i zacząłem ćwiczyć, pojawił on się dla mnie znowu przede wszystkim jako wielki nauczyciel i przyjaciel. Poczułem się na powrót bardzo szczęśliwym — jak gdybym zmartwychwstał. To był bardzo interesujący i bogaty okres w moim życiu, nasycony niespotykanymi na ogół wartościami. Ukończyłem u niego konserwatorium, aspiranturę i przez okres siedmiu lat (nieprzerwanie) byłem jego asystentem.

— Ale Jakub Zak także niedługo zmarł.

— Tak. Po jego śmierci w 1976 r. otrzymałem swoją klasę w konserwatorium. Obecnie prowadzę wykłady w Moskiewskim Konserwatorium, ale przede wszystkim — koncertuję. To moje najważniejsze zajęcie.

— Wspomniał pan o swoim udziale i zwycięstwie w Międzynarodowym Konkursie Muzycznym im. Królowej Elżbiety w Brukseli.

— To był mój jedyny konkurs międzynarodowy, w którym uczestniczyłem. Było to dla mnie czymś zupełnie nieoczekiwanym; miałem wtedy dopiero osiemnaście lat. O zdobyciu pierwszej nagrody nawet nie myślałem. Ponieważ był to także mój pierwszy zagraniczny występ, więc odczuwałem dużą przyjemność z tego powodu. Byłem także dumny i z tego, że to właśnie ja reprezentowałem Związek Radziecki na tym konkursie.

— Duma — jak się później okazało — była w pełni uzasadniona.

— Uzyskana tam przeze mnie pierwsza nagroda otworzyła mi drzwi do kariery artystycznej. Konkurs był z pewnością najważniejszym wydarzeniem w moim życiu. Pozostało mi z tamtych dni wiele przemiłych wspomnień.

— Czy królowa belgijska też pan widział?

— Tak, naturalnie. Konkurs odbywał się z żywym udziałem królowej. Po ogłoszeniu wyników konkursu, wspólnie z radzieckim ambasadorem zostałem zaproszony do loży królewskiej. Tam właśnie spotkałem się z królową po raz pierwszy, która ucałowała mnie w obecności całego orszaku królewskiego. Odnosiła się do mnie bardzo ciepło i delikatnie. Zapraszała mnie wiele razy do siebie do pałacu. Rozmawiając ze mną, powiedziała, że po rosyjsku umie powiedzieć tylko dwa słowa — mój drogi. Dla mnie (myślę, że dla innych również) była ona wspaniałym człowiekiem, symbolem rozumu, wielkim działaczem kultury.

— W swoich podróżach artystycznych pamięta pan o ojczyźnie Chopina i jego muzyce.

— Chopin to mój ukochany kompozytor. Jego muzykę kocham tak, jak język, którym się wypowiadam. Dla zrozumienia Chopina i jego muzyki, poświęciłem wiele czasu. Po śmierci mojego ostatniego profesora Jakuba Zaka, wziąłem dwuletni urlop w konserwatorium, aby rzetelnie nauczyć się wykonywać muzykę Chopina. Odniosłem z tego przedsięwzięcia wielki pożytek. Nauczyłem się wszystkich etiud, preludiów i wielu innych utworów. Mogę powiedzieć, że opanowałem duży zakres repertuaru chopinowskiego. Etiudy Chopina grałem w wielu państwach świata m. in. w Hiszpanii, Japonii, we Włoszech i oczywiście w Związku Radzieckim.

— W ubiegłym roku uczestniczył pan w XXXIX Międzynarodowym Festiwalu Chopinowskim w Dusznikach Zdroju. Jakie wrażenia wyniósł pan z tego festiwalu?

— Wrażenia... nie da się tego tak łatwo i krótko wyrazić. One są bardzo głębokie i wzruszające. Jestem szczęśliwy i wdzięczny losowi, który zrządził, że mogłem tam przebywać. Jest w tym festiwalu coś niezwykłego, kiedy pianiści z różnych stron świata przyjeżdżają do Dusznik, aby pokłonić się wielkiemu geniuszowi i uczcić jego pamięć; aby poprzez muzykę powiedzieć, że Chopin żyje, że jego serce żyje w jego utworach wykonywanych przecież także we wszystkich krajach świata. Festiwal w Dusznikach ma w sobie coś tak wzruszającego, do tego stopnia, iż nawet nie potrafię mówić o tym bez łez. Rozmawiając o tych sprawach, mówimy o jednej z najwyższych kultur. Mogę się wam za to tylko pokłonić — i to także daje mi powód do szczęścia.

— Szczerze dziękujemy za rozmowę.

MARIAN STRZELECKI
JACEK WOLAŃSKI

Foto: Marek Grotowski

„Wóda, szabla, ojczyzna..."

„FUCHA"

Scenariusz i reżyseria: Michał J. Dudziewicz. W rolach głównych: Marian Kociniak, Jerzy Bończak, Bogdan Baer, Leon Niemczyk.

Swój debiutancki, dyplomowy film Michał Dudziewicz zrealizował na podstawie opowiadania Jana Himilsbacha. Postać autora na trwałe zapisała się zarówno w polskiej literaturze współczesnej, gdyż jest on twórcą trzech zbiorów opowiadań („Monidło", „Przepychanka", „Łzy Sołtysa"), jak i rodzimej kinematografii. W filmie polskim Himilsbach, jako aktor-naturszczyk stworzył liczne, wprost niezapomniane role. Wspólnie z nieżyjącym już Zdzisławem Maklakiewiczem tworzyli doskonały duet aktorski, o olbrzymich pokładach komizmu. Żałować tylko można, że nie wykorzystano w pełni talentu Maklakiewicza, którego tak dobrze uzupełniał Himilsbach.

Jeśli chodzi o twórczość literacką Himilsbacha, to oscyluje ona wokół środowisk marginesu społecznego, ludzi żyjących na pograniczu prawa i przestępstwa, różnej maści kombinatorów, domokrążców. Drugi nurt tego pisarstwa obiera sobie za temat kwestię ostateczną w ludzkiej egzystencji — śmierć, ukazaną poprzez środowisko tych, którzy wyświadczają nieboszczykom ostatnią przysługę: cmentarnych grabarzy, kamieniarzy wykonujących nagrobki i pomniki. Ta sfera tematyczna szczególnie pojawiała się w pierwszych opowiadaniach z tomu „Monidło". Cały ten barwny świat i półświatek często i w dużych ilościach zaprawia się wódą, która jest potrzebna bohaterom Himilsbacha do życia, tak samo jak powietrze.

Te, tak eksploatowane motywy pojawiają się w filmie Dudziewicza. Jego bohaterami są dwaj kamieniarze, jak to zwykle bywa u Himilsbacha, gustujący w mocnych trunkach, którzy wykonując zleconą przez szefa robotę, podejmują się w ramach fuchy odremontować grób inicjatora Powstania Listopadowego — Piotra Wysockiego.

„Fucha" wyraźnie dzieli się na dwie niejednorodne pod względem stylistyki części. Pierwsza, znacznie lepsza i ciekawsza od drugiej, poprowadzona została przez reżysera w kierunku komedii. Główny efekt komediowy osiągnięty został nie poprzez nagromadzenie gagów, ale poprzez samą obecność na ekranie dwójki bohaterów. Kiedy stają oni przed szefem po przepitej nocy, z twarzami męczenników, w swoich ubraniach: beretki na głowach, waciaki, przykrótkie spodnie odsłaniające wyzywające w swej kolorystyce skarpetki, to już samym wyglądem wzbudzają wesołość widzów. Komizm wynika z ich spojrzeń, sposobu w jaki wypowiadają kwestie dialogowe. Podróż, jaką odbywają, choć pozornie nic się w niej nie dzieje, także jest zabawna. Sprawia to postać „mistrza kierownicy" prowadzącego starą, rozklekotaną ciężarówkę z prędkością dwudziestu, trzydziestu kilometrów na godzinę. Wprawdzie ciężarówka pochodzi z firmy „Mercedes", to jednak jest tak stara, że nie działają w niej hamulce i dlatego, gdy przejeżdża przez skrzyżowanie pełne ludzi, kierowca po prostu zamyka oczy. Aby było jeszcze zabawniej okazuje się, że jest on miłośnikiem superszybkich samochodów biorących udział w wyścigach formuły I. Zbiera zdjęcia i modele tych samochodów i trzyma je w szoferce. Dudziewicz buduje humor w klasyczny sposób zestawiając rzeczywistość starego gruchota z marzeniami kierowcy o osiąganiu zawrotnych prędkości.

Część druga „Fuchy", którą wyraźnie można wyodrębnić od chwili, gdy bohaterowie spotykają nauczyciela historii, utrzymana jest w tonie patriotycznej powagi i zadumy nad takimi wartościami jak: umiłowanie ojczyzny, dla której poświęca się wszystko, zapominając o prywacie (napis na płycie nagrobkowej), pielęgnowanie pamięci o patriotycznych zrywach poprzednich pokoleń, walczących o polskość (gest całowania przez nauczyciela szabli Wysockiego), recytowanie poezji zagrzewającej niegdyś do walki. Raczej chyba niepotrzebnie Dudziewicz rezygnuje z humoru na rzecz pewnego moralizatorstwa. Publiczność wciągnięta w styl filmu nagle zostaje zaskoczona zmianą w jego klimacie i wymowie. Częsty do tego momentu śmiech nie pojawia się już prawie wcale, a na jego miejsce wkradają się oznaki zwyczajnej nudy. Jedyny ciekawszy fragment tej części to wspólna popijawa kamieniarzy z nauczycielem, który pragnie przelicytować tęgie głowy w ilościach wypitego alkoholu, wlewając w siebie wprost niewiarygodne ilości wódki. Przy okazji scen picia wódy Dudziewicz portretuje bywalców podrzędnych knajp i barów, mieszkańców małych miasteczek, dla których główny nurt życia przebiega pomiędzy knajpą a kościołem.

Jeszcze jeden fragment filmu zasługuje na wzmiankę. Jest nim „minietiuda" na budowanie nastroju pokoju, w którym czas jakby stanął, zatrzymał się w bezruchu. Dudziewicz osiąga zamierzony efekt stosując same zbliżenia poszczególnych przedmiotów, sprzętów, obrazów. Jedynym współczesnym elementem jest portret papieża Jana Pawła II, co oznaczałoby że akcja filmu rozgrywa się po roku 1978. Fakt ten podważa w pewnym stopniu sens dialogu o ludziach, którzy jakoby jeszcze pamiętają z autopsji postać Piotra Wysockiego. Skoro Wysocki zmarł w roku 1874, to aby go znali, musieliby się urodzić już przed rokiem 74. Czyli w momencie działania się akcji mieliby dobrze ponad setkę! Nie przypuszczam, aby któraś z osób do tego czasu najzwyczajniej żyła, chyba że w Warce, gdyż tam pochowany jest Wysocki, panuje mikroklimat, niczym w górach Kaukazu zapewniający długowieczność! Jeśli wywód mój jest słuszny, to zupełnie zbędna jest postać staruszki na cmentarzu, która rzeczywiście sprawia wrażenie, jakby miała bezpośrednio do czynienia z Wysockim, gdyż wyraża się o nim „Piotruś?!". Ponieważ nie znam pierwowzoru literackiego, więc nie wiem, czy Dudziewicz posłużył się czasem akcji zgodnie z autorem, czy też sam przetransponował ją w lata siedemdziesiąte. Z lektury opowiadań Himilsbacha wiem, że większość opowiadań rozgrywa się w latach 50 i 60, a nawet niektóre z nich dzieją się jeszcze przed i w czasie wojny. Dudziewicz pragnie chociaż częściowo zachować coś z atmosfery lat 50, tak jakby chciał wyłożyć tezę, że jego bohaterowie należą do innego świata, takiego, w którym gra stare radio, jedzie stara ciężarówka, a czas na kwaterze kamieniarzy się zatrzymał. Bo wprawdzie na świecie jeżdżą już superszybkie samochody, to oni jednak żyją innym rytmem, trochę jak nie z tej epoki.

Nie jestem do końca przekonany, czy wprowadzenie współczesności nie rozbija właśnie jedności stylistycznej filmu, której utrzymanie mogło sprawić cofnięcie czasu akcji w przeszłość.

Reasumując „Fucha" nie wzbudzi raczej większych emocji u widzów, choć wiele osób wybierze się na ten film przede wszystkim ze względu na nazwisko autora opowiadania, według którego film zrealizowano.

WALDEMAR BĘDZIŃSKI

Polemiki • Listy • Opinie

„WRZÓD"

Uprzejmie informuję Obywatela Redaktora, że w celu dokonania merytorycznej oceny funkcjonowania i zarządzania Wojewódzką Stacją Pogotowia Ratunkowego w Łodzi oraz zbadania zarzutów, zawartych w artykule „Wrzód" (Odgłosy nr 6 z dnia 9 lutego 1985 r.) powołałem Komisję złożoną z następujących osób:

— lek. Henryk Janowski — dyrektor Wojewódzkiego Zespołu Metodycznego Opieki Zdrowotnej i Pomocy Społecznej — przewodniczący,

— prof. dr hab. n. med. Jan Baszczyński — specjalista wojewódzki w dziedzinie pediatrii, kierownik Katedry Pediatrii WAM,

— lek. Janusz Kawiorski — dyrektor Specjalistycznego ZOZ Matki i Dziecka w Łodzi, członek Rady Krajowej PRON, radny Rady Narodowej m. Łodzi,

— doc. dr hab. n. med. Marian Szpakowski — specjalista wojewódzki w dziedzinie położnictwa i ginekologii, kierownik Kliniki Położnictwa i Ginekologii WAM,

— doc. dr hab. n. med. Janusz Wara-Wąsowski — specjalista wojewódzki w dziedzinie anestezjologii i intensywnej terapii, kierownik Zakładu Anestezjologii i Intensywnej Terapii AM.

Ustalenia Komisji będą pomocne w zajęciu ostatecznego stanowiska w tej sprawie przez Wydział.

GŁÓWNY LEKARZ WOJEWÓDZKI
dyrektor Wydziału
RYSZARD MACHNIKOWSKI

ODSŁONIĆ KULISY...

Z dniem 1 października 1984 r. wkroczyliśmy w drugi etap podwyżki opłat za czynsz mieszkaniowy. Moi sasiedzi (oboje utrzymujący się z renty) płacili dotychczas za swoje M-3 1277 zł, obecnie po podwyżce będą płacić 1813 zł miesięcznie. W danym przypadku nastąpiła zwyżka czynszu o przeszło 40 proc. Mniej więcej wszyscy mieszkańcy osiedla „Chojny-Zatorze" będą wnosili opłatę przekraczającą tę kwotę o 40 proc. podwyżki.

Żyję i chodzę po ziemi. Czytam prasę, słucham radia, oglądam programy Tv i jakoś nie mogę sobie skojarzyć dwóch podstawowych rzeczy: teorii i praktyki. Może mi ktoś wyjaśni i wytłumaczy? Chętnie posłucham Póki co, posłużę się konkretnymi faktami jak zawsze, bowiem one chyba najbardziej przemawiają do ludzkiej wyobraźni.

W dobie powszechnego głodu mieszkaniowego, co najmniej problematyczne i nieco dziwne wydaje mi się tolerowanie nowo wybudowanych pustostanów. A takowe niestety istnieją. Są nie zamieszkane, nie zagospodarowane od kilkunastu miesięcy, a nawet kilku lat z rzędu. Tajemnica poliszynela. Na osiedlu „Chojny-Zatorze" np. od trzech lat stoją dwa puste pomieszczenia mieszkalne na parterze bl. 23 i 235, przeznaczone rzekomo na urządzenia telekomunikacyjne, aczkolwiek jest to odległa przyszłość...

Inne pomieszczenia na XI kondygnacji bl. nr 9, 12 i 212 z powodzeniem mogłyby być przystosowane na mieszkania, a znajdują się w nich magazyny i archiwum za wyjątkiem bloku 212, gdzie absolutnie nic nie ma, oprócz umeblowania po byłej RO. Zachodzi pytanie. Czy faktycznie nie można przeznaczyć tych pomieszczeń po odpowiedniej adaptacji dla członków spółdzielni najbardziej potrzebujących? Mieć korzyść z opłacanego systematycznie czynszu? Obecnie koszty ponosi spółdzielnia. Druga dość istotna sprawa. W nieskończoność odwlekające się do końcowego odbioru poszczególne obiekty usługowe i handlowe, usytuowane na parterach bloków mieszkalnych. Istna plaga. Nierzadko oddawane są do użytku po okresie przeszło rocznym, po zasiedleniu bloku. Z tego tytułu ponosi ewidentne straty spółdzielnia i my jako członkowie tej spółdzielni, nie wliczając innych dodatkowych uciążliwości i poniesionych kosztów.

Pogotowia awaryjne. Płacone wysokie rachunki jedynie za przyjazd i odcięcie energii elektrycznej lub dopływu wody. Usuwanie awarii należy bowiem do grupy remontowej, wyspecjalizowanej grupy elektryków, hydraulików itp. A pieniążki wartko płyną z kasy spółdzielni do innej kasy i właściwie za co? Z powodzeniem mógłby tego dokonać obeznany i przeszkolony pracownik administracji zamieszkujący w osiedlu.

Następna sprawa nie mniej ważna. Właściwa naprawa i konserwacja urządzeń technicznych, będącej w gestii spółdzielni, administracji. Są konserwatorzy, a jakże na etatach, ale oglądamy ich rzadko chyba w razie zaistniałej awarii. Po kilku latach takiej beztroskiej konserwacji maszyn i urządzeń technicznych wysiadają pompy inne podzespoły, a części zamiennych brakuje. Wykruszają się w zastraszającym, szybkim tempie.

Nagminne skargi mieszkańców na głośno pracujące węzły cieplownicze, nad którymi badania trwają od kilku lat. Wydatkowano już pół miliona złotych na drobne poprawki w projekcie I co z tego wyszło? Ano nic lub prawie nic. Węzły huczą, spędzają sen z powiek, a badania nadal trwają.

Oddzielnym problemem staje się zagospodarowanie terenu. Na powyższe cele wydatkowano miliony złotych. Nieuczciwi wykonawcy zasiali trawę posadzili krzewy na lichym kamienistym podłożu które nawet nie wzeszły i pousychały. Natomiast tam, gdzie wyrosła bujna zieleń, nie widać jej konserwacji, a pracownik zatrudniony na etacie ogrodnika z braku zajęcia przez jakiś czas pracował w klubie osiedlowym... Trawa rośnie na dziko.

Pewnego razu byłem naocznym świadkiem takiej oto scenki: — młody człowiek dosiadł nowego traktorka ogrodniczego i zaczął kosić trawę przed bl. 246 Raz po raz uderzał w kamienie. Przystawał podnosił silnik do góry, wyjmował kamienie i jechał dalej. Nie zajechał daleko. Maszyna odmówiła posłuszeństwa, musiał zjechać do bazy administracji. Przypadkowi przechodnie i dzieci, uczestniczące gromadnie — mieli uciechę. Pechowy kierowca nie sprawdził terenu przed podjęciem pracy.

Na ulicy Mieszczańskiej jesienią 1983 roku ustawione zostały znaki drogowe. Ot, tak sobie, byle były. W stosunkowo krótkim czasie się powywracały i uległy dewastacji. Niby drobna rzecz, a jednak rzutuje na całokształt pracy administracji osiedla.

Po prostu krew nagła człowieka zalewa patrząc na taką bezmyślną i beztroską gospodarkę groszem spółdzielczym. Wydawanie lekką rączką na prawo i lewo pieniążków, dosłownie w błoto.

Członków spółdzielni interesują konkrety, nie obietnice. Czy równie z płaceniem podwyższonego czynszu za mieszkania spółdzielcze, użytkownicy będą mieli zagwarantowaną sprawniejszą obsługę w usuwaniu zgłaszanych usterek, innych uciążliwości warunków mieszkalno-bytowych na danym osiedlu?

Czy rzeczywiście czasokres naprawy np. wymiany izolacji w pomieszczeniu pralni będzie nadal ciągnął się przez kilka miesięcy, czy też kilka tygodni? Jak narazie pompy pracują coraz głośniej, zamiast ciszej Windy psują się coraz częściej, a i słychać je na każdej kondygnacji wieżowca, czego nie było. A nie wywiezione na czas śmieci „hulają" po całym osiedlu.

Nie jestem pesymistą, widzącym wszystko w czarnych kolorach. Jestem realistą. Sądzę, że silny i prężny samorząd, może wiele zdziałać na innych niż dotychczas zasadach, ale też musi mieć pewne zrozumienie i poparcie zarówno ze strony zarządu spółdzielni jak i samych mieszkańców. Rzecz nie w tym, aby zapewnić sobie „otoczkę" pozornej działalności, akceptacji wszystkiego, lecz w tym, aby móc śmiało i odważnie rozwiązywać nabrzmiałe sprawy i problemy w możliwie szybkim czasie. Myślę, że w szczerej, otwartej dyskusji na różne tematy z ludźmi, można znaleźć najbardziej obiektywne rozwiązanie każdej jednej sprawy.

WŁADYSŁAW BISZEWSKI

WINDA

Naciskałem po kolei wszystkie guziki, ale piekielne pudło ani drgnęło. Ugrzęzłem między szóstym a siódmym, jadąc na dziesiąte do znajomej, z którą miałem się spotkać między pierwszą a drugą. Kiedy mnie wreszcie ściągnęli, dochodziła trzecia. Podreptałem na górę. Na moje dobijanie się odpowiadała głucha cisza.

I wtedy powziąłem niezłomne postanowienie: muszę prześledzić dzieje tego diabelskiego wynalazku, co tak mnie urządził. Dotychczas tylko tyle wiedziałem, że winda to inaczej dźwig lub wyciąg (wyciąg, wyciągcie itd.). Mała Encyklopedia Powszechna PWN nie wzbogaciła mego zasobu wiadomości. Cóż mi po opisie współczesnej windy, skoro miałem okazję przyjrzeć się jej dokładnie w ciągu dwóch bez mała godzin!

Z innych źródeł dowiedziałem się, że windy jako takie znano już w czasach starożytnych. Były to windy linowe, poruszane za pomocą ludzkich mięśni. Kroniki nie wspominają czy dobrze funkcjonowały, ale jak dotąd nie spotkałem się z przypadkiem nawalenia mięśni ludzkich przy tak mało skomplikowanym zajęciu. W konkurencjach rozgrywanych w ramach turniejów miast nie raz oglądałem na srebrnym ekranie starszych panów z brzuszkami, ciągnących ze wszystkich sił powrozy — bez żadnej awarii.

Ręczną windą jeździł m.in. Neron. Po pożarze Rzymu w 66 r. cesarz zażyczył sobie postawienia na miejscu spalonego pałacu nowego, jeszcze okazalszego. W nowo zbudowanym obiekcie zainstalowano windę wznoszącą się na wysokość 40 m., mogącą zatrzymywać się — co za cud techniki! — na każdej kondygnacji, a nie między nimi. Budowniczowie zadbali o przepisy bhp: podłogę windy i dolną powierzchnię szybu wyścielały puszyste poduchy. Może podejrzliwy Neron obawiał się, że niewolnicy poprzecinają powrozy? Ponieważ byli oni niegramotni, nie wypisywali kartek WINDA NIECZYNNA. Na ich ślad (kartek) przy wykopaliskach pałacu Nerona nie natrafiono.

Windy na ręczny pych przetrwały długo, co nie oznacza, że ówczesna technika dreptała w miejscu. To zastosowano przeciwwagę — gdy jedna kabina wędrowała w górę, z góry na dany znak dla ulżenia napiętym mięśniom spuszczano drugą, odpowiednio obciążoną. To znowu z należytą rozwagą sięgnięto do pomocy korby i koła zębatego w celu zagwarantowania użytkownikom bezpieczeństwa. Gdy obsługa zagadała się, powiedzmy na temat nieprzewidzianego fuksa w ostatnim wyścigu kwadryg, winda nie leciała na łeb i szyję w odwrotnym kierunku.

Takie unowocześnione, ręczne windy budowano w Rosji carskiej jeszcze w połowie XVIII wieku. Funkcjonowały one w pałacach Carskiego Sioła opodal ówczesnego Sankt-Petersburga, gdzie car batiuszka miał letnią rezydencję. Można je było spotkać w co okazalszych budowlach w Kuskowie pod Moskwą. W w r. 1785 znany mechanik rosyjski Kułibin skonstruował tzw. windę gwintowaną, wędrującą na wielgachnych śrubach w te i nazad.

Kłopoty — jak wynika z dawnych kronik — zaczęły się dopiero w pięć lat później, w r. 1880, kiedy to ruszyła pierwsza w świecie winda elektryczna. Nazwisko jej konstruktora utonęło w pomroce dziejów. Wiadomo tylko, że wypuścił ją berliński koncern Siemensa. Wielokabinowe pudło, przypominające kształtem gigantyczny różaniec, poruszało się non stop. Owe pierwsze siemensowskie windy współcześni nazywali Paternoster, bo co pobożniejsi i strachliwsi pasażerowie, nie darząc ich zbytnim zaufaniem, w czasie jazdy zawzięcie klepali pacierze, mające uchronić przed awariami.

Ja też odmówiłem pacierz, gdy w drodze do znajomej winda zablokowała się między piętrami. Tylko zamiast od Ojcze nasz modlitwę rozpocząłem słowami Nasza matko, co w wiernym przekładzie na łacinę brzmi Naser mater. Ale widać za późno zabrałem się do pacierza. Trzeba go było zacząć na parterze, gdy wsiadałem do windy.

ADAM OCHOCKI

KOMUNIKAT KONKURSOWY

Zarząd Oddziału Stowarzyszenia Dziennikarzy PRL w Rzeszowie, Wydziały Kultury i Sztuki Urzędów Wojewódzkich w Krośnie, Przemyślu, Rzeszowie i Tarnobrzegu, redakcje: „Nowin", Rozgłośni Polskiego Radia, „Profilów" i Oddziału KAW w Rzeszowie, „Podkarpacia" w Krośnie, „Tygodnika Nadwiślańskiego" w Tarnobrzegu i „Życia Przemyskiego" w Przemyślu — ogłaszają konkurs na reportaż, związany z 40-leciem Polski Ludowej w regionie Polski południowo-wschodniej, pod hasłem:

„Nazywano ją Polską B"

Zamysł i hasło konkursu są powtórzeniem (po ponad 20 latach) podobnej inicjatywy, podjętej przez wydawnictwo „Czytelnik" i tygodnik „Polityka", kiedy co trzeci z nadesłanych reportaży konkursowych pochodził właśnie z terenu południowo-wschodniej części kraju.

Celem konkursu jest uzyskanie wartościowych prac, ukazujących przeobrażenia i zmiany, jakie zaszły (i zachodzą nadal) na terenie województw: krośnieńskiego, przemyskiego, rzeszowskiego i tarnobrzeskiego w okresie 40 powojennych lat, które ostatecznie wymazały na tych terenach pojęcie dawnej „Polski B". Nie jest jednak intencją organizatorów konkursu, by jego plon dał obraz wyłącznie jubileuszowy, złożony z blasków i pogodnych barw. Bardziej zależy im na pracach, które przekażą prawdę o tym regionie i ludziach, tworzących jego współczesny portret, choćby prawdą ta była czasem gorzka, daleka od potocznych wyobrażeń i opinii.

Konkurs ma charakter otwarty i przeprowadzony zostanie w dwóch grupach reportaży — prasowych i radiowych. W każdej z tych grup przewiduje się przyznanie: **I nagród po 50.000 zł, II nagród po 35.000 zł, III nagród po 20.000 zł oraz wyróżnień po 10.000 zł.** Jury dokona ostatecznego podziału nagród i wyróżnień w oparciu o ocenę jakości prac, nie zmieniając jednak ogólnej kwoty, przeznaczonej przez organizatorów konkursu na nagrody.

Konkurs jest anonimowy, a podpisane godłem prace, które nie powinny przekraczać 30 stron maszynopisu (w 3 egz.) lub 30 minut nagrania na taśmie magnetofonowej, należy uzupełnić kopertą, wewnątrz której powinno znajdować się imię, nazwisko i adres autora. Prace konkursowe należy nadsyłać pod adresem: **Stowarzyszenie Dziennikarzy PRL, Oddział w Rzeszowie, Al. Komunistów 10,** z dopiskiem „Konkurs 40-lecia PRL". Ostateczny **termin nadsyłania prac mija 31 marca br.,** a rozstrzygnięcie konkursu nastąpi 9 maja 1985 r. — w 40 rocznicę zwycięstwa nad faszyzmem.

Organizatorzy konkursu zastrzegają sobie prawo pierwodruku prac nadesłanych na konkurs i wykorzystania ich w audycjach radiowych, a także wydania plonu konkursu w formie książkowej (w każdym jednak przypadku autor otrzyma honorarium za swą pracę).

CO BUDUJE AUTORYTET?

Zapewne ma rację Barbara Kempa pisząc, że zarobki sędziów są za niskie („Odgłosy" nr 5/85 r.: „Sędzia — zawód czy misja?"). Z pewnością ma także rację, gdy zauważa, że sędziemu powinno przysługiwać prawo do dodatkowej powierzchni mieszkalnej, w postaci odrębnej izby, tak jak przysługuje np. nauczycielom. I że wielu sędziów (choć nie tylko sędziów) znajduje się w trudnych lub bardzo trudnych warunkach lokalowych. Można wierzyć i w to, że młodzi sędziowie i asesorzy „drżą z emocji" przed rozprawą — jeśli nie „kolejną" — to przed pierwszą, samodzielną. Zapewne też niektórzy odchodzą z sądownictwa, przechodząc do innych zawodów prawniczych. Dzieje się tak zresztą i w innych zawodach, a przyczyny tego są różnorodne.

Trudno wszakże zgodzić się z pozostałymi wywodami Barbary Kempy. Wątpię też, by nawet sami sędziowie chcieli zasadność i prawdziwość tych wywodów podzielać. Mam również wątpliwości, czy prestiż i autorytet sędziego, o którym tak wiele pisze Barbara Kempa, buduje i umacnia użyta przez nią argumentacja.

Znajomi radcowie prawni ze spółdzielni mieszkaniowej, występujący jako pełnomocnicy procesowi, pytani czy dostrzegają te „l i z u s o w s k i e uśmiechy", jakie w trakcie rozprawy ślą im sędziowie, pukali się znacząco w czoło, a uśmiech jakim mnie przy tym obdarzali, z pewnością nie był „lizusowski".

Pomijając już aspekt moralny takich postaw, nawet gdyby były prawdziwe — czy można uwierzyć, że nawet bardzo młody sędzia jest aż tak naiwny, aby liczył na to, że najbardziej nawet „lizusowski" uśmiech do pełnomocnika procesowego, nawet poparty korzystnym dla niego orzeczeniem, wpłynie na przydział spółdzielczego mieszkania dla sędziego? Czyżby sędziowie nie wiedzieli jaki jest tryb przydziału mieszkań spółdzielczych i nie orientowali się, że wpływ pełnomocnika procesowego na ten przydział jest zgoła żaden? I czyżby byli aż tak naiwni (lekkomyślni? nieostrożni?), aby swoje umizgi do pracownika spółdzielni prezentować na rozprawie, w toku procesu?

Nie wierzę też, aby solidnie, rzetelnie i z poczuciem odpowiedzialności, przygotowywali się do rozprawy jedynie sędziowie stanu wolnego. Bo ci inni — „wciśnięci między dwoje dzieci, współmałżonka i teściową" oraz „stół, tapczan i szafę" (czyżby samotni obywali się bez mebli?) — nie są w stanie czynić tego w sposób należyty. Moje spostrzeżenia wyniesione z kontaktów z sądami są odmienne. Ale być może trafiałem wyłącznie na sędziów nie obarczonych „współmałżonkiem, dwojgiem dzieci i teściową".

Trudne warunki materialne sędziów — pisze Barbara Kempa — zmuszają ich do intensyfikowania pomocy domownikom, a także, za zgodą prezesa sądu wojewódzkiego, do podejmowania prac dodatkowych. Nie byłoby chyba w tym nic złego, bo sytuacja taka jest raczej powszechna. Trudno chyba dziś znaleźć rodzinę, w której zaangażowanie w prace domowe jest wyłącznym obowiązkiem jednego z małżonków, a także, aby ktoś mający możliwość uzyskania dodatkowych dochodów z dodatkowej pracy, pracy takiej nie podjął. Nikogo to wszakże nie zwalnia z obowiązku dyscypliny, rzetelności i sumienności, tak w pracy zasadniczej, jak i dodatkowej. Dotyczy to i sędziów. Dlatego nie można się zgodzić z Barbarą Kempą, że okoliczności te usprawiedliwiają złe przygotowanie się sędziego do sesji, nieterminowe sporządzanie uzasadnień orzeczeń czy niepunktualne rozpoczynanie rozpraw.

Za to, że poświęcili się swemu posłannictwu, sędziowie „płacą grzywnę", woła Barbara Kempa. Grzywną tą — są ich zarobki. — Zaiste! Osobliwa to argumentacja i osobliwa logika. I chyba zbędny wszelki komentarz. Można by chyba tylko dodać, że taką „grzywnę" za wykonywanie w y b r a n e g o p r z e z s i e b i e zawodu, płacą nie tylko sędziowie. Płacą ją prokuratorzy i arbitrzy komisji arbitrażowych, nauczyciele i pracownicy naukowi wyższych uczelni, bibliotekarze i organizatorzy życia kulturalnego, pielęgniarki i pracownicy służb socjalnych — i jeszcze wielu, wielu innych.

Sędzia, zdaniem pani Barbary Kempy, to — w odróżnieniu od innych zawodów — m i s j a, posłannictwo. Dlatego powinien być traktowany w sposób szczególny, a czynnikiem, który zawodowi sędziego nada rangę posłannictwa, powinna być „umiejętna polityka finansowa", skonkretyzowana w podniesieniu wynagrodzeń sędziowskich. Nie jestem przeciwny temu, aby sędziowie zarabiali dużo i bardzo dużo. Zgadzam się z Barbarą Kempą, że satysfakcja z wykonywanej pracy nie może być jedynym, motywującym do tej pracy bodźcem. Nie zgadzam się wszakże z tym, aby zawód sędziego traktować nie jako zawód, lecz „posłannictwo".

Jeśliby już oceniać poszczególne zawody w kategoriach ich „posłannictwa", to nie widzę powodu, dla którego nie miałby być za taki uznany zawód prokuratora, nauczyciela, pielęgniarki czy lekarza? A do jakiej kategorii zaliczyć członków kolegiów do spraw wykroczeń, którzy — pełniąc społeczną funkcję — także „stosują prawo", decydują o winie i karze, a wymierzając karę aresztu, decydują o pozbawieniu człowieka wolności? Może właśnie oni i właśnie dlatego, że nie czynią tego zawodowo, spełniają m i s j ę w oddziaływaniu na społeczną praworządność, na poszanowanie prawa przez obywateli?

Sędzia — to zawód. Szczególny, może nieporównywalny z innymi, ale zawód, a nie misja, nie jakieś szczególne posłannictwo. Nie fetyszyzujmy zawodów, nawet, jeśli do ich wykonywania niezbędne są szczególne predyspozycje — psychiczne, czy fizyczne. W ten sposób nie zbudujemy ich prestiżu i autorytetu. Prestiżu i autorytetu nie kształtuje także wysokość zarobków czy to poszczególnych osób, czy grup zawodowych. Gdyby tak było, to autorytet bazarowej przekupki przewyższałby autorytet profesora akademii. Zastrzegałem się już, że jestem za tym, aby sędziowie byli wynagradzani godziwie. Nie jestem wszakże przekonany, że prestiż i autorytet sędziego będzie wzrastał w miarę podwyższania jego zarobków.

„Nie żyjemy w abstrakcyjnej czasoprzestrzeni, ale w określonych strukturach społecznych, politycznych, administracyjnych i ekonomicznych" stwierdza Barbara Kempa. Święta prawda Wszyscy żyjemy w konkretnych, obiektywnie istniejących warunkach. Wszyscy, na co dzień, odczuwamy trudy i uciążliwości tych warunków. Nie są od tego wolni także sędziowie, którzy w tych właśnie strukturach ekonomicznych, a nie w abstrakcyjnej czasoprzestrzeni wykonują swój trudny, szczególny i odpowiedzialny z a w ó d.

Dobrze, że odzywają się głosy, aby warunki te, z uwagi na specyfikę z a w o d u polepszać i poprawiać. Niedobrze jednak, że motywacja i argumentacja przy tym użyta, prestiżu i autorytetu tego zawodu nie umacnia i nie podnosi.

PIOTR SIKORSKI

Mój powrót z piekła

Liza Minelli, utalentowana, sławna, odporna na wszelkie ciosy, zniszczyła się, sama o tym nie wiedząc, przy pomocy malutkich pigułek podniecających i alkoholu. 15 lipca udała się do Betty Ford Center w pobliżu Rancho Mirage, najsłynniejszego instytutu odwykowego Kalifornii, stworzonego przez Betty Ford, która sama poddała się wcześniej kuracji odwykowej. Również Liz Taylor wyszła zwycięsko z tej kliniki. To ona doradziła Lizie udanie się tam. W swym wstrząsającym wyznaniu Liza opowiada, w jaki sposób człowiek pogrąża się, aż do utonięcia w chemicznych ruchomych piaskach złudnej euforii. I w jaki sposób udało jej się z tego wydobyć.

To nadeszło akurat w momencie, kiedy zaczynałam właśnie zaprowadzać porządek w swym życiu. Sądziłam, że nie mam żadnego powodu do braku zaufania do siebie i oszczędzania się. Sama, bez przymusu, zdecydowałam się zagrać w mym ostatnim spektaklu, nie ograniczać swych emocji, zanurzyć się.

Taka właśnie jestem. Cokolwiek robię, oddaję się temu całkowicie. Byłam pod presją pracy, która oddziaływuje na artystę, a która polega na bezustannym uświadamianiu sobie, że to ciało na scenie należy do was i do nikogo innego. Ponadto miałam wrażenie reprezentowania mego pokolenia. Wierzyłam, że wszystko zależy ode mnie, jeśli ja będę doskonała, inni również tacy będą.

Wraz z Chrisem Riverą byliśmy na Broadwayu gwiazdami w sztuce „The Rink". Grałam tam rolę zbuntowanej dziewczyny, jaką zresztą nigdy nie byłam. Robiłam to co wieczór. To było jakby przeżywanie psychoanalizy bez przewodnika. Weszłam zbyt głęboko w siebie samą dla tej roli. Nigdy dotąd nie zrobiłam tego dla żadnej granej postaci. I kiedy spostrzegłam, jaką to mi wyrządza krzywdę, było już za późno.

Kiedy moja matka, Judy Garland, umarła w 1969 r., musiałam zająć się wszystkimi sprawami związanymi z pogrzebem, zaopiekować się siostrą i bratem. Wypełniałam swoją rolę najstarszej córki. Byłam pogrążona w rozpaczy, ale równocześnie zdecydowana wywiązać się ze wszystkiego w sposób możliwie doskonały, tak, jak ona by sobie życzyła. Sprowadzono lekarza, który mnie zbadał, ale jego diagnoza była do przewidzenia: napięcie i smutek. Zapisał mi Valium. Byłam tak wdzięczna, że wreszcie ktoś podejmuje za mnie decyzje, że usłuchałam. I w piętnaście lat później nastąpił upadek. Ciężki.

Nie zdawałam sobie sprawy z tego, że się zatruwałam. Było to po prostu coś, co się bardzo łatwo bierze po to, aby się uspokoić i rozjaśnić umysł. To uspokajało ból i nerwowość.

Dorośleje, obserwowałam ludzi, którzy garściami połykali tabletki usypiające. Tłumaczyłam sobie, że ja nie jestem taka jak oni. Czym się więc przejmować? To nie były narkotyki. W miarę upływu lat poznałam odmianę całego nowego, podniecającego słownika: Valium, Librium, Dalmane — śmieszne słowa, które ładnie brzmią.

Nikt nie zażywa pastylek po to, aby stać się niewolnikiem narkotyku. Jednak ich akumulacja w organizmie w ciągu wielu lat kończy się zniszczeniem człowieka i prowadzi go w różne pułapki. Myślałam: jeśli Valium uspokaja mnie w ciągu dnia, to wieczorem proszek nasenny też mi pomoże, a wino nie czyni przecież nikomu szkody. Nieprawda?

Znam ludzi, którym nigdy nie udaje się zasnąć bez pomocy Dalmane. Człowiek wyobraża sobie, że przy odrobinie szczęścia i inteligencji nie przyzwyczai się. Jednak mamy do czynienia z produktami chemicznymi, których działanie jest zaskakujące i podstępne. Przez długi czas przekonywałam samą siebie, że nie jestem uzależniona. Jeśli zauważyłam, że zbyt przyzwyczajam się na przykład do Valium, przerzucałam się na Librium. I kiedy zażywałam pastylkę Librium, mówiłam sobie: „Widzisz, Lizo, nie musisz brać Valium, właśnie z niego zrezygnowałaś". Człowiek się w taki sposób oszukuje całymi latami. Potem najczęściej przychodzi czas na to, co nazywa się narkotykami rozweselającymi: szczyptę kokainy, czy inny, niewielki bodziec. Ja, już z natury, jestem „speedee" nie potrzebowałam więc tego. Marihuany nienawidzę; wolę szampana. Po nocy spędzonej na piciu alkoholu w lokalach, zawsze jako ostatnia do końca trzymałam się na nogach. Mogłam wszystkich rozwieźć po domach i byłam gotowa zacząć od początku. Całe życie byłam silna pod każdym względem, sądziłam więc, że mogłabym stawić czoła każdemu problemowi. Nie mogłam zrozumieć, jak można się narkotyzować dla przyjemności. Wierzyłam, że moje lekarstwa podtrzymują mnie, pomagają przezwyciężyć trudne chwile. Jednak nigdy, nigdy nie wzięłam niczego przed wejściem na scenę, przed pracą. Była to reguła, której nigdy nie wolno było przekroczyć i której nigdy nie przekroczyłam. Szklaneczkę wypijałam zaraz po spektaklu. Na początku roku zdecydowałam się przestać pić przez osiem dni. Tym razem wytrzymałam tylko cztery dni. Był to pierwszy sygnał alarmowy.

Kiedy zaczęłam brać środki uspokajające, pomogły mi. Nie pozwalały one, aby moje mocno wypełnione życie poszarpało się na wszystkich końcach.

Nie piłam astronomicznych ilości alkoholu i zażywałam tylko lekarstwa przepisane mi przez lekarza, nie przekraczając doz. Myślałam, jak wielu ludzi, że na przyjęciu nie można spędzić czasu bez kieliszka w ręce. Jest on czymś, co pozwala się odprężyć, dobrze się czuć. Poza tym, miałam swoje osobiste problemy. Czułam, że muszę być dowcipna, czułam, że muszę być niezwykła. Musiałam błyszczeć. Tak więc zmuszałam się do tego z zapamiętaniem przez długie lata. Pomiędzy 28 a 35 rokiem życia brałam lekarstwa, które nie pozwalały mi utyć. Przeszkadzały one w przybraniu na wadze. Jednak substancje chemiczne akumulowały się i stawałam się coraz bardziej wrażliwa na używki. I to jest właśnie niebezpieczne: Jeśli jedna substancja zatruwa, wszystkie inne ją naśladują. Alkohol albo inne produkty chemiczne.

W przeszłości często przyjmowałam, z przerwami, przepisane mi lekarstwa i wierzyłam, że jestem wciąż wystarczająco silna, aby się im oprzeć. W ciągu ostatniego roku jednak przerwy stawały się coraz krótsze i krótsze. Ale fakt, że wciąż jeszcze mogę przestać zażywać, przekonywał mnie, że nie jestem naprawdę uzależniona.

Byłam więc tu, na Broadwayu, gdzie każdego wieczora pogrążałam się w emocjach, mając nadzieję, że lepiej lub gorzej wytrzymam do następnego dnia. Moja energia zaczęła się wyczerpywać i właśnie to przeraziło mnie naprawdę. Normalnie jestem w stanie produkować się na scenie aż do środka nocy a potem wstać wcześnie i biec na próbę tańca. Na skutek akumulacji Valium i alkoholu budziłam się coraz później. A potem, po wypiciu filiżanki kawy mówiłam sobie: „Sądzę, że mogę się jeszcze zdrzemnąć". I kładłam się na jakieś dwie godzinki. Potem pozostawałam w łóżku i oglądałam telewizję. Mogłabym opowiedzieć treść wszystkich popołudniowych seriali. W końcu pozostawałam w łóżku, przed małym ekranem cały dzień. Koło 18.30 zmuszałam się do wstania i udawałam się na spektakl. Stawałam się coraz słabsza.

Również moje życie osobiste psuło się, co nie jest rzadką sprawą w przypadku ludzi znających moje problemy.

Marka Gero poznałam w 1977 r., kiedy robił dekorację do sztuki „The Act" na Broadwayu. Była to historia pewnej gwiazdy komedii muzycznej robiącej swój „come-back" — spektakl w spektaklu — zawierający tak dla odtwórców, jak i dla widzów, duży ładunek emocjonalny. Byłam zmęczona, samotna, a napięcie było niewiarygodne. Ale w moje życie wszedł Mark. Wniósł w nie pewną formę stabilizacji i miłości, które bardzo mi pomogły.

W ciągu następnych miesięcy staliśmy się nierozłączni. Był dla mnie wszystkim. Kiedy okazało się, że jestem w ciąży, pobraliśmy się. Obydwoje chcieliśmy mieć dzieci i wierzyłam, że rozpoczynam nowe życie. Kilka tygodni po ślubie, w grudniu 1979 r. poroniłam, potem jeszcze dwa razy. To właśnie przyspieszyło, jak sądzę, chorobę, która zaczynała mnie drążyć.

Na początku tego roku moja nowa sztuka, „The Rink", dorzuciła do tego resztę, dokonując zniszczenia. Stałam się zamknięta w sobie i milcząca, szczególnie wobec Marka. Od dawna przyjęte było w cichej umowie dotyczącej naszych wzajemnych stosunków, że kiedy nas coś dręczyło, milczeliśmy i roztrząsaliśmy sami nasze przykrości, aż do chwili, kiedy wszystko wybuchało gwałtownie na sposób włoski. Mark trzymał się więc na dystans i czekał na mój pierwszy krok. Miał nadzieję, że w taki lub inny sposób rozwiążę swoje problemy i będziemy, jak przedtem, żyli razem. Zaskoczyłam jednak wszystkich deklarując, że nadszedł moment, abyśmy się na jakiś czas rozstali. Mark zgodził się na to.

Czułam, że jestem chora, sądziłam jednak, że jest to mononukleoza albo hipoglikemia. Poszłam do lekarza, potem do drugiego. Obydwaj dokładnie mnie przebadali i stwierdzili, że nie jestem chora na żadną chorobę i dali mi recepty na Valium.

Poza tym mały pieprzyk, który od dawna drażnił mnie na szyi, zaognił się. Udałam się do kliniki, aby go usunąć. I zaczęłam robić to, czego nigdy nie robiłam: opuszczać przedstawienia. Czułam się chora i winą za to obarczałam wszystko z wyjątkiem prawdziwego powodu.

W czasie pobytu w klinice zatelefonowałam do Lorny, mojej siostry. Urodziła właśnie niedawno dziecko i życie jej pełne było szczęścia. Posiadała w sobie tę równowagę, której mnie brakowało. Pamiętam doskonale, co jej płacząc powiedziałam: „Jestem chora i zmęczona tym zmęczeniem i chorobą". Lorna jest dzieckiem lat sześćdziesiątych i miała, ale go przezwyciężyła, problem z narkotykami. Wiedziała co się ze mną dzieje i zrozumiała, że nadszedł czas, aby uświadomić mi fakty.

Kiedy Lorna przyjechała zobaczyć się ze mną, byłam jak szmata. Rozmawiałyśmy o widocznej poprawie, jakiej doznała Elizabeth Taylor, odkąd udała się na leczenie do Ośrodka Betty Ford. Przed przyjazdem do mnie Lorna telefonowała do niej, opowiedziała jej moją historię i Liz czekała na moją decyzję, aby przyjść mi z pomocą. Rozmawiałyśmy z Lorną i kiedy znalazłam się twarzą w twarz z moimi demonami, miałam ochotę uciec. Kiedy godzinę później Lorna wróciła do domu, zatelefonowałam do niej, aby jej powiedzieć, że wyrażam zgodę na udanie się do Ośrodka Betty Ford. Potem zadzwoniłam do Marka, z którym właśnie cztery dni wcześniej rozstałam się. Przyjechał natychmiast i odprowadził mnie na lotnisko.

Normalnie, przed udaniem się do Ośrodka Betty Ford powinno się spędzić najpierw kilka dni w szpitalu Eisenhowera w celu odtrucia organizmu. Ponieważ jednak zaprzestałam już zażywania leków, zostałam od razu przyjęta do Ośrodka. Było to 18 lipca.

Płakałam i czepiałam się Lorny, ale w końcu musiałam się z nią pożegnać. Te drzwi należy przekroczyć samemu i zrobiłam to. Leczenie zaczyna się od razu. Poznałam się z kobietami, z którymi miałam dzielić sypialnię. Żadna z nich nie należała do świata artystycznego. Wszystkie pochodziły z innych środowisk, ale miałyśmy takie same problemy. Nie jest to choroba ekskluzywna. Przebywając w Ośrodku jest się zajętym od 6.30 rano do 7.00 wieczorem. Należy dobrze zrozumieć: to nie jest luksusowa klinika. Tam się nie wyleguje cały dzień na brzegu basenu. Rozpoczyna się więc od dyżurów. Kiedy człowiek zaczyna się uzależniać,

pierwszymi rzeczami, które zarzuca, są drobne, codzienne czynności; od tego więc należy zacząć. Ściele się łóżko, robi się porządek wokół siebie, podaje do stołu i wolno człowiek zaczyna się organizować od nowa.

Przez pierwsze pięć dni nie otrzymuje się żadnych telefonów z zewnątrz, aby móc skoncentrować się na własnym problemie. Potem można skorzystać z automatu telefonicznego znajdującego się w saloniku przy sypialni. Jest to trochę tak, jakby się przebywało w domu studenckim uniwersytetu o trudnym programie. Pierwsze telefony wykonałam do Marka i Lorny, obydwoje byli dla mnie czuli i dodali mi odwagi. Odbywały się tam odczyty, seanse terapii grupowej: zadawane były prace i ćwiczenia. Ja przez cały czas pisałam pamiętnik. Każdego wieczoru coś zapisywałam. To mi pomagało w doskonaleniu samej siebie, w pozostawaniu z samą sobą w kontakcie. Byłam odcięta od świata zewnętrznego i równocześnie czułam się wspierana przez tych, którzy mnie otaczali i przez mojego doradcę w instytucie.

Jest to bardzo silne, bardzo osobiste i bardzo intymne — seanse terapii są długie i w moim przypadku grupy składały się przeważnie z dziesięciu osób. Uczestniczy się w nich wiedząc, że to, co się powie, pozostanie między nami i że nikt niczego nie powtórzy. Ta zasada nie tylko chroni intymność; umożliwia ona szczerość niezbędną do wyzdrowienia. Jest to terapia przez konwersację. Chodzi o podzielenie się swymi urazami, swoją chorobą. Najważniejsze jest to, że człowiek nie czuje się osamotniony. Tych ludzi nie jest w stanie zaszokować nic, co się zrobiło w życiu. Wszyscy robiliśmy rzeczy, których się wstydzimy. Problemem jest, jak pozbyć się starych lęków i starych uczuć.

Jest to rodzaj leczenia przy pomocy rzeczywistości, oddziałuje się tym, co jest, a nie tym, co było lub mogło być. Do problemów nie podchodzi się intelektualnie, ale przy pomocy własnych uczuć, emocji.

Całe lata przeżyłam na pogoni za zmianami — i to był wielki błąd. Czułam swoje zobowiązanie wobec całego świata i utraciłam kontakt z tą małą dziewczynką, którą gdzieś tam jeszcze byłam, a która odczuwała potrzebę opieki i wsparcia i która nigdy nie miała okazji rozwinąć się. Zaczynałam bez alkoholu i produktów chemicznych czuć się silniejsza niż wtedy, kiedy liczyłam na nie. Byłam również bardziej spokojna i odprężona. To cudowne czuć się panią samej siebie.

Pozostało mi przezwyciężenie bardzo szczególnego problemu. Musiałam pochować moją matkę. Wreszcie. Nigdy nie miałam, albo nie poświęciłam wystarczającej ilości czasu na jej opłakanie i pochowanie naprawdę. Ten rodzaj pogrzebu nie odbywa się na cmentarzu, ale w duszy. Moja matka umarła: był to fakt trudny do zaakceptowania, ale taka była prawda. Nagle w piętnaście lat po pogrzebie doznałam w końcu uczucia normalnej żałoby. Jest rzeczą niebezpieczną przechowywanie w umyśle zmarłych tak, jakby wciąż żyli. Mnie to przyszło bardzo łatwo. Kiedy się wreszcie kogoś pochowa, przestaje się o tym kimś myśleć bez przerwy, usprawiedliwiać go i bronić.

Możecie mi wierzyć albo nie, ale nigdy nie poddawałam się żadnemu leczeniu, nigdy nie korzystałam z usług psychoanalityka. Byłam osobą nadmiernie opiekuńczą. Byłam jak matka mojej własnej matki. Tym, z czego nie zdawałam sobie sprawy, był fakt, że moja miłość do niej była nadmierna. Teraz, w końcu, pojmowałam to.

Zrozumiałam, że wszystkie właściwości przypisywane alkoholowi i środkom uspokajającym — uczucie zrelaksowania, energia i poczucie bezpieczeństwa — w rzeczywistości były przez nie niszczone. W rezultacie alkohol i lekarstwa doprowadzają do zduszenia wszelkich uczuć. Aby „otrzeźwieć", trzeba nauczyć się na nowo odczuwać.

Nauczyłam się również czegoś innego. Bardziej niż talent, bardziej niż wszystko, co robiłam, podtrzymywał mnie mój własny instynkt samozachowawczy. To on mnie zaprowadził do Ośrodka Betty Ford. Dzień po dniu odzyskiwałam swą integralność i determinację przeżycia. Wreszcie nadszedł dzień dla rodziny. Przyjechała Lorna i Mark. Po emocjach związanych z odnalezieniem się, co było dla nich jakby spotkaniem z moim nowym „ja", oni również uczestniczyli w programie. Do Marka dobiegły wstrętne plotki na temat naszego małżeństwa, lecz długi czas nic na ten temat nie mówił. Nic nie mogło zniszczyć jego woli ocalenia naszego związku. I zwyciężył. Nasze życie małżeńskie układa się bardzo dobrze. Rozumiemy się nawzajem, godzimy z naszymi wadami.

Pogodziłam się również z całym szumem wokół mnie i ze wszystkimi plotkami. Posiadam niesamowitą ciekawość mego własnego życia, mej kariery. Przypuszczam, że to dlatego, iż chcę porównać rozwój mojej kariery z karierą mej matki. Wiem, że tej ciekawości nie wyzbędę się, ale teraz przyzwyczajam się do powtarzania sobie, że to życie jest moim własnym życiem i że przeżyję je w najlepszy dla mnie sposób. Można odziedziczyć wiele rzeczy, również skłonność do używek. Wiem to. Ale byłabym niesprawiedliwa, gdybym nie przyznała, że właśnie od matki przejęłam instynkt samozachowawczy.

Pozostała mi jeszcze jedna przeszkoda do przezwyciężenia. Większość osób z Ośrodka zwierzała się ze swego problemu rodzinie i przyjaciołom. Ja powierzyłam swój całemu światu. Wielki znak zapytania stanowiło dla mnie cały czas: co pomyślą sobie ludzie? Udało mi się w końcu zrozumieć kapitalną rzecz: to, co myślą inni ludzie, mnie nie obchodzi, ja nie ponoszę za to odpowiedzialności.

Nie miałam się czym przejmować. Otrzymałam tysiące listów, na które próbowałam odpowiedzieć. Myślę, że ludzie są wspaniali, jeśli mimo wszystkich własnych kłopotów, potrafią jeszcze przejmować się kimś innym. Napisali do mnie wszyscy przyjaciele, wszyscy. Mimo wszystko, wbrew wszystkiemu ja o nich pamiętałam i oni o mnie nie zapomnieli. Pozostałam nawet w przyjacielskich stosunkach z moimi eks-mężami.

Program trwa od czterech do ośmiu tygodni. W Ośrodku zawiera się przyjaźnie, których niczym nie da się zastąpić. Wszyscy tu toczą walkę. Przyglądałam się kobietom z mojej sypialni, które walczyły o swoje życie i widok ten wywołał u mnie łzy nadziei. Nikt nie powinien bać się ani wstydzić tego typu problemów: pomoc nadejdzie. Myślę, że wyciągnęłam właściwe wnioski z lekcji. Doradzono mi, aby w ciągu pierwszego roku unikać podejmowania poważnych decyzji. Po to, aby przyzwyczaić się do nowego stanu. To jednak jest, jak sądzę, kwestia temperamentu i nowej postawy wobec życia. Mam trzydzieści osiem lat, ale przypuszczam, że swój wiek dojrzały osiągnęłam jeszcze przed trzydziestką.

Problem wydawał mi się o wiele groźniejszy pięć lat temu, niż dzisiaj. Teraz czuję się całkowicie nową osobą.

Przyszłość? Ważne jest dziś, nie jutro, nie pojutrze, nie następny tydzień. Kocham komedię muzyczną, ale teraz wolałabym wrócić do kina i telewizji. Przez jakiś czas pozostanę w Kalifornii, tu będę pracowała nad projektami filmów; Mark rzeźbi i przygotowuje wystawę w Los Angeles, będzie więc również tam pracował. Jestem pełna optymizmu. Jestem także, jak mi się wydaje, we wspaniałej formie. Ponad wszystko odczuwam wdzięczność. Wydaje mi się, że poznałam otchłanie rozpaczy i samotności — i nigdy nie będę musiała tam wrócić. Wiem, gdzie jestem.

(Tłum. z „Paris Match" J. G.)

(10)

„W imieniu Boga" – tajemnicza śmierć Jana Pawła I

Kiedy prefektura ukonstytuowała się najpierw w postaci składającego się z trzech kardynałów kolegium założycielskiego, jej kierownikiem został kardynał Egidio Vagnozzi. Teoretycznie najwyżej po roku urzędowania powinien był przedłożyć papieżowi dokładny przegląd stanu finansów Watykanu. Praktycznie jednak Vagnozzi również spotkał się z tajemniczością, demonstrowaną często przez różne administratury watykańskie wobec szukających informacji dziennikarzy. Kongregacja ds. Kleru nie chciała ujawnić swoich liczb tak samo, jak APSA. Podobnie zachowywały się inne instytucje. W 1969 r. kardynał Vagnozzi powiedział do swoich kolegów: „Należałoby utworzyć kombinację z KGB, CIA i Interpolu, by można było uzyskać chociaż pobieżną informację o tym, ile jest tam pieniędzy i gdzie one tkwią". W celu zwolnienia będącego w podeszłym wieku współpracownika Bernardino Nogary, 84-letniego kardynała Alberto di Jerio, który ciągle jeszcze pełnił funkcję kierownika Banku Watykańskiego, papież Paweł VI mianował biskupem swojego zaufanego, Paula Marcinkusa. W dzień po tym, jak leżąc u stóp papieża przyjął święcenia kapłańskie, objął on funkcję sekretarza Banku Watykańskiego. Praktycznie od początku i pod każdym względem był on szefem tego banku. Stosunkowo łatwym zadaniem było tłumaczenie rozmowy między prezydentem Johnsonem a papieżem; teraz stanął przed zadaniem, o którym, jak sam otwarcie przyznał, nie miał żadnego pojęcia: „Nie mam żadnego doświadczenia w sprawach bankowych". Paul Marcinkus daleko zaszedł: od nieznanego księdza w Cicero do wielkiego bankiera w Watykanie, do pozycji zapewniającej taką nieograniczoną władzę osobistą, jakiej nie miał przed nim na pewno żaden Amerykanin.

Jedną z osób, które wspierały awans Paula Marcinkusa, był Giovanni Benelli. On to ocenił wobec papieża jako zysk dla Banku Watykańskiego tego grającego w golfa, palącego cygara, towarzyskiego człowieka z Cicero. Dwa lata później Benelli zrozumiał, że była to błędna ocena i że Marcinkusa powinno się jak najszybciej zwolnić z zajmowanego stanowiska. W tym krótkim okresie Marcinkus sam tak rozbudował swoją władzę, że była ona większa od tej, jaką dysponował Benelli. Kiedy w 1977 r. doszło do decydującej próby sił, Benelli był tym, który przegrał i odszedł z centrum władzy Watykanu.

Niezwykły awans, umożliwiony Marcinkusowi, był częścią składową starannie zaplanowanej strategii, której celem było przeorientowanie polityki Watykanu. Oznakami procesu, któremu — co jest zrozumiałe — nie chciano przyglądać się w Watykanie bezczynnie, były konieczności płacenia fiskusowi włoskiemu milionowych sum w postaci podatków od dochodów od kapitału oraz występowania w roli posiadacza licznych przedsiębiorstw włoskich, produkujących w dodatku tak kompromitujące drobiazgi, jak pigułki antykoncepcyjne, które papież Paweł VI właśnie potępił. W tym sensie papież i jego doradcy podjęli decyzję ograniczenia obecności na włoskim rynku kapitałowym i ulokowania gdzie indziej większości majątku watykańskiego, przede wszystkim w USA. Chciano ponadto wejść do lukratywnego świata europejskich interesów dolarowych i do raju podatkowego.

Marcinkusa zaprotegowano, ponieważ w tej strategii miała mu przypaść istotna funkcja. Inną kluczową rolę papież powierzył człowiekowi ze swojej „mafii mediolańskiej"; człowiek ten nie pochodził w rzeczywistości z Mediolanu, lecz założył tam tylko swoją finansową kwaterę główną: „rekin", jak go nazywano, urodził się w Patti koło Messyny na Sycylii. Nazywał się Michele Sindona.

Podobnie jak Albino Luciani, również Michele Sindona w swoim dzieciństwie z pierwszej ręki poznał nędzę, i tak jak Luciani został nacechowany tymi doświadczeniami i tym środowiskiem. Kiedy jednak u Lucianiego przekształciło się to w zdecydowaną wolę przyczynienia się do złagodzenia lub zlikwidowania zjawiska nędzy, Sindona postanowił zostać za wszelką cenę bogatym człowiekiem.

Urodzony 26 maja 1920 r. i wychowany przez jezuitów, Sindona już jako dziecko ujawnił ukształtowaną umiejętność myślenia kategoriami matematycznymi i ekonomicznymi. Swoje studia prawnicze na uniwersytecie w Messynie ukończył z wyróżnieniem w 1942 r.; powołania do armii włoskiej, które powinno potem właściwie nastąpić, uniknął dzięki pomocy dalekiego krewnego swojej narzeczonej, pracującego w watykańskim sekretariacie stanu; był nim niejaki monsignore Amleto Tondini.

Podczas ostatnich trzech lat wojny światowej Sindona włożył na razie swój dyplom prawnika do szuflady i poświęcił się lukratywnemu sposobowi zdobywania chleba. Robił przy tym w zasadzie już to, z czego stał się potem sławny na całym świecie: kupno i sprzedaż. Na czarnym rynku w Palermo kupował żywność, z pomocą mafii przemycał ją do Messyny i tam z dobrym zyskiem sprzedawał głodującej ludności.

Po wylądowaniu aliantów na Sycylii w czerwcu 1943 r. Sindona uzyskał nowe źródła zaopatrzenia w postaci oddziałów amerykańskich. Wraz z zakresem jego interesów rozwijały się także jego powiązania z mafią. W 1946 r. przeprowadził się do Mediolanu; z Sycylii zabrał ze sobą nie tylko swoją młodą żonę, Rinę, lecz w swoim bagażu podróżnym także wiele wartościowych lekcji z zakresu prawa podaży i popytu, jak i pewną liczbę jeszcze bardziej wartościowych listów polecających od arcybiskupa Messyny, którego przyjaźń Sindona starannie pielęgnował.

Osiedlił się w podmiejskiej miejscowości mediolańskiej Affori i podjął pracę w firmie zajmującej się doradztwem dla przedsiębiorstw oraz kontrolą gospodarczą. Wyspecjalizował się w prowadzeniu inwestorów amerykańskich poplątanymi ścieżkami kompleksowego, włoskiego prawa podatkowego, co było poszukiwaną usługą w okresie silnego napływu kapitału amerykańskiego do Włoch. Jego przyjaciele i partnerzy z mafii byli pod wrażeniem sukcesu młodego, dynamicznego biznesmena. Był utalentowany, ambitny i — co w oczach mafii najbardziej się liczyło — bezkompromisowy w dążeniu do swoich celów, był całkowicie przekupny i był jednym z nich. Znał tradycyjne zwyczaje mafii, jak np. „omertę", nakaz milczenia. Był Sycylijczykiem.

Młodym Sindoną i zręcznością, z jaką prowadził dolarowe inwestycje przez rafy uciążliwego i zawiłego ustawodawstwa podatkowego, szczególnie zachwycona była mafijna rodzina, klan Gambino. Rodzina Gambino prowadziła działalność finansową na całym świecie, ale jej głównymi bastionami gospodarczymi były Nowy Jork i Palermo. W Nowym Jorku Gambinowie rządzili sami, natomiast w Palermo — ich sycylijscy kuzyni, Inzerillowie. Drugiego listopada 1957 r. w hotelu Grand w Palermo odbyło się wielkie „spotkanie rodzinne". Wśród zaproszonych gości był także Michele Sindona.

Gambinowie przedstawili Sindonie ofertę, którą przyjął bardzo chętnie. Chcieli powierzyć mu zadanie ponownego lokowania ogromnych zysków, jakie rodzina zaczęła uzyskiwać w tym czasie z handlu heroiną. Potrzebowali kogoś do czyszczenia pieniędzy. Idealnym człowiekiem do realizacji tego zadania wydawał się właśnie Sindona, który wystarczająco udowodnił, że potrafi wprowadzić do Włoch i wymanewrować z tego kraju poważne kapitały, bez budzenia przy tym ogarów drzemiących w urzędach finansowych. Za jego kandydaturą przemawiało dodatkowo to, że w czasie tego spotkania mafijnego na „szczycie" był już dyrektorem wielu firm. Wdzięcznym klientom mówił często: „Moje honorarium przyjmuję chętnie w formie akcji pańskiej firmy". (...)

W siedemnaście miesięcy po spotkaniu na „szczycie" w Palermo, korzystając z pieniędzy mafii Sindona kupił swój pierwszy bank. Dawno już zrozumiał podstawowe reguły gangsterstwa gospodarczego: jeżeli możliwie najbardziej skutecznie chcesz splądrować jakiś bank, kup go.

Sindona utworzył holding pod nazwą Fasco AG z siedzibą w Liechtensteinie. Wkrótce potem Fasco zakupiło mediolański Banca Privata Finanziaria, zwany krótko BPF.

Był to mały, prywatny i bardzo ekskluzywny bank, założony w 1930 roku przez jednego z ideologów ruchu faszystowskiego. Nielicznym wybranym służył jako wehikuł do nielegalnego transferu kapitału z Włoch. Ta dumna tradycja bez wątpienia stanowiła powód, dla którego Sindona zainteresował się właśnie tym bankiem. Abstrahując od faktu, że nie miał on żadnej chęci pójścia na wojnę za Mussoliniego, Sindona był jednak faszystą najczystszej wody. BPF był więc idealnym obiektem dla jego zabiegów. Człowiek czyszczący pieniądze sprawił sobie własną pralnię.

W tym samym roku, w którym zakupił BPF, Sindona poczynił dalsze odważne inwestycje. Arcybiskup Mediolanu zabiegał w tym czasie o zdobycie pieniędzy na budowę domu starców. Wówczas pojawił się Sindona i postawił do dyspozycji całą sumę. 2,4 mln dolarów. Kiedy kardynał Giovanni Battista Montini poświęcał Casa della Madonnina, Sindona stał obok niego. Obaj stali się dobrymi przyjaciółmi i od tego czasu we wszystkich problemach związanych z inwestycjami (kościelnymi lub nie) Montini w coraz większym stopniu zdawał się na rady Sindony.

Kardynał Montini prawdopodobnie nie wiedział o tym, że sumę 2,4 mln dolarów Sindona otrzymał głównie z dwóch źródeł: od mafii i od CIA. Były agent CIA, Victor Marchetti ujawnił później, że „w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych CIA udzieliła wsparcia finansowego wielu projektom i działaniom Kościoła katolickiego, od budowy sierocińców po działalność misyjną. Co roku miliony dolarów rozdzielano między wielu biskupów i dostojników kościelnych. Jednym z nich był kardynał Giovanni Battista Montini. Można sobie wyobrazić, że Montini nie wiedział, skąd pochodziły te pieniądze. Być może był przekonany, że pochodzą one od przyjaciół Kościoła".

Przyjaciołom tym tak bardzo zależało na powstrzymaniu za każdą cenę widma zwycięstwa wyborczego komunistów włoskich, że nie tylko przepompowali wiele milionów dolarów do tego kraju, lecz byli także gotowi do delektowania się pełnym zadowolenia uśmiechem takich ludzi, jak Sindona. Mógł on być nawet gangsterem, ale pod względem politycznym stał przynajmniej po właściwej stronie".

Rekin zaczął się usamodzielniać. Mediolańczycy, którzy mają właściwie skłonność do patrzenia z góry na Rzymian, nie mówiąc już o Sycylijczykach, początkowo po prostu zignorowali tego cichego, uprzejmego człowieka z południa. Po pewnym czasie koła finansowe miasta, które było i jego stolicą finansową Włoch, przyznały, że Sindona był doskonałym doradcą w sprawach podatkowych. Kiedy zaczął kupować firmy i robić przy tym dobre interesy, traktowano to jako szczęście początkującego. Gdy jednak stał się nagle właścicielem banku i zaufanym doradcą człowieka, w którym wielu widziało następnego papieża, było już za późno, by go powstrzymać. Jego wzlot był niepowstrzymany. Przez swoje towarzystwo holdingowe Fasco, kupił Banca di Messina. Uderzenie to szczególnie podobało się mafijnym rodzinom Gambino i Inzerillo, gdyż dzięki niemu uzyskały przecież swobodny dostęp do banku mającego swoją siedzibę na Sycylii, w ojczystych stronach Sindony.

Sindona nawiązał tymczasem ścisłe kontakty osobiste i handlowe z Massimo Spadą; ten mąż zaufania Watykanu był kierownikiem IOR i jako przedstawiciel Stolicy Apostolskiej zasiadał w radach nadzorczych 24 przedsiębiorstw. W osobie Luigi Menniniego Sindona pozyskał jako przyjaciela kolejnego, czołowego przedstawiciela Banku Watykańskiego, a ponadto zdobył sobie przyjaźń także ojca Macchi, sekretarza Montiniego.

Banca Privata zaczął kwitnąć. W marcu 1965 r. Sindona sprzedał 22-procentowe udziały londyńskiemu Hambros Bank. W banku tym, od dawna utrzymującym ścisłe kontakty z Watykanem — jako „świetny" oceniono sposób, w jaki Sindona manipulował pieniędzmi napływającymi do BPF. Opinię tę podzielały rodziny Gambino i Inzerillo, podobnie jak Continental Bank of Illinois, który również zakupił 22-procentowy udział w BPF. Continental stał się najważniejszą stacją pośrednią dla wszystkich inwestycji Watykanu w USA. Sieć powiązań, w którą Sindona włączył siebie i kompetentnych w sprawach finansowych ludzi z Watykanu, była teraz utkana podwójnie i potrójnie. Zaprzyjaźnił się z monsignore Sergio Guerri, który kierował Sekcją Nadzwyczajną, monolitycznym tworem genialnego Nogary.

W 1964 r. Sindona kupił kolejny bank, tym razem w Szwajcarii: Banque de Financement w Lozannie, krótko zwany Finabankiem. Podobnie jak miediolański BPF, bank ten, w którym większość udziałów miał Watykan, w małym tylko stopniu był czymś więcej, niż „stacją przeładunkową" dla nielegalnej ucieczki kapitału z Włoch. Watykan zatrzymał jeszcze 29-procentowe udziały również po tym, jak Sindona wykupił większość akcji Finabanku. Swoje udziały w tym banku miały także londyński Hambros i Continental w Chicago.

Tak ścisłe powiązanie powszechnie znanych i bogatych firm, jak Watykan Sp. z O.O., Hambros i Continental z Michele Sindoną pozwala jedynie przypuszczać, że prowadził on operacje bankowe ku ich pełnemu zadowoleniu.

Z konkretnym sposobem realizowania tych operacji zetknął się na pierwszej linii frontu Carlo Bordoni. Bordoni poznał Sindonę w drugiej połowie listopada 1964 r. w jego mediolańskim mieszkaniu przy Via Turati 29. Do niedawna był kierownikiem mediolańskiej filii First National City Bank of New York (Citibank). Zwolniono go, ponieważ w operacjach dewizowych przekroczył wyznaczony mu limit obrotów. W oczach Sindony fakt ten absolutnie nie przemawiał przeciw Bordoniemu. Zapytał go więc, czy ma chęć przejęcia w swoje ręce operacji dewizowych BPF. Bordoni odrzucił tę propozycję, kiedy dowiedział się, że bank dysponował tylko wkładami mniejszymi niż 15 mld lirów (było to około 15 mln dolarów). Były to drobne pieniądze w porównaniu z obrotami Citibanku, które wynosiły w granicach miliarda dolarów. Do tego BPF nie miał jeszcze w owym czasie koncesji na handel dewizami. Ponadto był nieznaną formą w międzynarodowych operacjach bankowych i — jak uważał Bordoni — nie miał „żadnej możliwości wejścia do dostojnego klubu banków międzynarodowych".

Bordoni miał lepszy pomysł. Dlaczegóż by nie utworzyć operującej na rynku międzynarodowym firmy maklerskiej, która jako usługę oferowałaby pośrednictwo w operacjach dewizowych? Przy starannej pracy i wyśmienitych kontaktach Bordoniego firma taka mogłaby przyciągnąć do kraju spore i zyskowne zamówienia. „Podniosłoby to — mówiąc znowu językiem Bordoniego — prestiż skromnej jeszcze wówczas grupy Sindony. Po pewnym czasie można byłoby już prawie z całą pewnością liczyć na bieżące kredyty dewizowe dla BPF i Finabanku".

Jak Bordoni stwierdził później w złożonym pod przysięgą oświadczeniu dla sądu mediolańskiego, propozycja ta wywołała u Sindony wyraźną euforię i bez zwłoki zaaprobował ten projekt. Entuzjazm Sindony nietrudno zrozumieć. Pięknie i dobrze było być złodziejem, jeszcze piękniej i lepiej było być złodziejem operującym w skali międzynarodowej. Zaproponowana przez Bordoniego firma, której nadano nazwę Moneyrex, rozpoczęła działalność 5 lutego 1965 r. Kierowana na początku uczciwie przez Bordoniego przyniosła znaczne zyski. W 1967 r. osiągnęła już obroty w wysokości 40 mld dolarów i przyniosła zysk netto wynoszący ponad 2 mld dolarów. Sindona nie byłby sobą, gdyby nie postarał się o zniknięcie tych zysków, zanim jednak czegoś więcej, niż uczciwie zarobionego, nie opodatkowanego zysku. Naciskał na Bordoniego, by jego bankom przekazywał tyle wkładów dewizowych, ile tylko możliwe. Bordoni wskazywał na wiele poważnych problemów, które w jego przekonaniu czyniły te żądania niewykonalnymi. Rekin wpadł we wściekłość i głośno przypomniał Bordoniemu „siłę przekonywania" i „władzę", którymi dysponował. Bordoni odparł, że to właśnie miał na myśli, mówiąc o problemach. Dla pełnej jasności dodał: „Pana „siłą przekonującą" jest mafia, a pana „władzą" masoneria. Nie mam zamiaru ryzykować mojej dobrej opinii i sukcesu Moneyrexu tylko dlatego, że domaga się tego ode mnie mafioso".

W końcu jednak zwyciężył u Bordoniego oportunizm wobec zasad i wyraził gotowość włączenia BPF i Finabanku do operacji Moneyrexu. Pierwszą jego czynnością było zapoznanie się z praktyką stosowaną przez oba banki Sindony i ich sytuacją. To, co przy tym stwierdził, mówi tak samo dużo o Watykanie, bankach Hambrosa i Continental, jak i o samym Sindonie. W zacytowanym już raz protokole wypowiedzi złożonej władzom wymiaru sprawiedliwości pod przysięgą w szpitalu więziennym w Caracas koło Mediolanu czytamy:

„Kiedy latem 1966 r. zacząłem zapoznawać się z BPF, głęboko poruszył mnie chaos, panujący w różnych wydziałach. Był to niewielki bank, który swoje przetrwanie zawdzięczał tylko różnicom zysków, osiąganych — oczywiście w odpowiednio zamaskowanej formie — za pomocą licznych „czarnych operacji"; przeprowadzanych przez BPF na zlecenie Credito Italiano, Banca Commerciale Italiana i innych ważnych banków krajowych. Te nielegalne operacje dewizowe, poważny, nielegalny eksport kapitału, odbywał się codziennie i chodziło przy tym o wysokie sumy. Stosowana metoda była rzeczywiście najbardziej prymitywną i kryminalną, jaką tylko można sobie wyobrazić"

Bordoni odkrył liczne przekroczone konta bez żadnych zabezpieczeń. Suma „winien" przekraczała znacznie ustawowo wyznaczony limit, wynoszący 1/5 kapitału własnego banku. Bordoni odkrył też poważne kradzieże. Powszechnie przyjętą praktyką było odciąganie przez urzędników bankowych pieniędzy z kont klientów bez wiedzy ich właścicieli. Pieniądze te zapisywano potem na konto Banku Watykańskiego. Ten z kolei przekazywał te sumy, pomniejszone o 15-procentową prowizję, na konto w finabanku w Genewie. Jako posiadacz tego konta figurował Mani, Ma pochodziło od Marco, ni — od Nino; Marco i Nino byli synami Sindony. Prowizja, zatrzymywana przez Bank Watykański, nie zawsze wynosiła 15 procent, lecz — w zależności od obowiązujących właśnie kursów na czarnym rynku dewizowym — mogła być większa lub mniejsza.

Kiedy jakiś klient Banca Privata skarżył się, że wystawiony przez niego w zaufaniu do swego konta czek okazał się bez pokrycia lub nie zgadzało się coś ze stanem jego konta, otrzymywał najpierw zwykle arogancką odpowiedź, że może sobie poszukać innego banku. Jeżeli jednak stawał się po tym nieprzyjemny, interweniował kierownik, który przyjmując pozę poważnego biznesmena mediolańskiego oświadczał klientowi, że musi tu chodzić o „jakiś błąd w księgowości, pan wie, te nowoczesne komputery" i wielokrotnie przepraszał.

Podobne, jeżące włosy na głowie praktyki, Bordoni odkrył w Finabanku w Genewie. Jego kierownik, niejaki Mario Olivero nie miał pojęcia o operacjach bankowych, a dyrektor przez cały dzień nie robił nic, poza spekulowaniem na giełdach papierów wartościowych, towarów terminowych i giełdach dewizowych. Jeżeli ponosił straty, księgował je na jedno z kont klientów. Jeżeli osiągał zyski, zapisywał je na swoje konto. Kierownicy poszczególnych wydziałów pilnie naśladowali przykład dyrektora. Uczestniczył w tym także Bank Watykański

IOR był z jednej strony współwłaścicielem Finabanku, a z drugiej utrzymywał w nim wiele kont. Bordoni stwierdził, że przez konta te jawnie dokonywano gigantycznych operacji spekulacyjnych, które przynosiły kolosalne straty". Straty te, tak jak straty wszystkich innych uczestników tej gry, ponosiła fikcyjna firma pod nazwą Liberfinco (Liberian Financial Company). W czasie, kiedy Bordoni prowadził swoje sprawdzenia po stronie „winien" konto tej firmy wykazywało sumę 30 mln dolarów. Kiedy w 1973 r. do sprawy włączył się szwajcarski nadzór banków, długi Liberfinco wzrosły do 45 mln dolarów. Urzędnicy nadzoru postawili Sindonie, Watykanowi, Hambros Bank i Continental Illinois ultimatum: albo zlikwidują Liberfinco w ciągu 48 godzin, albo oficjalnie ogłosi się bankructwo Finabanku. Gian Luigi Clerici di Cavenago, jeden ze wspólników Sindony, dowiódł w tej sytuacji, że ratujących pomysłów nie brak mu tak samo, jak składników nazwiska. Otwierając inne konto na sumę 45 mln dolarów, które prawdopodobnie istniały tylko na papierze, wyrównywał saldo Liberfinco i potem rozwiązał tę firmę; jednocześnie powołał nową firmę pod nazwą Aran Investment of Panama, której konto od samego początku było obciążone deficytem w wysokości 45 mln dolarów.

Kiedy Sindona polecił Bordoniemu zatroszczenie się o Finabank, ten zareagował pamiętnym niedomówieniem: „Tam dzieją się dziwne rzeczy". Poinformowany przez Bordoniego, jak dziwne były te rzeczy w rzeczywistości, Sindona wpadł w pasię, zwymyślał go i wyrzucił ze swego biura. W bankach nadal gospodarowano po staremu. Kiedy Sindona zauważył, że Bordoni próbował się wycofać, uciekł się do wypróbowanego środka — szantażu. Również Bordoni w swoich operacjach dewizowych przekroczył ustawowe limity. Sindona zagroził, że zadenuncjuje go u prezesa włoskiego banku państwowego. Bordoni pozostał. (...)

Sindona był mistrzem sztuki szantażu. Jeżeli pominąć możliwą zdolność wrodzoną, to zapewne mógł to zawdzięczać przejściu przez szkołę mafii, ponadto miał możliwość posługiwania się talentami najbardziej doskonałego praktyka tej sztuki, jakim był w tym czasie we Włoszech Licio Gelli. Zarzucając w złości Sindonie kontakty z mafią i masonerią, Bordoni igrał z dwoma ogniskami. Loża masońska, do której należał Sindona, nie miała zbyt daleko sięgającego rodowodu. Nie miała też nic wspólnego z lożami, które powoływały się na patriotę włoskiego, Garibaldiego. Jej wielkim mistrzem nie był książę Kentu. Nazywała się „Propaganda 2" lub „P-2", a jej wielkim mistrzem był Licio Gelli.

Gelli urodził się 21 kwietnia 1919 r. w mieście Pistoia w środkowych Włoszech. Jego formalna nauka skończyła się, kiedy w wieku 15 lat usunięto go ze szkoły. Jako 17-letni młodzieniec zwrócił na siebie uwagę przede wszystkim nienawiścią do komunistów, która miała tak samo mordercze natężenie jak obawa króla Heroda przed Mesjaszem. Ramię w ramię z oddziałami Franco, Gelli walczył wraz ze swym bratem w szeregach włoskiej dywizji czarnych koszul przeciw komunistom w Hiszpanii. „Tylko ja wróciłem żywy", tak Gelli podsumował potem ten epizod swojego życia.

W początkowej fazie II wojny światowej walczył w Albanii. Później wstąpił do Waffen-SS, awansował do stopnia obersturmführera i działał dla faszystów jako „oficer łącznikowy". Do jego zadań należało tropienie partyzantów włoskich i zdradzanie ich swoim niemieckim dowódcom. Część swego wcześnie osiągniętego dobrobytu zawdzięcza temu, że stacjonował we włoskim mieście Cattaro, gdzie podczas wojny ukrywano jugosłowiańskie skarby państwowe. Znaczna część tych skarbów nigdy nie powróciła do Jugosławii, ponieważ Gelli ukradł ją i ukrył. Zakorzeniona w Gellim nienawiść do wszystkiego, co komunistyczne, malała w stopniu, w jakim oddalała się perspektywa zwycięskiego zakończenia wojny przez państwa osi. Gelli zaczął współpracować z partyzantami, wśród których było bardzo dużo komunistów. Współpraca ta polegała m.in. na tym, że po odkryciu kryjówki partyzantów zgodnie z obowiązkiem składał wprawdzie o tym meldunek Niemcom, ale jednocześnie ostrzegał partyzantów, którzy dzięki temu w porę mogli przenieść się w bezpieczne miejsce.

Tę podwójną grę prowadził aż do końca wojny, w rzeczywistości był jednym z ostatnich faszystów włoskich, którzy poddali się aliantom — w górach na północy Włoch, niedaleko od Belluno, gdzie młody ksiądz o nazwisku Albino Luciani ukrył partyzantów.

C.D.N.

Fragmenty książki Davida Yallopa „In God's Name"

W kręgu fantastyki

Wyrok

MARIUSZ LEKLER

Nareszcie rozwiązali jej ręce. Roztarła zdrętwiałe nadgarstki i bez oporu dała wprowadzić się strażnikom do sali tronowej. Król siedział na wspaniałym, kapiącym od złota tronie i oglądał swoje paznokcie. Kiedy stanęli przed nim, spojrzał na nią z satysfakcją.

— Nadszedł czas by osądzić twoje winy. Uklęknij!

Szturchnięcie strażnika rzuciło ją na kolana.

— Będziesz odpowiadała na pytania. Czy przyznajesz się do winy?

— Jestem niewinna..

— Słucham?

Odchrząknęła i powtórzyła głośniej:

— Jestem niewinna!

— Przecież umówiliśmy się, że przyznasz się do winy!

— Teraz zmieniłam zdanie!

— Nie szkodzi, udowodnimy ci wszystko — Król chytrze zmrużył oczy.

— Sprzedałaś duszę diabłu!
— Nieprawda!

Odwrócił się do swojej świty.

— Kto widział jak tańczyła o północy z diabłami?

Uniosło się kilka rąk.

— Kłamstwo! — łzy zaczęły cisnąć się jej do oczu.

— Masz zły wzrok i zły język, a co gorsza sprowadziłaś na nasze ziemie smoka!

— Jakiego smoka?! — zaszlochała.

Palec Króla oskarżycielsko wskazał na leżącego nie opodal ognistego potwora.

— Nie możesz wyprzeć się tego, że ta bestia należy do ciebie! — zawołał tryumfalnie. — Czy teraz przyznajesz się?

Pokiwała twierdząco głową. Wszyscy odetchnęli z ulgą. Król wyprostował się i rzekł dostojnie:

— Ja, pan czterech stron świata, najmężniejszy i najwaleczniejszy rycerz na Ziemi, skazuję ciebie na śmierć!

Pośród wojowników rozległy się głosy uznania. Stojąca dotąd na uboczu Królowa podeszła do niego i zaszeptała mu coś do ucha.

Rozpromienił się.

— Czy skazana chce prosić o łaskę?

Przestała nagle płakać. Spojrzała dumnie w jego oczy.

— Nie! Nigdy!

— Brawo! Podobasz mi się! — był wyraźnie zachwycony. — Daję ci prawo do ostatniego życzenia. Mów śmiało!

Zastanawiała się przez chwilę

— Chcę widzieć moje dziecko!

Król skinął na dłubiącego w nosie Błazna.

— Idź i przynieś jej dziecko!

Błazen posłusznie odszedł.

— Myślę, że możemy już iść — rzekł Król powstając z tronu.

Niewielki orszak wyszedł z pałacu i skierował się pod najbliższe drzewo.

Ze spuszczoną głową wstąpiła na stołek. Kat z namaszczeniem założył na jej szyję gruby powróz.

— Kacie, czyń swą powinność!

Kat popatrzył zdziwionymi oczyma. Król, zniecierpliwiony, podszedł szybko i z rozmachem wykopnął stołek.

Wiesia krzyknęła z przestrachem. Michał, Janek i Zdzisiek otworzyli szeroko usta. Nawet mały Józio przestał dłubac w nosie i wypuściwszy z ręki szmacianą lalkę z zainteresowaniem spoglądał na podrygujące w agonii ciało.

Kiedy znieruchomiało, pod drzewem został tylko Andrzej. Stał jeszcze przez chwilę, potem odwrócił się i odpędziwszy skomlącego psa, wesoło podskakując, pobiegł do domu.

Ta Kryśka od sąsiadów już od dawna działała mu na nerwy.

Decyzja

WIKTOR WITTE

Referował Syd, nasz dowódca:

— Myślę że wszyscy zgodzą się ze mną, iż nadszedł już czas kiedy musimy zdecydować się na jakieś konkretne posunięcie. Przedłużanie pobytu w granicach Układu w takiej formie, jak dotychczas, jest niewskazane i to z wielu powodów, z czego każdy z nas zapewne dobrze zdaje sobie sprawę. Zebraliśmy już dostatecznie dużo danych na temat Trzeciej i całego Układu, aby wyrobić sobie zdanie, co się tutaj dzieje. Dalsze prowadzenie obserwacji i badań na dotychczasowym poziomie wydaje mi się bezcelowe. Po prostu nie wzbogacą one w jakiś zasadniczy sposób zebranego już materiału. Znaleźliśmy się w takim punkcie, że mogłoby to nastąpić tylko i wyłącznie na drodze nawiązania bezpośredniego, dwustronnego kontaktu z Siostrzeńcami, co jednak — gdyby miało stać się teraz lub w najbliższej przyszłości — wymagałoby wzięcia na siebie niewyobrażalnie wielkiej odpowiedzialności.

Oczywiście nie chciałbym przez to sugerować, że — moim zdaniem — jest to rozwiązanie niemożliwe do przyjęcia. Przeciwnie, jeżeli uznamy je mimo wszystko za najwłaściwsze w tej sytuacji, przyjęcie go będzie wprost naszym obowiązkiem. Niemniej moim obowiązkiem jest przypomnieć o konsekwencjach, o których bliżej — za chwilę.

Z drugiej strony, opuszczenie Układu także może okazać się brzemienne w skutkach, jakich pewno najmniej byśmy sobie życzyli. Przecież sygnały emitowane w przestrzeń z powierzchni Trzeciej, a będące jawnym i jednoznacznym świadectwem istnienia w tym układzie cywilizacji istot rozumnych, zostały odebrane na pewno nie tylko przez nas. Można powiedzieć, iż tylko pomyślnemu zbiegowi okoliczności zawdzięczamy, że znaleźliśmy się tutaj jako pierwsi. Przynajmniej do tej pory wszystko na to wskazuje. Nie powinniśmy mieć jednak złudzeń. Układ ten mogą też wkrótce odwiedzić i inni goście, a wówczas sytuacja jeszcze bardziej się skomplikuje. Co prawda, możemy mieć nadzieję, że tamte ekspedycje, znalazłszy się w naszym obecnym położeniu, również zechcą wykazać maksimum rozsądku i wybiorą najkorzystniejsze rozwiązanie. Ale miałoby to znaczyć, że będzie to rozwiązanie korzystne także z naszego punktu widzenia? Nie sądzę. W każdym razie nie mamy żadnych podstaw, aby móc na ten temat wnioskować i dlatego oddanie inicjatywy może nas bardzo drogo kosztować.

Tak więc uniknięcie ryzyka zrobienia jednego błędu nie przesądza wcale, że tym samym nie popełnimy drugiego, kto wie, czy nie groźniejszego jeszcze w skutkach. I ta świadomość powinna nam cały czas towarzyszyć. A zatem...

Rozumiem waszą powściągliwość. Niestety, zadanie, jakie otrzymaliśmy do wykonania, okazało się wyjątkowo niewdzięczne i z faktem tym musimy się pogodzić. Zapewne wszyscy wolelibyśmy raczej prowadzić tylko obserwację opracowywać ich wyniki, a wnioski złożyć na ręce tych, którzy nas tutaj wysłali. Niech decydują. Rzecz w tym, że nie ma na to czasu. Decyzję musimy podjąć więc sami — tu i teraz. Od jej trafności w dużym stopniu zależy bezpieczeństwo nasze i naszych braci na Ziemi, o odkrytej tu cywilizacji już nie wspominając, jako że jej los zdaje się leżeć w tej chwili w naszych i tylko naszych rękach. Zważmy i na ten aspekt problemu

Ale chciałbym być dobrze zrozumiany! Mówiąc o przyszłości cywilizacji Siostrzeńców w najmniejszym stopniu nie kieruję się żadnymi emocjami czy uczuciami, a już na pewno nie — na przykład tak zwanym uczuciem przyjaźni charakterystycznym dla psychiki przedstawicieli istot inteligentnych zamieszkujących powierzchnię Trzeciej. Z góry uprzedzam ewentualne pytania: uczucie to, w postaci obserwowanej u Siostrzeńców, jest mi zupełnie obce, jakkolwiek — przyznaję — ma ono pewne cechy wspólne z tym, co sami nieraz czujemy, a co też ostatecznie mógłbym nazwać przyjaźnią. Chciałbym jednak jeszcze raz podkreślić, iż są to dwa różne zjawiska, i przestrzec wszystkich przed uleganiem urokowi zbyt łatwych analogii, czego niestety, nie ustrzegli się niektórzy członkowie naszej ekspedycji we wstępnej fazie badań.

Cała sfera psychiki Siostrzeńców, nawet jeśli wzbudza w nas tak wielkie zainteresowanie i szczerą chęć zrozumienia jej natury, związana jest tylko i wyłącznie z tym gatunkiem, a wszelkie podobieństwa do naszego — powierzchowne i dalece niejednoznaczne. Dlatego też od samego początku przestrzegałem wszystkich przed wyciąganiem zbyt pochopnych wniosków z obserwacji. Tym bardziej teraz musimy uwolnić nasze umysły od tych mylących analogii i nie przyrównywać mieszkańców Trzeciej do nas, ani nas — do nich. Ich świat jest ich i tylko ich światem — jedynym i niepowtarzalnym. I to on ukształtował Siostrzeńców tak a nie inaczej, niezależnie zresztą od ich woli. Nas zaś ukształtował nasz świat, nasza rzeczywistość, toteż ona właśnie musi stanowić punkt odniesienia dla wszystkich naszych poczynań.

To tyle — by nie było niejasności.

Oczywiście nie przeczę, iż podobieństwa między nami są zdumiewające. Doprawdy, aż trudno uwierzyć, że i w tym układzie życie powstało na trzeciej z kolei planecie, że powstało w oparciu o związki białkowe, że w toku długotrwałej ewolucji na czoło wszystkich organizmów żywych wysunął się gatunek istot wyposażonych w cztery kończyny, poruszających się w postawie wyprostowanej, dwupłciowych, obdarzonych inteligencją i tak dalej, i tak dalej. Słowem, gatunek istot o konstrukcji zbliżonej do naszej.

Zdumiewać też musi, że cywilizacja istot, o których ze względu na owo podobieństwo utarło się tu między nami mówić per Siostrzeńcy, rozwija się, jak widzimy, niemal dokładnie w tym samym kierunku, co nasza, choć oczywiście dzieli nas znaczna różnica poziomów. Niewątpliwie tkwić w tym musi pewna prawidłowość I chociaż na sformułowanie ostatecznych wniosków jest jeszcze trochę za wcześnie, wszyscy domyślamy się, jaka: po prostu inaczej być nie może.

Rodzi to, rzecz jasna, określone nadzieje. Mówiąc wprost — nadzieje na nawiązanie współpracy, która powinna dać obu naszym cywilizacjom nieocenione korzyści, a przede wszystkim — zwiększyć szansę przetrwania w przypadku jakiegoś kataklizmu w którymś z naszych układów, czy też — agresji z zewnątrz, na razie tylko hipotetycznej. Aby jednak mogła być to współpraca w pełni owocna dla obu stron, należałoby poczekać z nią jeszcze trochę. Opierając się na wynikach badań symulacyjnych — jakieś siedemset do tysiąca lat. Wtedy bowiem krzywe rozwoju naszych cywilizacji powinny przeciąć się, a ten właśnie punkt — jak mówi teoria przenikania — jest optymalnym momentem, od którego mogłaby się zacząć w miarę bezkonfliktowa koegzystencja Siostrzeńców i Ziemian.

Sądzę, że to wyjaśnia dostatecznie, dlaczego na razie nie powinniśmy raczej ujawniać się przed Siostrzeńcami. Dzieląca nas obecnie przepaść cywilizacyjna, mimo prawie równoległych dróg rozwoju, stałaby się najpewniej przyczyną konfliktu, a w końcu — katastrofy. Katastrofy nie tylko w obrębie świata Siostrzeńców, ale również — do pewnego stopnia — naszego.

Wyjaśnię pokrótce co przez to rozumiem, jako że nie wszyscy jeszcze zdążyli szczegółowo zapoznać się z tak zwaną ekspertyzą Jeffa. Otóż nawiązując w tej chwili bezpośredni, dwustronny kontakt z mieszkańcami Trzeciej, zmusilibyśmy ich tym niejako do przyśpieszenia tempa rozwoju cywilizacyjnego, co z jednej strony zbliżyłoby ich do nas, lecz jednocześnie z drugiej — zrodziło niebezpieczną dysproporcję między coraz wyższym średnim poziomem życia a nie nadążającą za nim ewolucją psychiki jednostki, a także — struktur społecznych, które — jak wiemy z własnego doświadczenia — niezwykle opornie poddają się wszelkiego rodzaju zmianom, zwłaszcza tym narzuconym z zewnątrz. Nie ulega wątpliwości, że mielibyśmy wówczas do czynienia ze znacznym osłabieniem zdolności sterowania własną cywilizacją przez Siostrzeńców, wobec czego, nie chcąc stracić zdobytych już wpływów w Układzie, musielibyśmy przynajmniej częściowo przyjąć na siebie funkcję — że tak powiem — siły napędowej, stymulującej rozwój ich cywilizacji. Pomijając już koszt takiego przedsięwzięcia — w tym momencie trudny do przewidzenia — prędzej czy później bieg wydarzeń zmusiłby nas do narzucenia Siostrzeńcom niektórych naszych rozwiązań cywilizacyjnych, obcych przecież ich naturze i nie wynikających wcale z ich własnych doświadczeń, a więc przyjmowanych jako obce, prawdopodobnie nawet — wrogie. Efekt końcowy: obciążanie nas za wszystkie niepowodzenia i frustracje, których — jak z powyższego wynika — nie udałoby się uniknąć, i w konsekwencji zamiast owocnej współpracy — otwarty konflikt. Oczywiście w konflikcie tym Siostrzeńcy nie mieliby większych szans, gdyż zawsze moglibyśmy siłą zmusić ich do podporządkowania się naszej woli. Pamiętajmy jednak, że nie mielibyśmy w nich już partnerów, ale — wrogów i niewolników, którzy — po pierwsze — z czasem staliby się dla Ziemi zbędnym balastem, skutecznie opóźniającym jej rozwój, po drugie zaś — którzy w przypadku naszego konfliktu z jakąś inną cywilizacją, co nie jest przecież wykluczone, stanęliby najpewniej po stronie naszych wrogów, szukając w tym sposobu na uwolnienie się od niechcianej i narzuconej im współpracy.

Rzecz jasna, to, co powiedziałem, nie wyczerpuje tematu, ponieważ należałoby się też liczyć z jeszcze innymi negatywnymi skutkami, jakich musielibyśmy doświadczyć, używając przemocy w stosunku do Siostrzeńców. Wszyscy dobrze wiemy, iż w każdym konflikcie straty są zawsze obustronne, przy czym nie chodzi tu tylko o straty materialne. No, ale to są już szczegóły, w które nie chciałbym się teraz wdawać. Każdy może, a nawet powinien zapoznać się dokładnie z całą ekspertyzą Jeffa. Pozwolę sobie natomiast przedstawić jeszcze wyniki drugiej ekspertyzy, przewidującej rozwój wydarzeń w przypadku natychmiastowego opuszczenia przez nas Układu. W odróżnieniu od pierwszej, mamy tu kilka wariantów, znacznie zresztą różniących się od siebie, choć dających sprowadzić się na pewnym, ogólnym poziomie rozważań do wspólnego mianownika.

I tak wariant pierwszy zakłada, iż odlatujemy na Ziemię zacierając za sobą w maksymalnym stopniu wszelkie ślady obecności w Układzie. Otóż w tym przypadku — najogólniej mówiąc — cywilizacja Siostrzeńców będzie miała największe szansę aby rozwijać się dalej w sposób niezakłócony (z zewnątrz), co w przyszłości powinno stworzyć podstawy do nawiązania z nią daleko idącej, partnerskiej współpracy, o czym już wcześniej wspominałem. Należałoby jednakże brać też pod uwagę, iż równie dobrze dojść może do samozagłady cywilizacji Trzeciej, jeśli zwaśnione jak dotąd społeczności Siostrzeńców nie wykształcą takich form współistnienia i rywalizacji, które nie stwarzając ciągłego zagrożenia dla egzystencji całej populacji, pozwolą na drodze ewolucji społecznej zwyciężyć siłom w największym stopniu obdarzonym samoświadomością gatunku, jako wartości nadrzędnej, decydującej o jego przyszłości i przetrwaniu.

Zdając sobie z tego sprawę, moglibyśmy oczywiście próbować podsunąć Siostrzeńcom takie rozwiązanie ich obecnych problemów społecznych i gospodarczych, które oddaliłoby niebezpieczeństwo zagłady życia na Trzeciej. Od strony technicznej jesteśmy do tego zadania przygotowani. Chcąc jednak zapewnić całkowite powodzenie takiej akcji, musielibyśmy dokonać zdecydowanej, jawnej ingerencji w życie Siostrzeńców na obszarze wszystkich kontynentów, a czym to grozi również już mówiłem. Wszelkie próby „podpowiadania" im, co powinni zrobić, chcąc zapewnić harmonijny rozwój całej cywilizacji, nie połączone z ujawnianiem się przez nas, należy uznać za bezcelowe i z góry skazane na niepowodzenie, ponieważ prawdopodobieństwo ich skuteczności nie sięga nawet dziesięciu procent, a zatem prawie równe jest zeru. Mamy na to szereg przekonywających dowodów, jak choćby ten — wydaje mi się, symptomatyczny — że mimo najdalej posuniętej ostrożności nasze bezzałogowe i załogowe sondy zostały jednak dostrzeżone przez wyspecjalizowane służby Siostrzeńców, z zasięgu i możliwości działania których początkowo nie bardzo zdawaliśmy sobie sprawę. Wszyscy pamiętamy, jak bardzo nas to zaniepokoiło. Przerwaliśmy przecież stałą obserwację Trzeciej na pewien czas w obawie naruszenia zakazu ujawniania się w okresie gromadzenia informacji, jeśli nie zaistnieje sytuacja ostateczna. Ale pamiętamy też dobrze, że z poczynionych później obserwacji wynikało jasno, iż przejawy naszej obecności w granicach Układu i atmosfery planety, tylko na początku zrobiły na Siostrzeńcach jakieś wrażenie i zostały potraktowane z powagą. Nie mogąc przekroczyć bariery technologicznej, umożliwiającej im nawiązanie bezpośredniego kontaktu z nami, z czego oczywiście nie zdawali sobie sprawy, szybko uznali, że nasze sondy, tak śmiało penetrujące w pierwszej fazie badań przestrzeń wokół Trzeciej, a nawet zapuszczające się na jej powierzchnię, są tylko złudzeniem lub też — że ich obraz zarejestrowany przez prymitywne, co prawda, urządzenia optyczne, jest obrazem pozornym, wywołanym przez niektóre specyficzne zjawiska zachodzące w górnych warstwach atmosfery. Teorii na ten temat wysunięto zresztą wiele.

Krótko mówiąc, Siostrzeńcy uznają za istniejące jedynie to, co zdolni są zbadać. A że na razie mają jeszcze bardzo ograniczone zdolności, ograniczony jest też zakres ich wiedzy, uznawanej za oficjalną. Wszystko inne, ich zdaniem, nie zasługuje na większą uwagę, gdyż jest — jak mówią — tylko tworem indywidualnej lub zbiorowej fantazji, a zatem obiektywnie nie istnieje. Oczywisty z tego wniosek, że — przynajmniej obecnie — dopóki sami nie dostarczymy Siostrzeńcom metod i narzędzi, które pozwoliłyby im zbadać nas i nasze obiekty tak, jak badają u siebie osobników, uznanych za chorych, dopóty w ich świecie nas po prostu nie ma. Innymi słowy wszelkie ograniczone próby interwencji z naszej strony nie przyniosłyby żadnego pozytywnego rezultatu, mogłyby zaś wprowadzić niepotrzebne zamieszanie i stworzyć jeszcze trudniejszą sytuację społeczną na Trzeciej, co nie byłoby przecież ich celem.

Wniosek ten odnosi się do wariantu trzeciego, zakładającego opuszczenie Układu po uprzednim ujawnieniu naszej w nim obecności. Wariant czwarty mówi, co mogłoby dziać się na Trzeciej, gdyby po nas odwiedziły ją ekspedycje innych, nie znanych dotąd cywilizacji, być może znajdujących się na jeszcze wyższym szczeblu rozwoju cywilizacyjnego, niż my, czego nie możemy wszakże wykluczać. Ze zrozumiałych względów byłoby to jednak dla nas bardzo niekorzystne, a nawet — niebezpieczne. Należy bowiem założyć, że tamci potrafią poruszać się w przestrzeni z prędkością absolutną, do czego Siostrzeńcom jeszcze bardzo daleko, porozumiewać się nie za pomocą fal elektromagnetycznych, ale — cząstek N, dysponują bronią anihilacyjną, a w dodatku z łatwością potrafią wykryć ślady naszej obecności, co mogłoby zaprowadzić ich już prostą drogą na Ziemię. Co by z tego wynikło, trudno dziś orzec, ale niewykluczone iż znaleźlibyśmy się wówczas w sytuacji, w jakiej teraz znajdują się Siostrzeńcy, o dalszym losie których niejako mamy w tej chwili zadecydować. A zatem...

Proszę bardzo. Otwieram dyskusję.

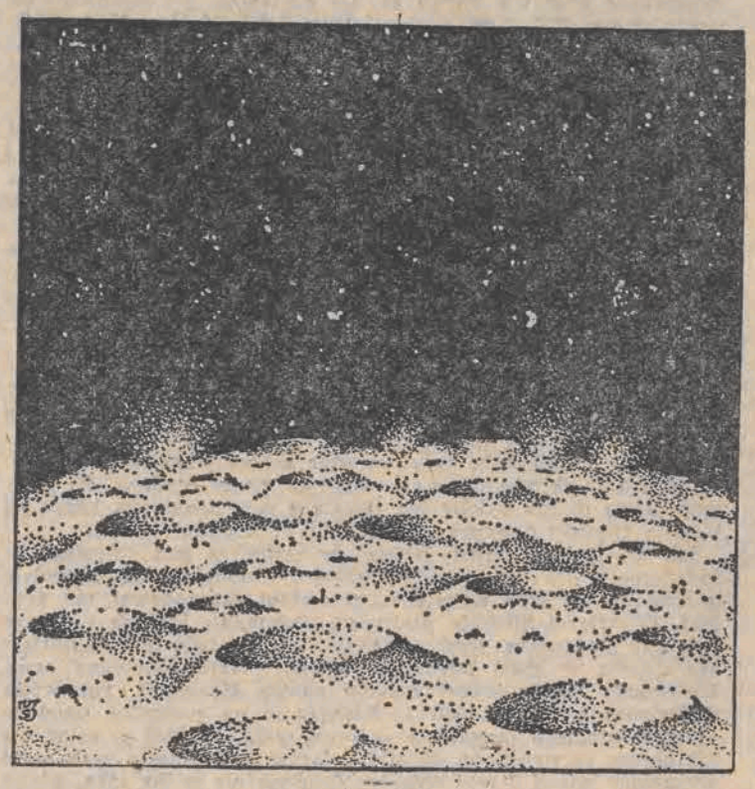

Rys. Janusz Szymański-Glanc

1 Nagłe zastępstwo

Patent — Stegny

W osiedlu Stegny w Warszawie zdarzyła się rzecz niezwykła. Wprawdzie prasa już tę rzecz zauważyła, (vide „Przegląd Tygodniowy" nr 5), ale żurnalistom nie stało wyobraźni i opisali wydarzenie ot, tak sobie, nie doceniając historycznego znaczenia zaistniałych faktów. W skrócie największym to było tak:

Zarząd Spółdzielni Mieszkaniowej „Energetyka" podwyższył czynsz mieszkaniowy do 38 zł i 50 groszy za metr kwadratowy. Była to podwyżka znaczna — jako przykład reporter „PT" podał, że obywatel, który dotąd płacił miesięcznie 813 złotych, będzie płacił dwa tysiące czterysta zł. Coś jakby drogo...

Głównych lokatorów osiedla spółdzielczego, a także ich rodziny trafił z lekka szlag i rozpoczęli akcję, mającą na celu wymuszenie na spółdzielni rezygnacji z tak wysokiej podwyżki. Przy okazji lokatorzy zażyczyli sobie przedstawienia kalkulacji wydatków itp. itd.

Już na samym początku okazało się, że spółdzielnia chętnie zrezygnuje z pięciu zł i pięćdziesięciu groszy na metrze, obniży bowiem koszty własne. To jednak nie zadowoliło rozeźlonych spółdzielców.

W tym właśnie miejscu proszę o szczególną uwagę. Otóż rozeźleni spółdzielcy założyli komitet, który w ich imieniu ma skontrolować wydatki spółdzielni, koszty eksploatacji i całość spraw finansowych. Założyli ten komitet, mimo iż działa, a przynajmniej istnieje jakiś tam samorząd mieszkańców!

Domyślać się należy, że samorząd ów złożył, piórem swego prezesa bądź innego uprawomocnionego przedstawiciela, podpis pod projektem podwyżek czynszów. Decyzję o podwyżce podjął zresztą też samorządny, spółdzielczy organ — zarząd spółdzielni „Energetyka". A jednak dopiero teraz, w sytuacji drastycznego podwyższenia czynszów, powstał komitet „prawdziwy" — wybrany może nieformalnie, ale za to naprawdę reprezentujący interesy spółdzielców!

Uważam ten fakt za historyczny. Być może autentyczny samorząd mieszkańców osiedla Stegny jest pierwszy w Polsce?

Uderzmy się w piersi. Wszyscy gdzieś mieszkamy, wszędzie jest jakiś samorząd mieszkańców. Nawet nie mamy pojęcia, że ktoś tam kogoś wybrał, że ktoś tam nas reprezentuje. Nie mamy czasu na zebrania, nie wierzymy w skuteczność działania samorządów. Dopiero, kiedy nas rabną po kieszeni, zaczynamy myśleć o samoobronie...

Mam cichą nadzieję, że to, co napisałem nie dotyczy samorządów pracowniczych, chociaż...

Uważam powołanie dzikiego samorządu mieszkańców na Stegnach za fakt historyczny. Za tym samorządem — być może — pójdą inni, wszędzie teraz podwyższa się czynsze.

A póki co, należy upowszechniać „patent — Stegny" także w innych dziedzinach. Przykład najprostszy i najbliższy sprawom opisywanym: spółdzielnie mieszkaniowe w Polsce od pewnego czasu nie przyjmują nowych członków. Czy ci, których spółdzielnia nie chce przyjąć mają siąść i płakać? Nie, powinni założyć swoją spółdzielnię mieszkaniową dołożyć starań, wysiłku i energii, żeby przedsiębiorstwa budowlane zaniechały budowania dla spółdzielni istniejącej, a zaczęły budować dla nich. Innego wyjścia nie widzę, nie wierzę bowiem w raptowny rozwój w naszym kraju budownictwa indywidualnego.

Że proponuję sposób pachnący z daleka anarchią? Że mieszkań od tego nie przybędzie, tylko przybędzie spółdzielni? Owszem, zgadzam się. Jest to jednak jedyny uczciwy, demokratyczny sposób walki z niedemokratycznym z gruntu posunięciem, jakim jest zamykanie przyjęć do spółdzielni mieszkaniowych. Można człowiekowi nie dać mieszkania, ale nie wolno odbierać mu nadziei...

„Patent — Stegny" ukazuje, jak można osiągnąć pożądany efekt w dziedzinie zachowań społecznych. Od lat słyszy się o samorządach, że potrzebne, że ważne, że wreszcie należałoby itp. Podejmuje się uchwały, ostatnio nawet Ustawę, a tu nic. Samorządów jak nie było, tak nie ma... A na Stegnach jest! Bez uchwał, bez haseł, bez troskliwej opieki instancji, komisji itp. itd. Jest prawdziwy samorząd, bo parę tysięcy osób dostało po kieszeni. Gdyby tak w innych dziedzinach....

Narzekamy na niską wydajność pracy. Przez nią — głównie — nie możemy wyjść z kryzysu. A gdyby tak płacić mniej tym, co mniej pracują?

Przepraszam, zagalopowałem się. Człowiek tak pisze i pisze, czasem coś, zupełnie bez złej myśli, co pod pióro podejdzie. Przepraszam jeszcze raz...

ANDRZEJ KAROL

PS. W ubiegłym tygodniu, w felietonie pt. „Wyszczekany jamnik" poświęconym poprawności językowej, zastawiłem na czytelników pułapkę — zrobiłem celowo błąd ortograficzny. *Błąd z gatunku tych grubszych, jakich już uczniowie piątej klasy szkoły podstawowej nie popełniają.* Ciekaw byłem reakcji czytelników i nie zawiodłem się. Kilka osób zatelefonowało, a pan Paweł Szymecki zareagował krótkim listem.

Na razie nie ujawniam, w którym miejscu mego tekstu czyha błąd — być może jeszcze ktoś zatelefonuje lub napisze.

Andrzej K.

2 Przejście podziemne

Więcej seksu czyli strategia pająka

— Ładne ciało to za mało, więcej seksu... — wył rytmicznie szmukier Mareczek, „zabijając" po dorożkarsku ręce w mroźnym cugu naszego przejścia podziemnego.

Przed walizeczką z mareczkowym towarem stały dwie małolaty w stylu hard punk i fachowo komentując kontemplowały odstancowane z błyszczącego tombaku miniaturowe wisiorki w kształcie, hm... niech będzie, powiem — męskich organów płciowych wraz z aparaturą plemnikotwórczą. Ten asortyment Mareczek wprowadził całkiem niedawno, pod wpływem — jak sam wyznał przy flaszeczce browaru „Mocnego" na zapleczu u Mrówki — telewizyjnych sekscesów Niejakiego Drozdy i jednego Genialnego Turka.

— Tam Zielińska z Broniarkiem płakały, że nie ma towarów do pornoszopów, a jednemu ekspertowi wypsło się, że pornografia jest w zasadzie niedefiniowalna; wiem, bo sprawdziłem w słowniku — szybko dodał Mareczek napotkawszy pełne zdumienia i podziwu spojrzenie moich niebieskich oczu.

— Szkoda, że ci ten twój ekspert nie powiedział, że filance w colamtach to radary mają na te twoją pornografię podostrzone, że szkoda gadać — bełkotliwie, bo po trzecim „Mocnym", zareplikował ajent Mrówka. — Płakałem, jak mi kasety z Hamburga wyjęli na promie w Świnoujściu... Za sto marek numerów miałem: włoskiego listonosza, lapońską saunę, lesbijki tenisistki, sodomitkę z wężem boa, walkę kogutów, bicie konia, animowanego Rasputina — szlag by to trafił!

— Nie podniecaj się Mrówko, teraz wszystko to będzie w telewizji. Jak poprosimy Grunta, to on to załatwi, bo się kumpluje z tym Genialnym Turkiem — próbowałem pocieszyć skrachowanego ajenta. Ale gdzie tam! Mrówka na wzmiankę o telewizji wybuchnął:

— A ja chromolę tych palantów! To u mnie miało grać! Cały fotoplastykon zbudowałem...

I faktycznie. W rogu barku, na końcu szynkwasu stała dykciana buda z paroma szybkami. Na froncie fikuśny napis — „videomasaże". Poznaliśmy niepodrabialną, fallopodobną rękę Grunta... Mrówka cisnął pustą butelką w puste pudło, zgwałcone szkło zabębniło po blasze.

Na ten sygnał pojawił się sam artysta, upłynniający się na zapleczu barku, akonto niedoszłych udziałów w zyskach wideomasaży.

Wezwaliśmy wtedy Grunta do konsultacji, jako eksperta od spraw cywilizacji obrazkowej. Grunt wypowiadał się powściągliwie, ale sens był taki:

— Od patrzenia nikt jeszcze nie umarł, a pewnie i nie zboczył się. W sumie nie ma co udawać, że nie ma sprawy, tylko brać się do roboty, bo jeden Nienacki za wszystkich nie wydoli...

Tu Grunt się zerwał i płynnym tanecznym krokiem popędził przed siebie. Myśleliśmy, że do Metowej — w celu redukcji płynów. Ale nie, podryfował schodkami ku górze. Gdy zniknął za horyzontem, Mrówka konfidencjonalnie zeznał:

— Grunt poleciał do restoranu „Kazanowa" na eliminacje męskiego striptiza!

Groza... Jakby piorun w przejście podziemne strzelił! To taki numerant z tego łysego malarzyny...

Konsultacje nad udziałem seksu w życiu publicznym naszego przejścia podziemnego zostały zerwane. Mareczek z tego zdenerwowania pobiegł szukać Beatki Góralki — widocznie zapragnął przejść na tok praktycznego eksperymentowania paru wariantów, dotąd nie przećwiczonych. Mrówka zamknął się w kabinie numer pięć w męskim, ja ograniczyłem się do przetarcia okularów.

I tak się zaczęła inwazja erotyzmu w przejściu podziemnym. W nocy ktoś pociągnął niezmywalną farbą z aerozolu po marmurach hasła domagające się poszanowania dla mniejszości seksualnych. Punkówa Margot swoje agrafki reklamuje jako nowoczesne pasy cnoty. Oscypki Beatki niepokojąco zmieniły kształty. Posterunkowemu Bananowi to wszystko się już w pale nie mieści, więc zaczął nosić dłuższą. Metowa likwiduje pissoiry i planuje koedukację...

Tymczasem dwie małolaty spluwając z obrzydzeniem, odeszły od walizeczki Mareczka. Obok po ścianie jakiś nowy cwaniaczek spuszczał samoprzylepne plastykowe tarantule; co która przemyślnie zlazła, to ją odlepiał i podrzucał pod sufit — i tak w kółko. Ruchy mu trochę krępował ciasny mur obywateli stojących z pootwieranymi z podziwu gębami. Z tłumu co chwila ktoś wysupływał stówkę i brał pająka. Ale szoł trwał... Dwie punkowe małolaty przecisnęły się do przodu i wlepiły miłośnie ślepia w nowego cwaniaczka. Ten pojął sygnał, władczo zwinął worek, w którym jeszcze sporo było sztucznych bydląt. Mimo protestów publiczności wyholował obie punkówy na górę. Więcej seksu...

I. ROTACYJNY

3 Lewym okiem

Wystarczy!

Pisałem już o ankiecie „Polityki", polegającej na odpowiedzi na pytanie „Co ja tu robię"? Teraz możemy już przeczytać parę takich odpowiedzi, a wraz z nimi komentarz redakcji: „Według samoocen wyrażanych powszechnie przez wszystkich niemal pracujących — każdy pracuje ciężko, często ponad siły, zaabsorbowany jest przez cały dzień i bardzo często „nie wyrabia się" w ciągu godzin pracy, zabierając do domu część tego, co powinno być zrobione w miejscu pracy, bądź odkładając to „do jutra".

Cóż, trudno wyobrazić sobie faceta, który publicznie, podpisując się imieniem i nazwiskiem oświadczy, że bierze pieniądze za nic, że się obija, markieruje, udaje pracę, partaczy ją i ma w nosie. Tylko raz spotkałem w publicystyce głos paru młodych naukowców z jakiegoś instytutu, którzy wręcz, jak o ratunek prosili o umożliwienie im rzetelnej, choćby ciężkiej, ale rozsądnej pracy, bo już znieść nie mogli zabójczego marazmu swojej instytucji. To było już z dziesięć lat temu, reagowałem wówczas entuzjastycznym felietonem, ale przełożeni owych naukowców reagowali również: wyzwaniem ich od mącicieli i nielojalnych warchołów. To się zdarzyło raz.

Coraz to czytamy o tym, że nasz przemysł pracuje zaledwie na kilkadziesiąt procent swych mocy produkcyjnych. Mimo to, transport donosi o wielkim przeciążeniu, handel woła o tysiące pracowników, a każdy zatrudniony ugina się rzekomo pod nawałem pracy („ponad siły, przez cały dzień i bardzo często „nie wyrabia się w ciągu dnia"...). Nigdy tego nie zrozumiem, a gdybym zrozumiał — musiałbym marzyć o tym, żeby nasz ogólnonarodowy warsztat pracy nie ruszył aby na pełnych obrotach, boby nam czasu i siły na mruganie zabrakło.

Wracajmy jednak do ankiety w „Polityce". Każdy z respondentów, w ogłoszonych dotychczas odpowiedziach, rzeczywiście przedstawia swój dzień pracy jako pełen wysiłku i różnorakich trudności, za wyjątkiem pani B.W., urzędniczki, która bez żenady wymienia ilości gotowanych i pitych herbat, kwadransów przegadanych na tematy „marynistyczne" (o d... Maryni), godzin strawionych na zakupy (w czasie pracy), na krzątanie się za cytrynkami, na poszukiwanie ciągle ginących kluczyków, teczek, dokumentów. Nie, wcale nie myślę, że „pracownicy umysłowi" to próżniaki, a tamci przy maszynach, to sam ciężki, krwawy znój. Myślę po prostu, że pani B.W. napisała prawdziwiej niż pozostali, nawet z odrobiną masochizmu, typowego dla mózgowców. Ale i z pozostałych wypowiedzi wyczytać można mnóstwo. Autor każdej z nich, to oczywiście utrudzony ciężko pracuś, ale to otoczenie! Ci koledzy! Nie sprzątnęli po sobie kończąc zmianę na wagon-wadze (nie wiem, co to jest, ale pewnie nic groźnego). Siedzą i drzemią, albo spotykają się w stołówce, jedząc beztrosko zupę. Odmawiają wykonania poleceń majstra. Spóźniają się całe kwadranse, a zanim naprawdę zaczną pracę, mija jeszcze godzina, za to kończą ją przed czasem i momentalnie zmiatają do domu. Ale to Oni. Majster nie ma żadnego wpływu, frustruje się, zniechęca i cierpi. O trzynastej „zaczyna miotać się od stanowiska do stanowiska", bo plan dzienny zagrożony. Na szczęście kierownik jest ludzki i dopisuje część wykonania, bo — „może da się odrobić".

Wystarczy. Niepotrzebnie redakcja „Polityki" narzeka w komentarzu, że subiektywna ocena pracy różni się od obiektywnej i że z tego powodu obraz, wynikły z ankiety, może być nieprawdziwy. Wystarczy czytać wypowiedzi respondentów z poprawką na ewentualnie „skorygowaną" postać samego autora, wystarczy to, co tenże autor pisze o swych kolegach i całym otoczeniu.

Wystarczy, żeby zaćmić najróżowsze okulary.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

4 Sport

Moja wielka szansa

Nareszcie! Czuję się jak początkująca śpiewaczka operowa, na skutek choroby primadonny wpuszczona nagle na scenę, aby wykonać główną partię...

Bogda Madej złożona chorobą (lekką na szczęście), a ja w obliczu wielkiej szansy — napiszę o sporcie! Nareszcie napiszę, co ja o tym wszystkim myślę, rzucę na kolana sprawozdawców sportowych i komentatorów, podbiję jednym felietonem masy czytelnicze!

Uwaga! Uwaga! Teraz ja:

Jako średnio inteligentna kobieta płci damskiej z wykształceniem wyższym humanistycznym nie jestem sportowi przeciwna — skądże, lubię, zwłaszcza tańce na lodzie. Co nie oznacza, żebym preferowała wyłącznie takie piękne, bliskie sztuce dyscypliny jak np. gimnastyka artystyczna, a w pogardzie miała dyscypliny męskie i twarde — narciarstwo alpejskie dajmy na to.

Natomiast stanowczo protestuję przeciwko boksowi. Jakby na to nie patrzeć, mordobicie i tyle. Nie mogę zrozumieć faceta który cały tydzień intensywnie trenuje po to, żeby w niedzielę rozkwasić nos przeciwnikowi, rozbić mu łuk brwiowy i wreszcie powalić na deski nieprzytomnego.

Na dodatek bokserzy, choć ładnie na ogół zbudowani mają najczęściej spłaszczone nosy, a ja akurat lubię proste, szlachetne nosy greckie.

Nie szpeci mężczyzn karate, judo czy jak tam jeszcze się to nazywa. Ale za to nie mogę strawić tych kostiumów — szerokie, niekształtne spodnie, rozchełstane kimono, bose (brudne — fe!) pięty...

Do niedawna byłam entuzjastką kulturystyki. Taki kulturysta może się kobiecie wrażliwej przyśnić... Zwłaszcza, kiedy mięśnie ma rozbudowane umiarkowanie i nie przypomina góry mięsa, a raczej Apollina Belwederskiego.

Niestety, od pewnego czasu przestałam śnić o kulturystach. Dowiedziałam się mianowicie od koleżanki, która takiego kulturystę poznała osobiście i dość blisko, że sposób odżywiania, intensywne treningi i zażywanie jakichś tam specyfików sprzyjających wzrostowi mięśni powoduje u tych panów... jakby to powiedzieć ...nienadzwyczajne wyniki w dziedzinie kontaktów z płcią przeciwną.

To ja już wolę swego narzeczonego osobistego, który wprawdzie uprawia tylko sport motorowy (fiat 132) i to nie zawodniczo, ale za to nie napycha się sterydami i spożytkowuje energię życiową w sposób bardziej naturalny i przy okazji przyjemny.

Wraszcie sport, który budzi moje największe zdumienie — piłka nożna. Nie powiem, niektórzy piłkarze są przystojnymi chłopcami, jak na przykład Michael Platini, ale to nie wystarcza, żeby polubić futbol. Mecz jest dla mnie i wielu moich koleżanek widowiskiem straszliwie abstrakcyjnym. Niby dość prostym — chodzi o ulokowanie piłki w siatce bramki przeciwników. Ale te wszystkie „spalone", „auty", „wolne" — czarna magia!

Sam cel zresztą — właśnie ulokowanie piłki w bramce jest wysoce abstrakcyjny. Jest wartością samą w sobie. Stopień sformalizowania tej gry, najwyższy — jaki znam — stopień abstrakcji tego widowiska powoduje, że nie rozumiem z tego nic a nic i nudzę się śmiertelnie.

Nie mogę się nadziwić, że właśnie piłka nożna wyzwala tyle emocji u kibiców — co tu ukrywać — o nie najwyższym poziomie intelektualnym. Skoro ja, absolwentka uniwersytetu, nic nie rozumiem?

Do sportów przyjemnych i widowiskowych zaliczam jeszcze żeglarstwo i wszystkie w ogóle sporty wodne. Cóż, nie dla mnie.. Kąpię się wyłącznie w wannie i też wchodzę do niej z pewnym lękiem.

Natomiast aerobic to jest to! Przyjemne, z muzyczką, sylwetkę się poprawia i nadwagę można zrzucić.

Aerobic popieram całym sercem i jeśli kierownictwo redakcji po tym felietonie powierzy mi na stałe pisanie o sporcie, to najchetniej i najczęściej będę pisała o aerobicu!

Ze sportowym pozdrowieniem

REZERWOWA

RAPIER NAPOLEONA (16)

ANDRZEJ MAKOWIECKI

1 sierpnia 1979 roku Patrick pojechał z Korsyką do zaprzyjaźnionego ginekologa i był przy badaniach. Trzeba mieć doprawdy silne nerwy, aby patrzeć, jak taki gładki, różanolicy, uperfumowany przystojniaczek w nieskazitelnie białym, sztywno nakrochmalonym kitlu wsadza jeden po drugim na palce gumowe rękawiczki, kojarzące się nieodparcie, och! wszystko jedno z czym się kojarzą, i chwyciwszy bez najmniejszych ceregieli twoją żonę, zaczyna ją sobie oglądać. A potem matko! tego już za wiele! przyjaźń przyjaźnią, ale nóż wyje dosłownie w kieszeni białe tango! Te palce, wskazujący i duży, victoria, giną nagle z twoich oczu, giną w ogóle z gabinetu, i ze świata, i to trwa, trwa, trwa i trwa, i jeszcze trochę, i jeszcze, ta zaś leży z podgiętymi kolanami, ten zaś stoi w pozycji wyjściowej i gdyby tylko chciał... nie! opamiętał się jakoś i strzelił w Patricka swoim lewym, szyderczym, sympatycznym na swój sposób okiem.

— Gratuluję — powiedział.

— Czego?

— Ojcostwa.

Patrick czuł mrowie we włosach i żelazną obręcz na sercu. Jak stał, tak usiadł. Włożył rękę do kieszeni i zaczął szukać papierosów. Lekarz tymczasem zwrócił się do Korsyki w sposób pozbawiony wszelkiej finezji:

— Kiedy miałaś ostatnią miesiączkę?

— Piątego czerwca — odpowiedziała bez zwłoki dziewczyna.

— Tak myślałem.

— Co myślałeś?

— Płód ma lekko sześć tygodni. — Rachował zaginając powleczone gumą palce. — Jednym słowem piętnastego marca doczekacie się dziecka, oby był syn!

Patrick, który również rachował na palcach, zachichotał histerycznie. Obręcz popuściła trochę na sercu. Zgadza się! Syn jest jego! Chyba tak, do jasnej choleryl Ponownie odjął sześć tygodni. Nooo, ojciec zapłacze ze szczęścia! Sam by chętnie zapłakał. Co tam bębny! Co tam kariera!

Zrozumiał nagle, że przeżywa swój największy dzień w życiu. Był mężczyzną, miał trzydzieści dwa lata. Mężczyzna, który w tym wieku nie wypuścił jeszcze na świat pędów, nie jest w ogóle żadnym mężczyzną. Gdzieś w środku pęczniała pycha. Chryste! Dziecko! Choćby i córka.

Spojrzał na żonę i zdrętwiał. Korsyka wciąż leżała na fotelu z podgiętymi nogami. Patrzyła na niego spod przymkniętych powiek. Też przeżywa! Będzie matką! Zalała go fala tkliwości, ale ciężka, żelazna obręcz znowu zaciskała się na sercu.

Drżały mu szczęki, kiedy pytał:

— Co jest, kochanie?

— Nic.

— Jak to: nic?

— Po prostu: nic. Nie będzie żadnego porodu, nie będzie żadnego dziecka. — I do lekarza: — Hej, Pierre, przestań ściągać rękawiczki.

— Nie rozumiem — powiedział chłodno ginekolog.

— Chcę mieć to od razu za sobą.

Zdjęła ręce z łona i położyła je na piersiach. Przystojna, różowa, z lekka ironiczna twarz lekarza postarzała się nagle o piętnaście lat. Na gładkim czole wyskoczyły długie sznureczki zmarszczek. Był teraz żywym wcieleniem oburzenia i troski.

— Żartujesz?

— Zrób to czym prędzej, Pierre!

— Ja mam to zrobić?! Masz czelność prosić mnie o coś takiego?! — Podszedł i patrzył z bliska na jej piękne, krągłe, obnażone biodra. — Mój zawód jest brudny — powiedział — ale kocham go i służę ludziom. Służę życiu, nie śmierci. Od czasu do czasu robię oczywiście wyjątki, ale kiedy patrzę na ciebie, zgadzam się z papieżem. Jesteś zdrowa, jesteś silna, jesteś po to, żeby rodzić dzieci. Skrobanka w twoim wypadku byłaby zwykłym i ordynarnym morderstwem..

— Zrób ją mimo wszystko, Pierre. I to szybko. Nie chcesz chyba, żebym poszła do jakiegoś patałacha?

— Ale czemu, na Boga, dziewczyno?!

— Mój mąż obraził mnie.

— Jak?

— To już nasza sprawa.

Lekarz uśmiechnął się. Spotkał w życiu wielu prawdziwych ojców, którzy wmawiali sobie, że nie są prawdziwymi ojcami, ale kiedy spojrzał na Patricka, zrozumiał, że potrzebny będzie kardiolog.

Nie była to bladość. Była to fioletowa, spocona sinizna, połączona z drgawkami i ze szlochem, który wstrząsał wysokim muzykiem jak prąd. Ręce wibrowały w łokciach jakby siedział za bębnem i trzymał w nich pałki. Runął z krzesła na ziemię i czołgał się w stronę rozpostartych nóg Korsyki, sponiewierany, złamany, znokautowany miłością do tego, co podobno było jego żoną i do tego, co podobno miało być jego dzieckiem.

Lekarz chciał podnieść Patricka, ale muzyk odtrącił go. Chlipał teraz głośno, rozpaczliwie i bezwstydnie:

— Jacqueline, Jacqueline, Jacqueline najdroższa, zostaw mi syna! Och, nie zabijaj go, błagam cię, zostaw! Jacqueline, na gorzkie rany Jezusa! — Chwycił w dłonie i okrywał pocałunkami kształtną stopę Korsyki; mazał ją śliną, śluzem, gorącymi łzami i zimnym potem; jęczał: — Zostaw mi je! Nie bądź taka okrutna, Jacqueline, Jacqueline, kochanie!

Widział szansę. Lecz zgodnie z regułą, iż człowiek zdesperowany mnoży zazwyczaj swój błąd pogrążając się każdym następnym słowem, krzyknął niebacznie:

— Zostaw mi dziecko, Jacqueline! Nie ma znaczenia, czy jest moje. Zostaw je, zostaw, czyjekolwiek by nie było! Zostaw je, czyjekolwiek jest!

Wtedy Korsyka odsunęła go delikatnie i spojrzała blado na lekarza:

— No, sam widzisz, Pierre, jak wygląda ten pasztet. Nie ma na co czekać. Bierz się do roboty.

Chino

Na kilka dni przed wyznaczonym terminem, a więc w grudniu 1977 roku, w samą niemal wigilię Świąt Bożego Narodzenia eskortowany przez adwokata i przez grupkę nachalnych dziennikarzy Polak oddaje się w ręce więziennych strażników.

Początkowo przeżywa depresję. Mieszka sam, w oddzielnej celi, ale podlega wszelkim więziennym rygorom — apelom, przesłuchaniom, spacerom. Ma wielce niesympatycznego i surowego klawisza, który pilnuje go jak oka w głowie. Od kryminalisty z sąsiedniej celi dowiaduje się, iż w pudle nie brak okrutnych i zdesperowanych bandziorów, gotowych poderżnąć mu gardło — dla hecy, dla sławy albo w imię wyższych racji, bowiem rynsztok kryminalny uznał, że wybitny artysta, domniemany gwałciciel dziewczynki, jest czymś gorszym niż zwykły złodziej, gangster, szmugler narkotyków lub morderca.

Z czasem, w styczniu 1978 roku, sytuacja Napoleona poprawia się, ponieważ w przeciwieństwie do kryminalistów, strażników i pozostałego personelu więziennego psychiatrzy są pod wielkim urokiem Polaka.

Jeden z nich zeznał później:

— Genialny facet. Zarówno przez swoje dzieła, jak i swoje zachowanie. Może był wyniosły i niesprawiedliwy wobec reporterów, od których niemało przecież wycierpiał, lecz w stosunkach z innymi, nie znanymi mu ludźmi, przy czym nie mam wcale na myśli lekarzy, zachowywał się skromnie i bardzo serdecznie. Nie była to poza. Zbyt długo pracuję w tym fachu, aby nie wyczuć pozy. Pozer, szczególnie w więzieniu, musi wcześniej czy później wybuchnąć, pokazać kły i pazury, a z niego był naprawdę równy gość, o dużej wewnętrznej uczciwości i ogromnej wrażliwości. Gotów był pomóc każdemu współwięźniowi. Wiecie, o co chodzi. Jest to typ człowieka, który zachowuje się wyniośle wobec wyniosłych, lecz skromnie wobec skromnych, uczciwie wobec uczciwych i... tak dalej. Nie chciałbym powiedzieć za dużo, ale jeśli zbudowano więzienia, to na pewno nie dla takich facetów, jak on.

Ten sam lekarz wspomniał, że w styczniu siedemdziesiątego ósmego roku prawie wszyscy więzienni lekarze i prawie wszystkie pielęgniarki nuciły pod nosem pewną szalenie znaną wokalizę z pewnej szalenie znanej kołysanki, która pochodziła z filmu Napoleona. W ogóle obecność tak wybitnego artysty ożywiała ponurą atmosferę Chino. Polak miał wielu gości, nie w celi, rzecz jasna, tylko w sali widzeń. Była to w obliczu nieszczęścia swoista deklaracja przyjaźni i lojalności, a składali ją powszechnie szanowani ludzie — aktorzy, reżyserzy, pisarze. Któregoś dnia przyszedł sam naczelny Beatles, John Lennon, co zrobiło piorunujące wrażenie nawet na tych kryminalistach, którzy ledwo umieli czytać i pisać. Poczta więzienna dostarczała Napoleonowi setki listów, z których większość była wprawdzie sygnowana przez młode dziewczyny, ale nie brakło również poważniejszych korespondentów, usiłujących podnieść reżysera na duchu.

Badany i testowany, zaprzyjaźnił się z lekarzami, którzy nie stwierdzili u niego żadnych objawów maniakalnych czy skrzywień patologicznych. Raport do sądu pisało o nim dwóch psychiatrów, jeden odwiedzał go codziennie w celi — rozmawiał z Polakiem, żartował, dyskutował, starając się spełniać w miarę możności wszystkie życzenia artysty, które skądinąd nie były wygórowane — dotyczyły witamin, potraw i szturchańców, jakimi obdarzali go na zbiórkach więźniowie.

Zapuszczał brodę i wąsy, nie wiedząc, że będzie to miało w przyszłości znaczenie. Okryta ciemną, gęstniejącą maską twarz zmieniała się z każdym dniem — nie wyglądał starzej, ale jakoś inaczej: bardziej dostojnie i poważnie.

— Mam delikatną cerę — tłumaczył lekarzowi. — Nie mogę golić się elektryczną maszynką, a o żyletce, to ani nawet nie chcę słyszeć. Czyżbym przypominał samobójcę?

— Nie przejmuj się.

— Nie lubię brody.

— Ale dobrze ci w niej.

Polak stroił pocieszne miny, a lekarz wybuchał śmiechem. To także ich brało. Nie ma nic gorszego od skamlącego nieszczęścia — łez, biadoleń, pojękiwań, Napoleon nie pozwalał sobie na to. Aczkolwiek nie było mu lekko, udawał, że jest pogodny i wesoły. Nie próbował wzbudzać litości i wzruszać nikogo na siłę. Zachowywał się jak mężczyzna.

Sędzia oczekiwał, iż wyniki badań w Chino ujęte w obszerny raport lekarski pomogą mu posłać reżysera na długie lata do pudła, tymczasem to, co otrzymał od psychiatrów w końcu stycznia siedemdziesiątego ósmego roku, było jego zdaniem bezczelną i nieodpowiedzialną próbą wybielenia złoczyńcy.

Łobuzy! Szachraje! Czegoż oni mu nie radzą? Żeby był dla Napoleona niezwykle wyrozumiały i łagodny. Żeby broń Boże nie skazywał go na więzienie, gdyż w obecnym, depresyjnym stanie zdrowia mogłoby mu to zaszkodzić. Stwierdzili, że winna była przede wszystkim matka dziewczynki. Ona odpowiada za incydent, ją należałoby ukarać. Co się tyczy Polaka, jeśli już sędzia nie może inaczej, niechże wlepi mu niewielką grzywnę, ot, tysiąc dolarów, i... odseparuje od dzieci poniżej osiemnastu lat, chyba, że pozostają pod opieką starszych.

Przeklęte mądrale! Sędzia zaciskał pięści. A tu jak na złość nadeszły jeszcze petycje od różnych tak zwanych znakomitości i autorytetów sugerujące, iż prawo amerykańskie wyrządza krzywdę człowiekowi wielkiemu, dobremu i bardzo zasłużonemu dla ludzkości.

Nie wiesz czasem! Sędzia parokrotnie wertował raport z Chino i trząsł się z oburzenia czytając, iż oskarżony nie jest w żadnym razie obsesjonatem seksualnym i nie wymaga w tym zakresie leczenia. Nie więzić i nie leczyć go trzeba, a głaskać, gdyż miał straszliwe, najeżone tragediami życie.

No, już on go pogłaszcze! Sprawozdanie psychiatrów i petycje znakomitości odniosły przeciwny do zamierzonego skutek. Zgrzytając zębami sędzia zadzwonił do prokuratora i obrońcy, aby powiadomić, ich, że w piątek 27 stycznia, po sześciotygodniowym pobycie w więzieniu, Polak zostanie z niego zwolniony, ale tylko po to, aby w trzy dni później, 30 stycznia stanąć przed straszliwym obliczem sądu, który wyda na niego ostateczny wyrok.

Paryż

Konieczność interwencji kardiologa sprawiła, iż Korsyka wstała z fotela ginekologicznego w stanie nieruszonym, a więc jako potencjalna matka, w tydzień później wszelako, kiedy perkusista wrócił jakoś do siebie, oświadczyła mu, że jest po wszystkim.

Tym razem muzyk zareagował dość apatycznie i spokojnie.

— Kto to zrobił?

— Co za różnica?

— Pierre?

— Nie.

— Masz rację. Co za różnica. Chcesz się rozwieść?

— Tego nie powiedziałam.

— Ale jeszcze powiesz? Rozdarłaś mi serce, Jacqueline.

— Ty też rozdarłeś mi serce.

— Kiedy?

— Przed swoim wyjazdem do Stanów.

Leżeli w dwóch bliźniaczych, małżeńskich łożach, w pięknej i obszernej sypialni pięknego i obszernego mieszkania zajmującego trzecie piętro dziewiętnastowiecznej kamienicy w Pierwszym Arrondisement — owej wspaniałej, cichej i zamożnej dzielnicy Paryża, gdzie rzadko pokazują się cuchnący brudem i kwaśnym, tanim winem kloszardzi, gdzie trudno spotkać okaleczone dziecko i kolorowego biedaka, gdzie nie ma prostytutek i alfonsów, a policjanci zachowują się grzecznie i z takim szacunkiem, jakby każdy ukończył niedawno wyższą szkołę dobrych obyczajów.

Korsyka zgasiła lampkę na nocnym stoliku i próbowała spać. Zrobił to samo odwracając się do niej plecami. Jeśli coś ich jeszcze łączyło, to blizny po zadanych sobie ciosach, a także jakiś ogromny, przytłaczający żal, że wszystko musiało pobiec akurat tym torem, że nie umieli zapanować nad słowami i nie potrafili już sobie zaufać, że zostało jeszcze między nimi, być może, trochę miłości, lecz struna, która pękła, była nie do związania.

Zdradzała mnie — myślał Patrick z typową dla Irlandczyków, egoistyczną obsesją, że mężczyźnie, owszem, wolno, ale kobieta, choćby sponiewierana i odtrącona, powinna trwać w cnocie z nadzieją, że wiarołomny kochanek może się jeszcze zreflektować i wrócić.

Biegła noc, a sen uciekał przed nim długimi susami. Wstał i przygotował sobie w kuchni szklankę rozcieńczonego wodą wina. Lekarz powiedział, że bezwzględnie powinien rzucić palenie, ale palił, zdany bowiem na granie w zadymionych klubach jazzowych muzyk pali nawet wtedy, kiedy nie pali.

Kochała się z tym łajdakiem. — Tak myślał, a cisza dzwoniła mu w uszach głośno i posępnie. — Z tym gwałcicielem, z tym narkomanem, z tym szatanem w ludzkiej postaci.

A może dziecko należało do niego? W takim razie dobrze, że poszło do kubła. — Tak, tak! Dobrze, bardzo dobrze! — podjudzał jakiś głos. Ale drugi głos kontrował: — Nie pocieszaj się! Dziecko było twoje i ty właśnie jesteś prawdziwym mordercą.

— Ja?

— Oczywiście!

— A dlaczego?

Złożył ręce, padł na kolana i zapytał:

— Ja, czy nie ja? Moje, czy nie moje? Boże, odpowiedz mi na to! Proszę cię! błagam! zrób mi tę łaskę i odpowiedz!

A potem mówił:

— Przejdę wszerz kuchni stawiając stopę za stopą, a ty mi, Panie, pomożesz wybrać, czy mam zacząć od: tak, czy od: nie.

Ruszył od ściany, do której przymocowany był zlew, rachując miarowo i uczciwie:

— Tak — nie — tak — nie — tak — nie...

Wyszło: tak.

Wówczas powiedział:

— Tak — znaczy: moje, nie — znaczy: jego. Teraz przejdę wzdłuż pomieszczenia, od okna do drzwi. Jeśli wyjdzie: moje, popełnię samobójstwo. Jeśli wyjdzie: jego, zabiję drania.

— I dodał: — Boże, bądź sprawiedliwy!

C.D.N.

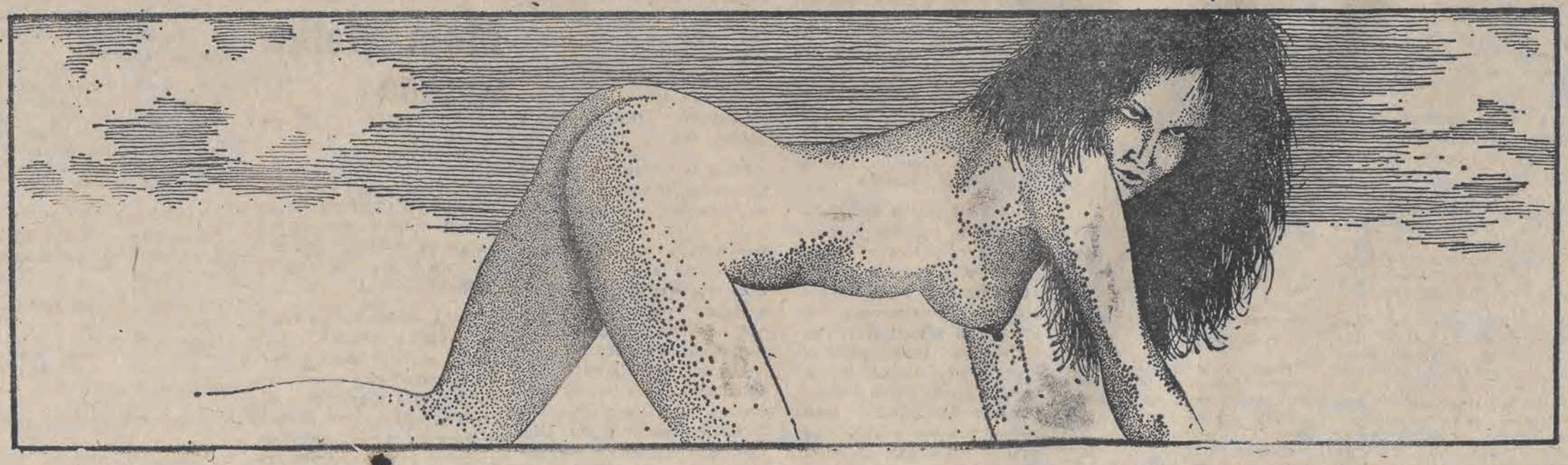

Rys. Janusz Szymański-Glanc